







*Joseph Frank.*

**Józef Frank**

prof. Uniwersytetu Wileńskiego.

(Z litografji współczesnej, ze zbiorów dr. W. Zahorskiego).

**BIBLIOTEKA PAMIĘTNIKÓW.**

Rocznik I.

STYCZEŃ.

Nr 1.

*Ks. Walerjan Szośnicki*

**PAMIĘTNIKI**  
**D<sup>ra</sup> JÓZEFA FRANKA**

Profesora Uniwersytetu Wileńskiego.

Z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami opatrzył  
**D-r WŁADYSŁAW ZAHORSKI.**

TOM I.

BIBL. AWSD B-STOK



WILNO. Druk JÓZEFA ZAWADZKIEGO. 1913.





614.25:828 A/2 "17/18"

## W S T Ę P.

Pierwsze dwudziestopięciolecie XIX wieku stanowi niezmiernie ważny i interesujący okres w życiu Litwy i Wilna.

Wówczas, gdy Europa szła naprzód i już korzystała z owoców kilkuwiekowej cywilizacji, Polska, która dawniej w pierwszym szeregu państw cywilizowanych kroczyła, wskutek nieszczęść i klęsk, jakich jej los przez dwa ostatnie stulecia nie szczędził, cofnęła się wstecz i musiała zaczynać od początku, od uprawy gruntu. Los ten dzieliła z całą Rzeczpospolitą i Litwa. Oświata stała w niej na niskim stopniu. Bibliotek prywatnych, z wyjątkiem klasztornych, prawie nie było: szkoły wiodły smutny żywot; profesorowie w swych wykładach trzymali się podręczników zagranicznych i Komisja edukacyjna miała sporo kłopotu z wydaniem polskich książek elementarnych. Na Litwie nawet lekarze byli mało wykształceni, jak świadczy Józef Frank, i nie śledzili postępów nauki; jeśli zaś który czytywał dzieła lekarskie, musiał się z tem starannie ukrywać, aby nie posądzono go, że nic nie umie i że dopiero z książek się uczy.

Nawet jezuicka Akademia Batorowska w Wilnie, w drugiej połowie XVIII wieku, ledwo dawała znaki życia i w niczem się do postępu nauki i szerzenia oświaty nie przyczyniła, nietylko bowiem nie wydała żadnego dzie-



ła, któreby mogło zainteresować ogół lub uczonych, ale nawet nie wydrukowała ani jednego porządnego podręcznika.

Prowincje litewskie i ruskie, po rozbiórce Polski, nie miały ani autonomji, ani konstytucji, ale stanowiły integralną część państwa rosyjskiego. Pomimo jednak, iż zależały one bezpośrednio od centralnego rządu w Petersburgu, posiadały wszakże pewne bardzo ważne odrębności, zastrzeżone przez traktaty, jak np. uszanowanie narodowości polskiej, używanie w sądownictwie statutu litewskiego z jawnymi sądami i przysięgłymi obrońcami, i chociaż mianowani byli oni przez Koronę, prawie wyłącznie byli Polacy, język zaś polski za panowania Aleksandra I był panującym w kraju, w sądownictwie, urzędach i szkołach.

Po klęskach, jakie spadły na kraj, po rozbiórce Polski, nastąpiło bolesne wytrzeźwienie Polaków. Utraciwszy niezależność polityczną, chciano przynajmniej ratować narodowość, religję, język. Powstaje tedy reakcja polityczna, społeczna i religijna.

W Wilnie już przy końcu XVIII stulecia rozpoczyna się ruch na wszystkich polach pracy społecznej, który staje się szczególnie ożywionym, gdy cesarz Aleksander I spełnił pragnienie Polaków — posiadanie szkoły narodowej. W r. 1803 potwierdza on Uniwersytet w Wilnie, przekształcony z byłej Szkoły Głównej Litewskiej i obdarza go ogromnymi przywilejami. Uniwersytet wileński stał się ogniskiem narodowości polskiej, „Arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty“ i źródłem wiedzy dla kilkunastu pokoleń. Ta wyższa uczelnia wywierała na społeczeństwo polskie wpływ potężny i dała mu długi szereg mężów zasłużonych: uczonych, profesorów, nauczycieli, sławnych lekarzy, literatów, artystów. Ożywiła ona samodzielnym duchem literaturę, dzięki czemu mogli powstać wielki Adam, Juliusz i ich następcy.

W tym to okresie Wilno budzi się z odrętwienia i zaczyna się krzątać. Powstają w niem: teatr polski,

stworzona przez Smuglewicza i jego następcę Rustema wileńska szkoła malarstwa; zakładane są jedne po drugim, Towarzystwo lekarskie, Towarzystwo Dobroczyńności, przeciwżebacze, instytut macierzyństwa, szczepienia ospy ochronnej, typograficzne, pomocy uczącej się młodzieży, która również łączy się w związki i stowarzyszenia, mające na celu samokształcenie, budzenie w społeczeństwie ducha narodowego, naprawę obyczajów.

Rozpoczyna się ruch wydawniczy, zjawiają się nowe pisma, tygodniki, drukują się w wielkiej ilości rozprawy, broszury, książki; powstają księgarnie i biblioteki. Szereg uczonych rozpoczyna pracę nad badaniem kraju, jego historii, archeologii, przyrody, topografii, obyczajów ludu, zdrowotności mieszkańców i t. d.

Jak doniosłe miał ten ruch kulturalny znaczenie dla całego narodu, świadczą słowa Kołłątaja, który, podziwiając rozkwit życia umysłowego w starym grodzie nadwilejskim, pisze: „Gdyby w Wilnie światło nie zajaśniało, możeby zgasło dla Polaków i ich mowy“!

Na widownię występują ludzie o rozgłośnych imionach, którzy dla Wilna pozyskali nazwę „Aten północnych“, że wspomnimy tylko Joachima Chreptowicza, ks. Ad. Czartoryskiego, Poczobutta, Strojnowskiego, braci Śniadeckich, Rustema, ojca i syna Franków, Bojanusa, Grodka, Chodaniego, Leona Borowskiego, Stan. Jundzillę, Gucewicza, Gołuchowskiego, biskupa Kossakowskiego, Tomasza Wawrzeckiego, Dominikanina Korzeniowskiego, księcia Michała Ogińskiego, wreszcie Tomasz Zana, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i tylu innych.

W tym czasie życie towarzyskie w Wilnie również było żywym tętnem. Liczne zjazdy szlachty, zebrania towarzyskie, na których obok przedstawicieli nauki, literatury i sztuki, jaśniały urodą i wykształceniem panie, nie mało wpływały na ożywienie miasta. Jednocześnie budzi się w mieszkańcach Wilna zamiłowanie do muzyki i sztuk pięknych. Koncerty, przedstawienia teatralne i



amatorskie następują jedno po drugim. Pierwszorzędni śpiewacy i muzycy europejscy coraz to częściej odwiedzają Wilno, pewni powodzenia i gościnnego przyjęcia. Uniwersytet urządza w swych salach wystawy obrazów i rzeźb.

Najukochańszem dzieckiem Wilna jest Uniwersytet, na niego są wszystkich oczy zwrócone, z niego są dumni wilnianie, widząc w nim słońce, którego promienie ożywcze daleko w głąb kraju sięgają.

Ale ten Uniwersytet wileński miał do zwalczania liczne przeszkody, zanim zajął w szeregu wyższych uczelni Europy należne mu stanowisko. W kraju nie było na razie ludzi uczonych i dość uzdolnionych, by mogli zająć katedry uniwersyteckie. Rektor Stroynowski był zmuszony sprowadzać profesorów z zagranicy, to też na początku istnienia Uniwersytetu widzimy w nim prawie samych cudzoziemców: Anglików, Włochów, Niemców, Francuzów, Greków. Ci to cudzoziemcy odrazu stworzyli „szkołę wileńską“ i wysoko oświatę na Litwie podnieśli. Niektórzy z nich pokochali Litwę, stali się jej dobrymi synami i zasłużyli na wieczną wdzięczność za wszystko, co dla społeczeństwa naszego zdziałali.

Ci profesorowie przybysze o głośnych w świecie uczonym imionach, całą duszą oddani nauce i Uniwersytetowi, w prędkim czasie wykształcili licznych i godnych siebie następców, którzy po nich obejmowali katedry. Ich to uczniami byli: Herberski, Homolicki, Niszkowski, Bielkiewicz, Mianowski, Poliński, Adamowicz i wiele innych, których imiona nietylko w kraju stały się głośniami.

W liczbie wezwanych do Wilna profesorów cudzoziemców, byli dwaj znakomici lekarze wiedeńscy—Jan Piotr Frank i syn jego Józef.

Jan Piotr Frank w tym czasie już się cieszył sławą europejską, jako znakomity uczony i klinicysta. Urodził się on 19 marca 1745 r. w Ratysbonie. Rodzice kierowali go na duchownego, ale młody Jan, po ukończeniu szkół pijarskich w Rastadt'cie i Nancy, ulegając po-

wołaniu, udał się do Hejdelbergu i tam w r. 1776 ukończył uniwersytet ze stopniem d-ra medycyny. W r. 1784 został on wezwany do Getyngi na katedrę medycyny praktycznej, którą to katedrę wkrótce opuścił i przeniósł się do Pawji. Po kilku latach Frank otrzymał nominację na profesora kliniki lekarskiej i generalnego dyrektora szpitala w Wiedniu. Sława jego wzrastała z dniem każdym, to też miał on w Wiedniu olbrzymią praktykę oraz liczne stosunki w wyższych sferach. W r. 1804 wezwany do Wilna na katedrę medycyny praktycznej, założył tu pierwszą klinikę. Po roku jednak, na żądanie cesarza Aleksandra I, wyjechał do Petersburga, gdzie został lejbmedykiem cesarzowych, członkiem rady medycznej i profesorem Akademji Medyko-chirurgicznej. Ale klimat petersburski, oraz intrygi dworskie, zaczęły ujemnie oddziaływać na zdrowie Franka, to też po czterech latach pobytu w stolicy Rosyi, wyjechał do Wiednia, gdzie mieszkał przez resztę życia, z wyjątkiem trzech lat, spędzonych w Fryburgu.

W życiu rodzinnem Jan Frank nie zaznał szczęścia. Żona jego miewała napady szaleństwa i umarła w zakładzie dla obłąkanych. Za jej zgodą związał on stosunek miłośny z niejaką panią Janitch, która zamieszkała w jego domu, jako dame de compagnie pani Frankowej i jako nauczycielka jego dorastających córek.

Frank miał dwóch synów i dwie córki. Starszy syn umarł w młodym wieku; jedna z córek była ułomna i umarła w Petersburgu, drugą—Karloinę stracił on już we Fryburgu. Pozostał tylko syn młodszy Józef, którego stary Frank kochał całym sercem. Te ciosy ostatecznie podkopały wątłe siły starca.

Frank umarł w r. 1821, licząc 76 lat wieku.

Mąż ten zdobył w nauce sławę, jako niezrównany lekarz-praktyk, wyborny klinicysta, profesor i uczony. Jego Policzka lekarska jest dziełem klasycznym, które stanowi podwalinę tej nauki.



Razem z ojcem przyjechał do Wilna Józef Frank i objął w Uniwersytecie katedrę patologii.

Józef Frank urodził się w Rastadt'cie r. 1771. Ojciec nie żałował wydatków, by dać mu wszechstronne wykształcenie, to też, oprócz nauk ogólnych i języków: francuskiego, włoskiego i angielskiego, pobierał Józef lekcje muzyki i malarstwa u pierwszorzędnych mistrzów, którzy potrafili rozbudzić w młodym uczniu zamiłowanie do sztuki i rozumienie piękna. Nie zapomniano również o zewnętrznym polorze i Frank miał opinię znakomitego tancerza, salonowca, oraz miłego i dowcipnego człowieka, lubiącego towarzystwo i rozrywki światowe. Przykład ojca rozwinął w nim od młodości zamiłowanie do poważnej pracy umysłowej.

Idąc za głosem powołania, Józef Frank wstąpił na wydział lekarski w Getyndze, skąd przeniósł się do Pawji i tu uzyskał stopień D-ra Medycyny. Wkrótce potem odbył podróż naukową, zwiedził Anglię, Francję, Niemcy i z zapałem oddając się studjom lekarskim, pracował w klinikach, szpitalach, laboratorjach, oraz zawiązywał bliższe znajomości ze sławnymi uczonymi, jak Jenner, Corvisart, Hufeland i inni.

Po powrocie do kraju Frank został powołany na profesora kliniki terapeutycznej w Pawji, skąd, z powodu wojny 1796 r. przeniósł się do Wiednia na posadę lekarza szpitala miejskiego. Tu w krótkim czasie zwrócił na siebie uwagę, jako wybitny lekarz i sprężysty administrator. W tym czasie dużo pisał, drukował, a niektóre prace jego zyskały uznanie w świecie naukowym i zostały przełożone na język włoski i angielski.

W r. 1798 Józef Frank poznał w Wiedniu pannę Krystynę Gerhardy, córkę współnika fabryki sukna na Morawach. Ten, umierając w młodym wieku, zostawił żonę z dwojgiem dzieci (córką i młodszym synem) w bardzo krytycznym położeniu materialnym, ale krewni zapewнили wdowie byt i pomogli jej dać dzieciom staranne wychowanie. Ponieważ Krystyna posiadała piękny głos i

wdzięczną powierchowność, przeto postanowiono kształcić ją na śpiewaczkę operową.

Gdy Frank poznał pannę Gerhardy, liczyła ona 18 lat. Była to panna bardzo inteligentna, żywa, o typie włoski. Wykształcenie, jak na owe czasy, posiadała bardzo staranne, mówiła płynnie po francusku i po włosku. Ale przede wszystkim miała cudowny głos, który wprawiał słuchaczy w zachwyt i zdumienie, ponieważ siła jego stanowiła kontrast z jej niedużą, zgrabną figurką. Najznakomitsi artyści, jak Haydn, Marchesi i inni byli wielbicielami panny Gerhardy i przepowiadali jej świetną karierę artystyczną. Haydn nawet napisał dla niej partję Anioła Gabryela i Ewy w swoim znakomitem oratorjum „Stworzenie Świata“ (Creation), którą to partję młodzianka Krystyna wykonała z ogromnem powodzeniem na pierwszym przedstawieniu w salonach księcia Szwarzenberga.

Józef Frank, zapalony meloman, znawca muzyki i niezmiernie wrażliwy na wdzięki niewieście, zakochał się w pannie Gerhardy, która właśnie w tym czasie, za pośrednictwem sławnego Marchesi'ego, otrzymała zaproszenie do opery w Genui, ale, gdy Frank się oświadczył o jej rękę, zerwała umowę. Ślub odbył się w Wiedniu d. 20 sierpnia 1798 r.

W r. 1804 Józef Frank wraz z ojcem, panią Janitch i żoną przyjechał do Wilna, objął katedrę patologii, a gdy w niespełna rok potem ojciec wyjechał do Petersburga, został po nim profesorem medycyny praktycznej i stanął na czele kliniki, którą z niezrównanym talentem zarządzał aż do swego z Wilna wyjazdu w r. 1823.

W czasie, w którym Frankowie do Wilna przybyli, Uniwersytet dopiero co został zreformowany ze szkoły głównej litewskiej i ukończywszy zwycięsko walkę z Jezuitami, zaczynał nowe życie i z gruntu się przekształcał aby po latach kilkunastu zająć zaszczytne miejsce w szeregu zakładów naukowych Europy.



Józef Frank brał czynny udział w pracy nad podniesieniem Uniwersytetu, który ukochał, oddał się jej z zapałem. Oburzały go istniejące porządki, niedostateczne przygotowanie studentów i szczególnie niedbałość niektórych profesorów i walka w Uniwersytecie partji niemieckiej i polskiej.

Zapominał Frank o tem, że były to pierwsze kroki, stawiane przez Uniwersytet wileński i że usterki i błędy były nieuniknione. Nie chcąc tego rozumieć, Frank, przy każdej sposobności słowem i piśmem ganił istniejące porządki, domagał się od rektora Stroynowskiego i jego następcy Jana Śniadeckiego usunięcia braków, w ostrych słowach wyrzucał profesorom ich nieuctwo i lenistwo i nawet zwracał się z prośbą o interwencję do kuratora oraz ministrów oświaty i spraw wewnętrznych. Wszystko to dało powód do licznych nieporozumień i niechęci względem Franka ze strony profesorów, którzy czuli się obrażeni. Za to młodzież ubóstwiała swego profesora, ponieważ, jako taki Frank, był bez zarzutu. Kochał on medycynę, Uniwersytet i uczniów swoich, których kilka pokoleń wychował w zasadach humanitarnych, wszczepiając miłość ludzkości oraz sumienność i wytrwałość w pracy. Klinikę wileńską podniósł on do takiej wysokości, że była ona uważana za jedną z najlepszych w Europie.

Podziwu godną jest pracowitość Franka, który wstając o godz. 5-tej rano, cały dzień aż do wieczora zapełniał najrozmaitszemi zajęciami.

W Uniwersytecie wileńskim na początku jego istnienia, większość katedr była obsadzona przez cudzoziemców. Franka oburzała taka nieufność we własne siły, to też dzięki jego staraniom Uniwersytet wysyłał młodych uczonych zagranicę dla uzupełnienia wiedzy, a potem powierzał im wykłady dla studentów. Tym sposobem z czasem Polacy zastąpili profesorów Niemców, a byli to prawie wyłącznie uczniowie Franka, jak Herberski, Nisz-

kowski, Mianowski, Porcyanko, Rymkiewicz, Adamowicz i inni.

Frank stworzył wileńską szkołę lekarską, wychowując kilka pokoleń światłych i sumiennych lekarzy. Bez litości piętnował on lekarzy, grzeszących przeciw zasadom etyki, lecz szczególnie nie cierpiał zarozumiałych niedouków. W celu zachęcenia lekarzy do pracy, założył w Wilnie Towarzystwo lekarskie, które dotąd istnieje, a które nauce i krajowi nie mało się zasłużyło. Frank pierwszy dał początek badaniom zdrowotności mieszkańców, chorób panujących, zbierania statystyki i t. d.

Wilno wiele zawdzięcza temu niezwykłemu człowiekowi, który był jednym z największych filantropów na Litwie. On to stworzył w Wilnie cały szereg instytucji dobroczynnych, jak np. konwikt skarbowy dla niezamożnych studentów, ambulatorjum dla ubogich, bezpłatne wydawanie lekarstw, trzeci oddział Towarzystwa Dobroczynności, leczenie niezamożnych chorych w ich mieszkaniach, oraz wiele ze wspomnianych wyżej instytucji.

Środki na te wszystkie instytucje Frank czerpał z urządzanych przez siebie koncertów, na których zawsze występowała piękna jego żona, zachwycając Wilnian prześlicznym głosem, a bardziej jeszcze uprzejmością i ofiarnością.

Jako lekarz, Frank cieszył się w całym kraju wyjątkową popularnością, i dotąd dom, w którym mieszkał, na rogu ul. Wielkiej i zaułka Szwarcowego, znany jest w Wilnie pod nazwą domu Franka. Chorzy go ubóstwiali, ponieważ wrodzona dobroć serca, ujmujące obejście i zawsze jednakowo troskliwe opiekowanie się chorym, bez względu na jego stanowisko społeczne i stan majątkowy, wzbudzał bezgraniczne zaufanie.

Brał on również żywy udział w życiu towarzyskiem; urządzał wieczory stylowe, wspaniałe koncerty, przedstawienia amatorskie, kuligi i rozbudzał w Wilnianach zamiłowanie do piękna i szczególnie do muzyki. Jedno-



cześnie Frank dużo pracował naukowo, czytał, zbierał materiały, drukował prace, które zwracały na siebie uwagę uczonych i były tłómaczone na obce języki. Gdy w Uniwersytecie zaczął wszechwładnie panować smutnej pamięci Pełskau, Frank nie mógł się zgodzić z nowymi porządkami. W r. 1823 opuścił on na zawsze Wilno i zamieszkał we własnej willi nad jeziorem Como we Włoszech północnych, ale do końca życia nie przestał tęsknić za Wilnem i Litwą, którą nazywał swoją drugą ojczyzną. We Włoszech pracował on nad wielotomowym dziełem „Praxeos...“, ale go nie dokończył, ponieważ była to praca przewyższająca siły jednego człowieka. Tu również napisał swe pamiętniki. Umarł d. 6 grudnia 1842 r. Gdy wieść żałobna przysłała do Wilna, staraniem członków Wileńskiego Towarzystwa lekarskiego odbyło się w kościele św. Jana uroczyste nabożeństwo żałobne za jego duszę. W Paryżu wybito na cześć ojca i syna Franków medal, który Józef w testamencie zapisał Wileńskiemu Towarzystwu lekarskiemu. Medal przechowuje się zwykle u prezesa, jako insygnium jego godności.

Frank był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, towarzyskim i eleganckim. Był on niezmiernie dobrym, miłosiernym i współczującym każdej niedoli. Każdej podjętej przez siebie pracy oddawał się z zapalem. Uczniów swoich kochał i z zupełnym oddaniem się pracował nad ich wykształceniem, pomagał w pracy, stawał w ich obronie, a nieraz z własnej kieszeni ratował w potrzebie. Poświęciwszy Wilnu dwadzieścia najpiękniejszych lat życia, zżył się z niem i jego mieszkańcami, doskonale wyuczył się mówić po polsku i miał tu szereg przyjaciół.

Jak każdy człowiek, nie był Frank wolny od wad. Życie jego było pełne intryg miłosnych i przelotnych miłości. Nie omijał sposobności uwiedzenia nawet żon swoich przyjaciół, kolegów, jak to np. miało miejsce z narzeczoną znakomitego profesora Bojanusa. Najchętniej

jednak szukał Towarzystwa śpiewaczek i aktorek, pomiędzy którymi miał liczne przyjaciółki.

Drugą ujemną cechą charakteru Franka było przywiązywanie zbyt wielkiego znaczenia do hołdów, honorów, tytułów, oraz chorobliwie rozwinięta miłość własna, która była przyczyną niejednego zmartwienia w jego życiu. Ojciec Józefa, jako znakomity uczony i wzięty lekarz, utrzymywał stosunki nie tylko z uczonymi całego świata, ale i z osobami należącymi do najwyższego Towarzystwa, nawet z panującymi. Monarchowie i najznakomitsi mężowie okazywali mu sympatję, korespondowali i zasypywali podarunkami, zaś liczni uczniowie i pacjenci urządzali mu owacje. Młody Frank pod wpływem tego zaczął nadawać zbyt wielką wagę tytułom, orderom i t. d. Zaś wygórowana ambicja sprawiała, iż wszędzie chciał grać pierwszą rolę, łatwo się do ludzi zniechęcał i bywał stronny w swych sądach o nich, co nieraz dawało powód do zajęć niemiłych z osobami, które podobnym postępowaniem czuły się obrażone. Poza tem był to człowiek prawy, szlachetny, a zasługi jego dla nauki polskiej i dla Wilna są nieocenione.

Jak wyżej wspomnieliśmy Józef Frank napisał we Włoszech po francusku pamiętniki, które zatytułował: „Memoires biographiques de Jean Pierre Frank et de Joseph son fils, redigées par cedernier“.

W pamiętnikach tych skreślił on w sześciu tomach szczegółowy życiorys swego ojca, oraz swój własny i powierzył je swemu przyjacielowi Janowi Carro, doktorowi medycyny uniwersytetów Edynburskiego, Wiedeńskiego, Praskiego, lekarzowi praktycznemu w Karlsbadzie, o czem na kartach tytułowych wszystkich tomów znajduje się odpowiedni napis, zrobiony w Lipsku w r. 1848.

D-r Carro jednak pamiętników nie wydał, ale w r. 1855 sprzedał je Wileńskiemu Towarzystwu Lekarskiemu za 25 dukatów, którą to sumę na zapłacenie d-r Carro



ofiarował Towarzystwu hr. Rajnold Tyzenhauz. Pamiętniki nie są ręką Franka pisane; własnoręcznie napisał on tylko karty tytułowe i połowę tomu czwartego i umieścić dopiski i uwagi w tekście.

Oprócz tego na marginesach znajdują się dopiski ołówkiem rozmaitych osób, które pamiętniki czytały, jak np. profesora Michała Homolickiego, d-ra Juljana Titiusa i innych. Pamiętników było sześć tomów oprawnych, wielkości papieru pocztowego dużego formatu. Obecnie jest tylko pięć tomów, gdyż jeden, mianowicie 5-ty, prof. Adamowicz, będąc prezesem Wileńsk. Towarz. Lekarskiego, wyjął z pudełka zamczystego i oddał Pelikanowi, który go prawdopodobnie zniszczył, ponieważ w tym tomie Frank dał jakoby bardzo niepochlebną charakterystykę Pelikana i jego działalności. Sam Adamowicz nie zapierał się, iż oddał książkę Pelikanowi. D-r Titius świadczy, że zapytywał Adamowicza o losie tego tomu, lecz ten unikał szczerzej odpowiedzi i przebąkiwał, że prawdopodobnie rękopis już nie istnieje, że może spalili się w czasie pożaru.

W innych tomach znajduje się sporo miejsc przekreślonych, jak mi mówił d-r Titius, przez panią Balińską, córkę Jędrzeja Śniadeckiego, która pamiętniki czytała i znalazła w nich niezbyt pochlebne i miłe dla niej wzmianki o ojcu. Oprócz tego i d-r Carro wyciął niewiadomo poco w niektórych tomach po kilka kart.

Dominik Chodźko streścił dwa pierwsze tomy i 334 stron. tomu trzeciego i ogłosił je drukiem w „Przeglądzie Europejskim“. Luty—lipiec. Warsz. 1863 r.

W lat dziesięć potem w piśmie zbiorowem „Na dziś“ (Kraków. 1872. T. I, II i III)<sup>1)</sup> rozpoczęto drukować „Pamiętniki d-ra Józefa Franka, profesora Uniwersyt. Wil.

<sup>1)</sup> Na pierwszej karcie 2-go tomu: „Na dziś“ ofiarowanego Wileńskiemu Towarz. lekarsk. przez d-ra S. Titiusa znajduje się własnoręcznie przez niego opisana i podpisana historia skradzenia piątego tomu pamiętników Franka.

streszczone i uzupełnione przez d-ra Michała Homolickiego“, ale wydrukowano tylko część tej pracy<sup>1)</sup>.

Pamiętniki zawierają niezmiernie zajmujące szczegóły, dotyczące krajów europejskich, miast, obyczajów, wypadków politycznych oraz charakterystyki monarchów, wodzów, dyplomatów, uczonych i innych poznanych przez Franków wybitnych osób. Dla czytelników polskich mają pamiętniki szczególne znaczenie, ponieważ obejmują one okres niezmiernie ważny w dziejach Wilna, mianowicie pierwsze 25-lecie XIX wieku i zawierają wiele ciekawych i nieznanych szczegółów o Wilnie, Uniwersytecie wileńskim, o życiu i stosunkach towarzyskich w grodzie Giedymminowym i na Litwie, oraz charakterystykę wielkorządców, profesorów, znanych i głośnych w owym czasie osób, a że był to czas wojen napoleońskich, przeto i o sprawach politycznych i wojennych znajdujemy w pamiętnikach liczne wzmianki. A jednak czytając pamiętniki, zwłaszcza ustępy zawierające charakterystykę profesorów wileńskich, należy pamiętać, że Frank często bywał stronny i niesprawiedliwy w swoich sądach o rzeczach i o ludziach.

W wydaniu niniejszem nie daję całości. Opuściłem pierwszy tom i część drugiego, w których Frank podaje życiorys swego ojca, pisze o swojej młodości, naukach, podróżach, o pracach naukowych ojca i swoich. Rozpoczynam od rozdziału XL-go, w którym znajduje się historia zaproszenia Franków na profesorów Uniwersytetu Wileńskiego, ich podróż do Wilna, pobyt w tem mieście. W całości podaję tłumaczenie tomów 3-go i 4-go, w których kończy się opis pobytu w Wilnie aż do opuszczenia tego miasta na zawsze. Dwa ostatnie tomy pominąłem, ponieważ Frank opisuje w nich swój pobyt we Włoszech,

<sup>1)</sup> Prof. Michał Homolicki nie podał tłumaczenia pamiętników, ale zawarte w nich opowiadania i fakty streścił, zgrupował według ułożonego przez siebie planu i opatrzył uwagami, które są tem ciekawsze, że Homolicki był uczniem, a potem przyjacielem Józefa Franka.



w Wiedniu, Karlsbadzie, co dla czytelników polskich jest mało interesującym. Numerację rozdziałów zmuszony byłem zmienić, oznaczając rozdział XL jako I-szy. Nie zamieściłem również opisów chorób, poglądów Franka na panujące teorie lekarskie, oceny dzieł medycznych, ponieważ to wszystko nie może interesować czytelników nie lekarzy. Opuszczone ustępy oznaczałem rzędem kropek.

Dopiski Franka pozostawiłem bez zmiany, zaś dopiski i uwagi moje podpisałem głoskami W. Z.

**D-r Władysław Zahorski.**



**Medal wybity w Paryżu na cześć Jana Piotra i Józefa Franków.**

(Medal znajduje się w zbiorach Wileńsk. Tow. Lekarsk.).

## ROZDZIAŁ I.

(Zaproszenie do Wilna.—Korespondencja z rektorem H. Stroynowskim).

Na wiosnę r. 1803 przyjechał do Wiednia p. Symonowicz <sup>1)</sup>, adjunkt niedawno utworzonego Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego i przywiózł dyplom dla Jana Piotra Franka na członka honorowego wspomnianego Uniwersytetu. P. Symonowicz odbywał podróż naukową w celu uzupełnienia swych wiadomości w dziedzinie mineralogii, którą studjował u sławnego Wenera. Odwiedzając często mego ojca i widząc go zawsze zmartwionym, pewnego razu zapytał go o przyczynę smutku. Ojciec mój opowiedział wtedy o przykrościach i intrygach, które ma do zniesienia. — „O cóż chodzi, zawołał p. Symonowicz, niech pan zakpi ze swych nieprzyjaciół i wraz z synem przyjedzie do Wilna“. — „Czemużby nie“, odparł mój ojciec. — „Czy naprawdę, pan by się na to zdecydował?“ — „Zależałoby to od warunków, jakie by mi zaproponowano“. — „Proszę wierzyć, że warunki te będą do przyjęcia. Nie później jak jutro napiszę w tej sprawie do biskupa-koadjutora Łuckiego, Hieronima Stroynowskiego, Rektora Uniwersytetu Wileńskiego, bra-

<sup>1)</sup> Symonowicz Roman (ur. 1763, um. 1813) mineralog polski, adjunkt Uniwersytetu Wileńsk., na którym wykładał mineralogję. Pracował nad nomenklaturą polską; wydał „O stanie dzisiejszym mineralogji“ i wiele innych prac. Pozostawił bogaty zbiór minerałów (15 tys. sztuk), który kupił Uniwersytet Wileński. (W. Z.).



ta jednego z dawnych pacjentów pańskich<sup>1)</sup>; jestem przekonany, iż nie każe on długo czekać na odpowiedź. Może tymczasem zechce pan przyjąć ten oto akt zatwierdzenia Uniwersytetu Wileńskiego.

Akt ten napisany po francusku i wydrukowany na 11 stronach in 4<sup>o</sup>, datowany w Petersburgu d. 4 kwietnia 1803 r. był podpisany przez Jego Ces. Mość Aleksandra i kontrsygnowany przez Piotra hr. Zawadowskiego, ministra oświecenia publicznego. Uważam za zbyt cenne podawać go na tem miejscu.

Nie upłynęło sześciu tygodni, gdy mój ojciec otrzymał od biskupa i rektora wileńskiego list niezwykle pochlebny i zachęcający, z datą 6 lipca (24 czerwca) 1803 r. Przytaczam go w streszczeniu.

„Uzdolnienie pańskie, jego niezrównana wiedza, talent i doświadczenie w sztuce tak trudnej, a tak dla ludzkości pożytecznej, upoważniają nas do zaproszenia pana i przesłania mu prośby, aby pan zechciał, jeśli to jest możliwe, przyjąć stanowisko profesora publicznego medycyny w naszym Uniwersytecie, tylko co zreformowanym według wskazówek naszego Cesarza.

Światłem swego umysłu darzyłeś Pan Niemcy i Włochy, może nie będzie niemożliwe, aby Pan to światło wniósł również do obszernego państwa Rosyjskiego?

Niestety ubóstwo nasze nie pozwala nam ofiarować Panu takich warunków, jakie dyktują nasze chęci, ale gotowiśmy uczynić jak największe w tym celu wysiłki. Pan d-r Symonowicz udzieli Panu wyjaśnień, zarówno co do naszej propozycji, jakoteż co do środków, jakimi rozporządzamy ku osiągnięciu celu upragnionego.

Ożywiony tem szczerem życzeniem, mam honor pozostać z najwyższym szacunkiem i poważaniem pańskim

Sługą uniżonym

H. Stroynowski, biskup i Rektor.

<sup>1)</sup> Bratem biskupa był senator, Walerjan hr. Stroynowski, autor głośnego dziełka „O ugodach dziedziców z włościanami“ (Wilno, 1808). (W. Z.).

Na ten list mój ojciec odpisał d. 30 września 1803 r. wyrażając wdzięczność głęboką we własnym i moim imieniu, ponieważ ja w tym czasie podróżowałem i nie było mnie w Wiedniu.

Drugi list od tegoż prałata i rektora z d. 10 (22) listop. 1803, pisany za zgodą księcia Adama Czartoryskiego, ostatecznie usuwał wszelkie przeszkody, to też mój ojciec odpisał z Wiednia d. 7 stycznia 1804, zgadzając się na ofiarowane warunki i sprawa w ten sposób została załatwiona.

Z żalem opuszczam całą tę zajmującą korespondencję dla zbytnej jej rozciągłości.

## ROZDZIAŁ II.

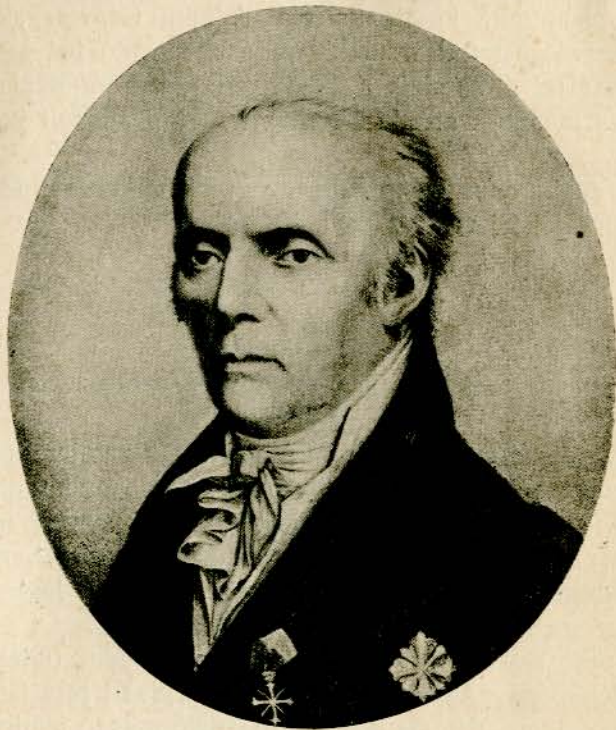
(Nasza odmowa.—Ciężka choroba ojca.—Umowa z Uniwersytetem Wileńskim).

Wiadomość o tem, że mój ojciec ma zamiar opuścić Wiedeń, by się udać do Wilna, kursowała oddawna, ale nikt jej wiary nie dawał. Poczciwi wiedeńczycy nawet żartowali, twierdząc: „Dobrze on się zastanowi, zanim zdecyduje się nas opuścić, bo przecie jeden jest tylko Wiedeń na świecie!“

Tem większe było zdziwienie i, śmiem twierdzić, osłupienie, gdy się dowiedziano, że wyjazd jest istotnie postanowiony. Wtedy dopiero najznakomitsze osoby zaczęły włąć, iż honor Austrii wymaga, aby nie dopuścić Jana Piotra Franka do porzucenia Wiednia. Inni uważali te głosy za spóźnione, ale mówili, iż jest sposób zatrzymania Franka, ale w tym celu należy się zwrócić do jego przyjaciół i prosić ich, by zechcieli załatwić sprawę. Hr. Ludwik Cobenzl, minister spraw zagranicznych, nastawał, aby mój ojciec zaczął od złożenia wizyty hrabiemu Colloredo, ministrowi dworu. Uczynił to ojciec i podczas wizyty powiedział ministrowi, iż zawdzięczając mu powstanie swego zakładu w Wiedniu, nie może opuścić



stolicy bez pewności, że nie utraci jego względów i dlatego pragnie wyłożyć mu motywy, które skłoniły go do powzięcia postanowienia wyjazdu. Następnie ojciec opisał intrygi i szykany, jakich względem niego dopuszczali się jego nieprzyjaciele, wreszcie przypomniał, że, gdy go



**Jan Piotr Frank.**

Profesor medycyny praktycznej. Założyciel kliniki lekarskiej w Wilnie.

(Ze zbiorów Wileńsk. Tow. Lekarsk.).

zapraszano do Wiednia, przyjął propozycję z tym warunkiem, iż nie będzie podlegał lekarzowi państwowemu (referendaire). Na to minister odpowiedział, że nigdy nie przestawał szanować mego ojca i rozumie sympatję, jaką dla niego mają najwybitniejsi mieszkańcy stolicy, „nie mogę jednak ukrywać, iż istnieje również partja prze-

ciwna panu, i skutek tego Jego Cesarska Mość nie wie, ku jakiej stronie ma się przychylić. Niewątpliwie, zawiły obie strony: jedni sposobem, w jaki wypełniali względem Pana rozkazy Cesarza, Pan zaś — że nie udało się wprost do Najjaśniejszego Pana ze skargą na zaszłe zmiany. Ostatecznie pańskie stosunki z Rządem Dolnej Austrii zmieniły się, dzięki nowemu systemowi, a ponieważ pan nie mógłby przemawiać we własnej sprawie . . . . .“

Tu mój ojciec przerwał ministrowi, oświadczając, że nie można było zmieniać systemu, ponieważ przyjęte przez niego warunki były potwierdzone przez urzędowe patenty, a zresztą jego stosunki z rządem wcale nie miały na celu rachunków pieniężnych, których nie poddawanie kontroli byłoby niebezpieczne.

Na to minister odpowiedział, że dwór cesarski nie może cofnąć swego postanowienia i że on rozumie dobrze, iż przy jego wrażliwości (która dowodzi dobrego serca) podobne zmiany powinny być go dotknąć i to tem bardziej, że z rozkazu Cesarza wprowadzono je w sprawach lekarskich. Ale ostatecznie jest to wola Jego Cesarskiej Mości, aby postępowano według zasad przez niego wskazanych. Pan Frank wcale nie jest w niełasce u Cesarza, który wyraził się, że pan powinien pogodzić się z tem, co już zrobiono i co będzie zrobiono w przyszłości, a nie kierować się względami osobistymi, i że Wilno nie da mu stanowiska, któreby dorównywało zajmowanemu przezeń w Wiedniu. Mój ojciec odrzekł, iż w każdym razie jest szczęśliwy, mając możliwość przekonania się, że p. Minister nie cofa swego dlań szacunku i że, czy to pozostając na służbie cesarza, czy też ją porzucając, nigdy nie zapomni dobroci Jego Excelencji.

Wraz po tej rozmowie minister napisał w sprawie mego ojca list do hr. Ludwika Cobentzl'a, doradzając cierpliwość, tembardziej, że moment nie był odpowiedni, ponieważ Cesarz nie życzył sobie, by się z nim targowano. W kilka dni potem p. Cobentzl powiedział memu



ojcu, iż powinien on prosić o audjencję u Cesarza, by złożyć u jego stóp godność dyrektora szpitala i profesora kliniki, a także, by prosić Najjaśniejszego Pana o wyznaczenie mu emerytury do końca życia. — „Niech tak będzie“, — rzekł mój ojciec.

Jakoż d. 1 lutego 1804 r. udał się on na audjencję, mając przygotowane podanie. Wyraz twarzy cesarza nie zapowiadał dobrego przyjęcia. Istotnie Franciszek II spotkał ojca mego słowami: — „Wiem z czem Pan przychodzi. Uprzedzam, iż jest mi obojętne, czy pan pojedzie do Wilna, lub nie. Wy, panowie uczeni, jesteście zbyt podejrzliwi; nie wiadomo, jak z wami postępować. Macie głowy zapalone (hitzige Köpfe)“. Tu mój ojciec pozwolił sobie przerwać Jego Cesarskiej Mości i rzekł: „To dlatego, Najjaśniejszy Panie, że my pracujemy głową!“ — „Tak, mówił dalej cesarz, prześladowania, na które się pan uskarżasz, istnieją tylko w pańskiej wyobraźni. Jeżeli pan zechcesz pozostać w mojej służbie, proszę się wprzód dobrze nad tem zastanowić. Być może, iż panu zostaną polecone nowe prace, którym, cierpiąc na podagrę, nie będziesz pan mógł podołać, i które mogą stać się dla niego do tego stopnia uciążliwemi, iż pan znowu będziesz myślał o opuszczeniu nas. Ostatecznie, jeżeli pan postanowisz ustąpić z zajmowanych posad, otrzymasz pan emeryturę, jak to jest zastrzeżone w umowie“. — „Najjaśniejszy Panie, co do emerytury, nie może być kwestji, ponieważ jest ona oznaczona w kontrakcie“. — „Naturalnie“. Cesarz odwrócił się, ale za chwilę znowu podszedł do mego ojca i rzekł:

— „Urządź się pan w mieście; zarobisz pan tu na życie, a jeżeli kiedy niezdrowie nie pozwoli panu pracować, postąpimy względem niego tak samo, jak względem innych urzędników. Zastanów się pan dobrze nad tem, jak masz postąpić. Powtarzam, iż jest mi najzupełniej obojętne, co pan postanowisz“.

Mój ojciec złożył głęboki ukłon i wyszedł, nie wręczszy przygotowanego podania.

Tegoż wieczora hrabia de Siekingen (o którym było wiadomo, iż zostaje w bliskich z cesarzem stosunkach) odwiedził p. de Cobentzl'a i zwierzył mu się, iż słyszał od cesarza, że Frank był na audjencji, że on go dobrze przyjął, ale mówił ze zwykłą sobie szczerością, że był zadowolony z jego odpowiedzi, spostrzegł jednak, że Frank bardzo postarzał i źle wygląda, widać, że ma dużo zgryzot, że wreszcie chciałby go na służbie zatrzymać. P. de Sickingen dodał w końcu, iż jest przekonany, że, gdyby Frank raz jeszcze przedstawił się cesarzowi, to z pewnością byłby dobrze przyjęty.

Po tej rozmowie p. Cobentzl nastawał, aby mój ojciec poraz drugi udał się do Cesarza, ale ten stanowczo odmówił, ponieważ omal nie przypłacił życiem pierwszego posłuchania, przeto postanowił więcej się nie narażać. Istotnie, trudno sobie wyobrazić, w jakim stanie ojciec powrócił od cesarza. Śmiertelnie blady ujął moją rękę dłonią lodowatą i rzekł głosem drżącym:

— „Jedziemy, zmaltretowano mnie!“

Jednocześnie stracił on zaufanie do p. de Cobentzl'a, który, gdy to spostrzegł, prosił p. de Sickingen'a, by ten rozmówił się z moim ojcem. P. Sickingen zgodził się i nie tylko powtórzył mu całą swoją z Cobentzl'em rozmowę, ale dodał, że cesarz podczas owej audjencji nie bardzo wiedział, o co idzie, że był on nierad, ponieważ już przedtem kilka osób mówiło z nim o tej sprawie, jak gdyby chcieli mu nóż na gardle położyć, aby go zmusić do postanowienia, że był on przeciwko memu ojcu uprzedzony przez p. Stiff't'a, ale już ochłonął, jest niezadowolony z jego wyjazdu i miałby kłopot ze znalezieniem zastępcy. Moje zdanie, dodał p. Sickingen, jest następujące: 1-o. Pan zredaguje nowe podanie, którego bruljon pokażę cesarzowi, a gdy ten je zaaprobuje, złożysz pan to podanie przez hr. Colloredo, i 2-o. Jeszcze raz przedstawi się pan Najjaśniejszemu Panu“.

Widząc, że mój ojciec nie wielką miał ochotę przystać na punkt drugi, p. Sickingen rozgniewał się i zawo-



łał: — „Spodziewam się, że pan niema zamiaru narażać się Monarsze?”

Aby dowieść, że tak nie jest, ojciec ustąpił i zredukował podanie, w którym zazaczył, iż z żalem przyszedłoby mu porzucić służbę Jego Cesarskiej Mości i że gotów jest poświęcić mu resztę życia, jeżeli Najjaśniejszy Pan zechce: 1-o zwolnić go od obowiązków dyrektora szpitala i profesora kliniki, pozostawiając mu jego dotychczasową pensję, jako dożywotnią emeryturę; 2-o zapewnić jego synowi dr. Józefowi Frankowi katedrę kliniki, lub patologii, wakującą po ustąpieniu starego już bardzo profesora Collin, który ją obecnie zajmuje i 3-o. Uzyskać zwolnienie go od umowy z rządem rosyjskim.

Gdy p. Sickingen spełniając obietnicę, prawdopodobnie pokazał bruljon podania Cesarzowi, ten na razie czynił pewne trudności, szczególnie co do punktu pierwszego, ale ostatecznie zgodził się na wszystko. Podanie zostało doręczone przez p. de Cobentzl'a panu Colloredo dla oficjalnego przedstawienia cesarzowi.

W parę dni potem p. de Sickingen zwierzył się memu ojcu, iż cesarz znowu mówił z nim o jego sprawie, ale zupełnie inaczej, niż się on spodziewał. — „Obawiam się, miał powiedzieć cesarz, aby nie było niedelikatnością względem cesarza Rosji, rozpoczynać starania o unieważnienie zobowiązania, przyjętego przez Franka. — Co do emerytury, którą on żąda, to będę musiał pomówić o tem z ministrem finansów (hr. Zichy). Nie sądzę jednak, bym mógł przyznać mu całkowitą emeryturę; być może wyznaczę mu jedną trzecią tejże, lub najwyżej połowę. Frank zrobiłby dobrze, gdyby tymczasem zachował swe posady i sam na własną rękę cofnął zobowiązanie wyjazdu do Wilna.

Chociaż hr. Colloredo nie zaniedbał przedstawić podania, odpowiedzi jednak nie było, a to dla następującej przyczyny. Pan de Cobentzl przed doręczeniem podania panu Colloredo, włożył je do szuflady biurka razem z listem tylko co otrzymanym od księżny Badeńskiej, któ-

ry to list był mocno naperfumowany paczulą. Od listu nabrało zapachu i podanie mego ojca, a że cesarz nie cierpiał tej perfumy, przeto położył prośbę między podwójne okna w swym gabinecie i o niej zapomniał.

W tym czasie powrócił do Wiednia po kilkumiesięcznej nieobecności hr. Razumowski, poseł rosyjski przy dworze Wiedeńskim. Hrabia wracał z Petersburga i przejeżdżając przez Wilno, widział się z rektorem Uniwersytetu. Na zapytanie, jak stoją sprawy uniwersyteckie, rektor odpowiedział: — „Znakomicie, właśnie pozyskaliśmy dla kliniki znakomitego Franka“. — „Czy być może? zdziwił się poseł, a gdy rektor jeszcze raz to potwierdził, ten zawołał: — Jakto, stary Frank miałby opuścić Wiedeń? ależ to niemożliwe!“ — „A jednak, sprawa jest już zdecydowana“. — „W takim razie ja niedopuszczę, aby to się stało i zmyję głowę Frankowi“.

Hr. Razumowski, opowiadając memu ojcu o tej rozmowie, dodał, że jego zdziwienie było tak wielkie, iż na razie zapomniał, że sam jest Rosjaninem, i myślał tylko o tem, że traci lekarza, któremu bezgranicznie ufał. — „W każdym razie proszę mnie nie uważać za egoistę aż do tego stopnia, abym własną wygodę miał przekładać nad dobro mojej ojczyzny. Taki nabytek byłby dla Rosji epokowym. Podczas mego pobytu w Petersburgu miałem możność przekonać się, jak wielkie znaczenie przywiązuje cesarz do oświecenia publicznego. Tam przystaną na wszelkie warunki, by tylko pozyskać pana i jego syna. Z pańskiej strony potrzebną jednak jest wielka odwaga, by zamienić klimat Austrii na litewski. I jeszcze dodam. Pana w Wilnie nie zostawią. Nie zdąży pan tam przyjechać, jak go powołają do Petersburga.

Hrabina de Rombek, Kińska, księżna Lichnowska i baronowa de Puffendorf, które dotychczas atakowały p.p. Cobentzl'a, Colloredo i Sickingena, domagając się od nich, aby wyjednali u cesarza przyznanie ich przyjacielowi Frankowi emerytury dożywotniej, teraz przypuścili szturm do hr. Razumowskiego, prosząc go o pomoc w



uzyskaniu zwolnienia Franka od przyjętego przezeń zobowiązania wyjazdu do Wilna. Mój ojciec stanowczo nie chciał sam czynić jakichkolwiek starań w tym kierunku, nie mogąc łamać słowa, danego Uniwersytetowi wileńskiemu. Poseł rosyjski znowu potwierdził, iż tylko w takim razie będzie mógł działać, jeżeli otrzyma od hr. Cobentzl'a, jako ministra spraw zagranicznych, notę dyplomatyczną z wyrażeniem w niej życzenia cesarza zatrzymania Franka w swej służbie. Ostatecznie nota została posłowi doręczona, ale cesarz nie dał stanowczej odpowiedzi, czy się zgadza na warunki, podane przez mego ojca.

Ojciec doskonale zdawał sobie sprawę z tego, w jak fałszywej znalazł się pozycji i że jego przyjaciele, pragnąc go zatrzymać, postąpili z nim okrutnie. To go tak martwiło, iż odbiło się nawet na zdrowiu. D. 12 marca 1804 r. zachorował bardzo poważnie. Choroba rozpoczęła się od gorączki i silnych bólów w krzyżu. Nazajutrz chory już był nieprzytomny. Nie mogąc i nie chcąc podejmować się leczenia choroby, która miała tak gwałtowny początek, prosiłem o to d-ra Closset'a, cieszącego się opinią dobrego praktyka i wybór ten był przez wszystkich spotkany z uznaniem. Closset zgodził się ze mną, że mamy do czynienia z gorączką reumatyczną, w połączeniu z podagrą, która umiejscowiła się w głowie, ponieważ mózg był szczególnie wrażliwy, dzięki przebyłym niepokojom i troskom. Uchwaliliśmy nie walczyć z gorączką, ale zastosować najenergiczniejsze środki dla odciążenia podagry od głowy do kończyn. Na czwarty dzień choroby zajęcie głowy zostało usunięte, zaś kryzys nastąpił na 7-my dzień, jak raz 19 marca, t. j. w dzień urodzin ojca, moich imienin i rocznicy śmierci mego brata.

Publiczność wiedeńska okazywała choremu żywe i niekłamane współczucie i sądzę, że nie przesadzę twierdząc, iż w ciągu dnia przed naszymi drzwiami zatrzymywało się po dwieście powozów, by zasięgnąć wiadomości o stanie zdrowia mego ojca i siostry Lizety, która w tym

samym czasie była chora na zapalenie płuc i opłucnej. Można sobie wyobrazić moje położenie, ponieważ jednocześnie musiałem leczyć dwie ciężko chore i do tego najbliższe mi osoby. Nigdy nie zapomnę chwili, w której uznałem za konieczne dla obu sprowadzić księdza z Panem Bogiem.

W tych smutnych i okropnych chwilach stała się ze mną rzecz dziwna. Oto wśród największej rozpaczki doznałem tak wilczego apetytu, iż poprostu wstydziłem się do niego przyznać. Nieraz potem obserwowałem ten objaw, jako poprzedzający zajęcie mózgu. Pragnąc, aby turkot powozów nie niepokoił chorego, którego okna wychodziły na ulicę, uzyskałem od policji pozwolenie na wysłanie bruku słomą, z warunkiem, iż opłacę policjanta, postawionego przy drzwiach naszego mieszkania, który miał baczyć, aby przechodnie, zwłaszcza palacze cygar, nie zapruszyli ognia. Słoma nie mogła nikogo zadziwić, ponieważ wyściełanie nią ulic przed domami chorych od dawna było praktykowane. Za to publiczność, szczególnie przedmiejska, widząc policjanta na posterunku przy naszych drzwiach, wyobrażała sobie, że idzie tu o areszt. Ponieważ w tym czasie wiedeńczyków bardzo zajmowała sprawa generała Moreau, puszczone pogłoskę, że aresztowanie Franka zażądał pierwszy konsul Republiki francuskiej<sup>1)</sup>.

Podczas choroby mego ojca nadeszły pod jego adresem dwa listy. Jeden z datą 2 (14) marca 1804 r. za Nr 193 od Rektora Uniwersytetu wileńskiego H. Stroynowskiego, który zawiadamiał, że cesarz rosyjski zatwierdził wybór podwójny na profesorów Jana-Piotra i Józefa

<sup>1)</sup> Moreau Jan-Wiktor, generał naczelny rzeczypospolitej francuskiej (ur. 1763) sławny z wielu zwycięstw. Widząc dumę pierwszego konsula, stał się jego wrogiem. Wmieszany w proces Cadonala i Kichegru (zmowa przeciwko pierwszemu konsulowi w r. 1803) skazany został na wygnanie. Moreau zginął pod Dreznem w r. 1813. Ludwik XVIII na jego grobie złożył buławę marszałkowską.  
(W. Z.).



Franków, oraz umowę, zawartą między nim i rektorem. Drugi list pochodził od księcia Adama Czartoryskiego. Ten, jako kurator Uniwersytetu Wileńskiego, pisał z Petersburga d. 24 lutego 1804 r., w słowach niezwykle uprzejmych i pochlebnych. Listy te wręczyłem ojcu dopiero, gdy zupełnie powrócił do zdrowia. Wzruszyły one go tem bardziej, że prawie jednocześnie hr. de Cobenzl zawiadomił go przez swego sekretarza, iż otrzymał od cesarza upoważnienie do pertraktacji z posłem rosyjskim w celu wyjednania u dworu petersburskiego zwolnienia Franka od przyjętych zobowiązań. Jakby dla przepełnienia miary kłopotów, d. 7 kwietnia 1804 r. nadeszły z Wilna od Uniwersytetu urzędowe dla nas nominacje z dołączeniem następującej umowy.

Umowa, zawarta przez Rektora Uniwersytetu Wileńskiego, z p. Janem-Piotrem Frankiem, Radcą dworu J. Ces. Król. M., dyrektorem szpitala w Wiedniu i profesorem medycyny praktycznej.

1. Radca dworu, Frank, ma być przyjęty na profesora zwyczajnego w cesarskim Uniwersytecie wileńskim, gdzie ma zajmować dwie połączone razem katedry, t. j. kliniki i terapii szczegółowej; wykłady mieć będzie codziennie (prócz świąt) po godzinie w klinice i pięć godzin tygodniowo wykladać będzie terapię. Będzie on również dyrektorem kliniki, która zostanie mu powierzona z całym inwentarzem.

2. Roczna pensja p. radcy dworu, Franka, profesora rzeczywistego dwóch wzmiankowanych nauk, wynosi 6000 rs. sr. Oprócz tego ma być wydzielone dla niego i dla rodziny wygodne mieszkanie.

3. Koszty podróży p. Franka i jego rodziny z Wiednia do Wilna, a także przewiezienie jego ruchomości i biblioteki Uniwersytet bierze na siebie.

4. Uniwersytet ma prosić swego kuratora, ażeby Jan Piotr Frank przyjęty był w randze, odpowiedniej randze

radcy dworu (conseiller aulique) J. Ces. M. cesarza Niemiec.

5. W razie choroby, która nie pozwoliłaby p. radcy dworu, Frankowi, pełnić obowiązków profesorskich, ma on otrzymywać rocznie połowę pensji, t. j. 3000 rs. sr., gdziekolwiek będzie się on znajdował.

6. W razie śmierci p. Franka, obu jego córkom ma być wydawana pensja po 500 rs. aż do ich zamążpójścia.

7. P. doktor Józef Frank wezwany zostaje do cesarskiego Uniwersytetu wileńskiego na katedrę patologii, z którą powinien być połączony dodatkowy kurs terapii ogólnej i oprócz tego winien on być pomocnikiem swego ojca w klinice. P. J. Frank otrzymywać będzie 2000 rs. sr. rocznej pensji oraz wygodne mieszkanie.

8. P. Józefowi Frankowi zapewnia się następstwo po ojcu w klinice i na katedrze terapii szczegółowej, z pensją roczną 3000 rs. sr.

9. Wydatki podróżne p. Józefa Franka i przewiezienie jego ruchomości i biblioteki cesarski Uniwersytet bierze na siebie.

10. Pobieranie pensji p. radcy dworu, Franka, i jego syna, zaczyna się od dnia tego, w którym ustanie wypłacanie im pensji w służbie austriackiej.

Szymon Malewski  
Sekretarz.

Wilno, 5/17 marca 1804.  
H. Stroynowski  
Rektor.

### ROZDZIAŁ III.

(J. P. Frank nie przyjmuje zwolnienia go od umowy z Uniwersytetem Wileńskim.—Przygotowania do podróży).

Przeszło miesiąc wyczekiwaliśmy zgody cesarza austriackiego na warunki przez ojca mego podane i otrzymanie od cesarza rosyjskiego unieważnienia zawartej przez nas z Uniwersytetem wileńskim umowy. Tymczasem przyjaciele utrzymywali mego ojca w nadziei, że nie



dziś, to jutro sprawy ułożą się w ten sposób, iż pozostanie on w Wiedniu.

W ich liczbie był radca stanu, p. Stahl, który w owym czasie miał wielkie zachowanie u cesarza. Hr. Karol Harrach biegał od jednej damy do drugiej, od p. Stahl'a do p. Sickingena, wreszcie do mego ojca, przynosząc mu nowiny, które wieczorem zwykle bywały inne, niż rano. To cesarz miał powiedzieć: „Jednak ten Frank, to dzielny człowiek“, albo: „Jutro zajmę się jego sprawą“. To znowu (słyszając, że arystokracja ma zamiar wydać na cześć Franka ucztę w sali, ozdobionej popiersiem Jego Cesarskiej Mości) — „Mogą sobie to popiersie kupić“.

W tym czasie do J. P. Franka zgłosiło się dwóch zamieszkałych w Wiedniu przemysłowców Greków. W imieniu Ali Baszy, z Janiny, prosili oni profesora o zarekomendowanie kogo na posadę nadwornego lekarza Baszy i podali bardzo korzystne warunki. Mój ojciec pomyślał wtedy o swoim bratanku Ludwiku Franku, który z armją francuską pojechał do Egiptu. Po ustąpieniu Francuzów pozostał tam, aby leczyć pozostawionych żołnierzy, chorych przeważnie na oczy. Czytaliśmy jednak w pismach, iż razem z ostatnim oddziałem wojska wrócił on do Francji. Jakoż w niespełna trzy tygodnie otrzymaliśmy od Ludwika Franka wiadomość, iż przyjął proponowaną mu przez Baszę posadę.

D. 15 maja 1804 r. ojciec mój odwiedził panią de Rombeck i zastał u niej jej brata, hr. Cobentzl'a. Minister z niekłamaną radością spotkał mego ojca: — „Daj mi pan dłoń, uściśnij mnie raz i drugi i wiedz pan, żeś został zwolniony od zobowiązania względem Rosji. Nie tak to łatwo przyszło uzyskać unieważnienie umowy. Książę Czartoryski, do którego, jako do ministra spraw zagranicznych, musiał się zwrócić hr. Stadion, nasz poseł w Petersburgu, na razie ani słuchać nie chciał, aby uniwersytet, zostający pod jego opieką, miał być pozbawiony takiego, jak pan, profesora. Ostatecznie zgodził się przedstawić sprawę cesarzowi. I oto kontrakt unieważniono

i pan pozostaniesz z nami. Powinszujmy sobie i uściśnijmy się“.

Te objawy czułości nie bardzo mego ojca wzruszyły. Nie skrywał on przed hr. Cobentzl'em, że wolałby, aby rozkaz cesarski o emeryturze poprzedził unieważnienie umowy z Rosją. — „Nie, odparł hrabia, tak jest lepiej. Dotąd ja prawie nie wtrącałem się do całej tej sprawy. Teraz mogę wystąpić i, jako minister spraw zagranicznych, przedstawić ją cesarzowi. Jutro będę z nim o tem mówił“.

Wobec takiej obietnicy, zdawało się, że sprawa zostanie załatwiona pomyślnie, ale stało się inaczej. P. Cobentzl tylko uczynił, że cesarz przyrzekł zatwierdzić emeryturę, a nim to nastąpi, Frank ma czekać spokojnie. Sprawa tedy nie postępowała wcale, chociaż przyjaciele mego ojca wierzyli w dobre chęci monarchy. Wreszcie w końcu czerwca ojciec oświadczył panom Cobentzl'owi, Sickingenowi i Stahl'owi, że, jeżeli w ciągu trzech dni nie otrzyma na piśmie decyzji cesarza, to napisze do Wilna, iż nie przyjmuje unieważnienia zawartej umowy i chce ją dotrzymać. Ci panowie zażądali terminu dłuższego i nastawali, aby mój ojciec jeszcze raz udał się do cesarza, niby dla podziękowania za starania, podjęte w celu unieważnienia umowy. Po długim wahaniu ojciec przystał na to i otrzymał audjencję d. 27 czerwca 1804 r.

Monarcha przyjął go z życzliwym uśmiechem.

— „Składam u stóp Waszej Cesarskiej Mości najgołętsze podziękowanie za uzyskanie od Rosji unieważnienia umowy i jednocześnie błagam o miłościwe przebaczenie, jeżeli w całej tej sprawie uczyniłem cokolwiek takiego, co się waszej Cesarskiej Mości mogło niepodobać“.

— „Bardzo pięknie. Ale czyś pan już posłał zrzeczenie się posady w Wilnie?“

— „Jeszcze nie, Najjaśniejszy Panie. Pragnąłem przedtem usłyszeć, jak się skończy moja sprawa“.



— „Dobrze; zrobisz pan to, gdy wszystko zostanie załatwione“.

Nazajutrz ojciec udał się do p. Cobentzl'a, który przyjął go bardzo uprzejmie i zapewniał, iż spodziewa się, że wszystko zostanie załatwione zgodnie z jego życzeniem.

D. 29 czerwca, t. j. w sam dzień św. Piotra, woźny z ministerjum wręczył J. P. Frankowi pismo od pierwszego kanclerza.

— „Ach, pomyślał ojciec, jak to uprzejmie z jego strony, iż wybrał on dzień moich imiennin, by mi przesłać tak piękny prezent, jakim jest emerytura dożywotnia“.

Lecz, jakież było jego rozczarowanie, gdy się przekonał, że pismo zawierało poprostu jego dymisję, zaś o emeryturze nie było ani słowa. Wraz potem ojciec pojechał do p. Cobentzl'a, by się poskarżyć na to, co uważał za zdradę. Jednak p. minister wcale się nie zmieszał i powiedział:

— „Jakie z pana dziecko, kochany Panie Frank! Wszak pańskie dymisja i emerytura, to są dwie sprawy odmienne, które muszą przejść przez dwie różne dykasterje. Wysłanie tedy panu zawiadomienia o dymisji poprzedziło inne, o wyznaczeniu mu emerytur, i tylko. Co pan w tem widzi złego? Trochę cierpliwości, a będzie i reszta“. W oczekiwaniu na ten drugi dokument upłynął cały lipiec. Tę zwłokę starano się wytłómaczyć wyjazdem cesarza do Badenu, ale dowiodła ona właśnie, że nie szło tu wcale, jak o tem zapewniał Cobentzl, o wyekspedjowanie dokumentu, lecz, że pismo dotąd nie było przez cesarza podpisane. D. 4 sierpnia znaleźliśmy w wiedeńskiej gazecie dworskiej (Wiener-Hof-Zeitung p. 3144), że konkurs na otrzymanie katedry medycyny praktycznej w Uniwersytecie wiedeńskim został wyznaczony na 10 października i że pragnący wziąć w nim udział, mają zwrócić się do prezydenta i dyrektora wydziału lekarskiego, rady dworu Stiff't'a. Datowane d. 28 lipca 1804 r. w departamencie dolnej Austrii.

Aby zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie to obwieszczenie musiało sprawić na moim ojcu, p. Cobentzl powiedział mi: „Właśnie powracam z Badenu, gdzie mówiłem z cesarzem. Pańska sprawa wkrótce zostanie załatwiona“.

Pewne zaniepokojenie, dające się postrzegać wśród przyjaciół ojca, jak również słowa, które się wymknęły hr. Karolowi Harrach'owi w rozmowie ze mną, przekonywały, iż nie należy się tym zapewnieniom dowierzać, tem bardziej, że p. Cobentzl usiłował namówić mego ojca do złożenia cesarzowi jeszcze jednego podania.

— „Dość tego, odparł mój ojciec, jak widzę, jestem zabawką w rękach ludzi, którzy przez przyjaźń źle zrozumianą, narażają mnie i moją rodzinę. Upraszam pana o wydanie mi paszportu, abym nie był zmuszony prosić o niego przez posła rosyjskiego“. Gdy ojciec udał się do tego dyplomaty, ten go spotkał z listem w ręku, mówiąc:

— „Przedewszystkiem przeczytaj pan to“.

Był to list do J. P. Franka od ks. Adama Czartoryskiego z d. 2 sierpnia 1804 r.<sup>1)</sup> Książę w uprzejmych wyrazach zawiadamiał, że cesarz rosyjski nie mógł odmówić prośbie cesarza Austrii o unieważnienie kontraktu, zawartego przez Franka z Uniwersytetem wileńskim, ale postawił warunek, aby to zerwanie umowy było po myśli Franka. Gdyby jednak trwał on w zamiarze przyjęcia katedry w Wilnie, cesarz byłby z tego bardzo zadowolony, i w takim razie Frank ma porozumieć się bezpośrednio z Uniwersytetem wileńskim.

Wraz po otrzymaniu tego listu, ojciec napisał do rektora Uniwersytetu wileńskiego, prosząc go, ażeby uważał umowę za niezerwaną i zawiadamiając, iż postara się w jaknajbliższym czasie wyjechać do Wilna.

Co do mnie, to traciłem posadę pierwszego lekarza szpitala. Jeżeli z jednej strony przykro mi było opuszczać Wiedeń, ponieważ miałem tu już wyrobioną opinię i licz-

<sup>1)</sup> W pamiętnikach list ten jest przytoczony w całości, tu podaję tylko jego treść. (W. Z.)



nych przyjaciół, to z drugiej, rad byłem, że wreszcie skończy się cała ta sprawa, która wyczerpała cierpliwość moją, a której przebieg przekonał mnie, że w Austrii nie mogę wcale liczyć na awans, przynajmniej dopóki żyje Stifft.

Mój ojciec zatrzymał swoje mieszkanie w Wiedniu, powierzając je opiece p. Suttlera, zaś bibliotekę, która już odbyła podróże z Niemiec i Włoch, postanowił zabrać ze sobą, również, jak klawikord, oraz niektóre meble i rzeczy, które zostały wysłane do Wilna przez Kraków i Brześć. Konie ojciec sprzedał, zaś powóz, w którym odwiedzał chorych, chciał kupić d-r Capellini i dawał wcale dobrą cenę. Liczył on nato, iż zdobędzie obszerną praktykę, gdy będą go widzieli jeżdżącego w powozie Franka. Zapomniał jednak o tem, co powiedzą jego nieprzyjaciele (i będą mieli słuszność), widząc go w tym powozie: „Oto osiół w lwiej skórze“. Ojciec darował Capelliniemu powóz i polecił go, jako swego następcę swoim pacjentom, ale przytem dodawał, że w razie poważniejszej choroby, radzi zwracać się do d-ra Closset'a, którego reputacja wiele zyskała na tem, iż to on właśnie leczył mego ojca podczas ostatniej jego ciężkiej choroby.

D-r Malfatti, który po opuszczeniu szpitala jeszcze nie zdołał wyrobić sobie praktyki, błagał mego ojca, by ten mu część swojej odstąpił, co też on za mojem poparciem uczynił. Z przykrością dowiedziałem się, że moja główna pacjentka, hr. Zichy z domu Palfy, nie upodobała go sobie. Zabiegi lekarzy nie ograniczyły się do Wiednia, ale objęły również Wilno. Szczególnie d-r Błaszczykiewicz, polak, poddany austriacki, prosił mnie, abym postarał się o posadę. Był to człowiek już nie młody, cierpiący nędzę w Wiedniu, dokąd przyjechał w celu pracy nad medycyną praktyczną i oftalmologią u sławnego Beera. Gdy powzięliśmy zamiar przeniesienia się do Wilna, prosiłem p. Błaszczykiewicza, ażeby mi dawał lekcje języka polskiego, chcąc jednocześnie nabrać wprawy w rozmowie po łacinie. W butelce dobrego wina zna-

lazłem sposób skuteczny, by go zachęcić do pogawędki. Chciał on koniecznie jechać z nami do Wilna i bardzo być może, iż byłby dla nas pożyteczny, jako tłumacz, ale mój ojciec uważał, że na Litwie stałby się dla nas ciężarem, a i młodzi lekarze wileńscy mogliby mieć nam za złe, iż przywieźliśmy go ze sobą<sup>1)</sup>.

Szukaliśmy służących, mówiących po polsku, co nie było trudnem, ponieważ w Wiedniu mieszkało sporo Galicjan, ale otrzymanie dla nich paszportów do Rosji było połączone z pewnym kłopotem, z którego nas wybawił p. Cobentzl, który przysyłając paszporty, dołączył do nich bilecik z napisem, iż „żałuje, że zabrakło nam cierpliwości, bo za dni kilka sprawa ojca byłaby pomyślnie załatwiona“.

#### ROZDZIAŁ IV.

(Podróż do Wilna.—Wilno.—Pierwsze wrażenia).

Wyjechaliśmy z Wiednia d. 16 września 1804 r., tworząc rodzaj karawany. W pierwszym powozie jechał ojciec z dwiema memi siostrami i gospodynią, w drugim dwumiejscowym — pani Frankowa i ja. W każdym z tych powozów na koźle siedział służący. Za nami w bryczce jechali: lokaj, pokojowa i kucharka. Na mnie włożył ojciec obowiązek kierowania podróżą, ale przyzwyczajony podróżować bez towarzyszków i z nadzwyczajną szybkością, źle wywiązywałem się z zadania. Powozy ciężkie i przeładowane rzeczami, nie mogły ruszać się prędko, pomimo, iż zaprzęgano znaczną liczbę koni pocztowych. Ojciec bywał bardzo ze mnie niezadowolony, jeżeli przyjeżdżaliśmy późno na wyznaczone przeze mnie noclegi, co było zrozumiałe, ponieważ powietrze nocne źle wpływało na jego zdrowie, i nawet było przyczyną przeziębienia, które zmuszało nas zatrzymać się w Krako-

<sup>1)</sup> Błaszczykiewicz (Sebastjan) jednak dostał się do Wilna i już w r. 1805 był adjunktem przy szkole klinicznej, za co pobierał 500 rb. rocznej pensji. Um. r. 1813.



wie, dokąd przybyliśmy d. 20 września. Ojciec zaraz po przyjeździe położył się do łóżka i spędził w niem 36 godzin. Byliśmy w strachu, aby nie powróciła choroba, którą przebył w marcu, ale obfite poty przekonały nas, że na szczęście była to tylko zwykła gorączka efemeryczna. Prawdziwem dla nas szczęściem było, że stanęliśmy w doskonałej oberży Szydłowskiego. Odwiedzili nas promedicus Galicji wschodniej, d-r Lorant, oraz kilku profesorów uniwersytetu krakowskiego i w ich towarzystwie spędziliśmy czas bardzo przyjemnie. Jak tylko mój ojciec poczuł się lepiej, poszedłem zwiedzić osobliwości tego starożytnego miasta, które w dziejach Polski grało niezwykle ważną rolę. Przedewszystkiem zwiedziłem instytucje lekarskie, w których rząd austriacki od niedawna zaprowadził porządek. Zrobiłem również wycieczkę do kopalni soli w Wieliczce.

Z Krakowa wyjechaliśmy na Lublin d. 24 września. Odtąd trzeba było pożegnać się z szosą i przebywać morze piasków. Nad Wisłą jednak mieliśmy kilka zachwycających widoków. Wogóle droga była ożywiona, ponieważ wtedy odbywał się handel pomiędzy Tryestem a Rosją, ale dobrobyt mieszkańców stanowił raczej kontrast z ich nieochędnostwem.

W Lublinie stanęliśmy u wdowy Pfefferkorn i odrazu byliśmy obleżeni przez żydów faktorów, ofiarujących nam swoje usługi i przedewszystkiem spekulujących na zamianie monety. Tu widzieliśmy przejazd księżnej Czartoryskiej<sup>1)</sup>, żony księcia Adama, marszałka, zostającego na służbie austriackiej, matki kuratora Uniwersytetu wileńskiego. Jechała ona nie wiem dokąd ze swojej rezydencji w Puławach z niezliczonym mnóstwem powozów. Dało to nam pojęcie o tem, jak podróżują magnaci polscy. Na pół dnia wyprzedzały ją furgony i bryczki z łóżkami, dywanami, toaletą, fotelami, kuchnią, prowizją, winami, portierem, likierami i t. d. Służba urząda-

<sup>1)</sup> Izabeli z Flemingów.

ła dla księżnej lokal w oberży (w której w kilku izbach zwykle nie było ani jednego okna bez wybitych szyb) tak, że ich pani znajdowała już wygodny nocleg i kolację. Obowiązani oni byli ustawić łóżko, toaletę, meble i t. d. w ten sposób, aby pokój był podobny do apartamentu ich pani. Ma się rozumieć, nie zapomniano o perfumach, tem bardziej, że karczmy zwykle należały do żydów, o których jeszcze będę miał sposobność mówić. Na odjeździe magnaci wynagradzali właścicieli oberż według swego widzimisie, płacąc tylko za opał, słomę i karm dla koni.

Co do nas, staraliśmy się unikać takiego sposobu podróży i mieliśmy ze sobą tylko najniezbędniejszą prowizję i im dalej posuwaliśmy się w głąb kraju, tem bardziej przestrzegaliśmy tego. W Theresienpolu (Teresopolu) pożegnaliśmy Austrię. Po przebyciu Bugu, około Brześcia litewskiego, znaleźliśmy się wśród kozaków, którzy bardzo grzecznie otworzyli nam rogiatkę, zagradzającą wstęp do obszernego państwa rosyjskiego. Wygląd ich nie zadziwił mnie, ponieważ widziałem już ich u wrót Wiednia, podczas przejścia armji Suworowa. Wkrótce miałem sposobność przekonać się, że wcale nie byli oni straszni i że z nimi łatwiej można było porozumieć się, niż z rosyjskimi urzędnikami komory celnej.

Oficer kozacki p. Petra był dla nas niezmiernie uprzejmy i nawet zaprosił do siebie na herbatę, ale wraz po tem grzecznem przyjęciu nastąpiło rozczarowanie. Pan oficer oświadczył nam, iż minister uprzedził go o naszym przybyciu, jak również o tem, iż, jako profesorom uniwersytetu, każdemu z nas przysługuje prawo przewiezienia bez opłacenia cła rzeczy na trzy tysiące rubli. — „Ponieważ powozy zagraniczne są w Rosji uważane, jako podlegające ocłeniu, przeto zaliczę je do tych 6 tys. rubli, chociaż ich wartość jest znacznie większa, ale nie chcę sprawiać panom kłopotu. Pozostają jeszcze kufry, walizy i t. d., do przejrzania których przystąpimy, aby obliczyć, ile państwo będą musieli zapłacić“.



Rewizja trwała niedługo i pomimo, że rzeczy zostały oszacowane niżej rzeczywistej wartości, to jednak p. Petra zażądał zapłacenia kwoty w rublach, która na pieniądze austriackie wynosiła 1260 florenów. Pragnąc nas pocieszyć, oficer zapewniał, iż, gdy nadejdą inne nasze rzeczy, będzie on również względny przy ich oceniu. Ten nieoczekiwany podatek i to, co nas jeszcze czekało, ogromnie zmartwiło ojca:

— „Cóżem uczynił, dzieci moje, wioząc was do takiego kraju. Jesteśmy na łasce złodziei i zbójców, rabujących na wielkiej drodze“.

Będąc uprzedzony o sprzedajności urzędników rosyjskich, prosiłem ojca, aby całą sprawę zdał na mnie, poczem odwoławszy p. Petra na stronę, powiedziałem:

— „Ponieważ nie możemy podróżować pieszo z Wiednia do Rosji, przeto jest jasnym, że powozy nie mogą być zaliczone do rzeczy, podlegających oceniu; co zaś do tych ostatnich, to ich wartość nie sięga 6 tys. rubli. Ostatecznie, ponieważ Uniwersytet wileński zobowiązał się zwrócić nam koszta podróży i przewiezienia rzeczy, tedy nie my, lecz on będzie zmuszony zapłacić żadaną przez pana kwotę. Jestem jednak przekonany, że Uniwersytet nie zapłaci, ponieważ byłoby śmiesznem płacić pieniądze z jednej kasy państwowej do drugiej. Lepszyby pan zrobił pozwalając nam jechać dalej bez tych przykrości, za co na podziękowanie pozwałam sobie ofiarować panu 20 dukatów holenderskich“.

— „Co prawda, rzekł p. Petra, to trochę za mało, ale...“ Rozmowę naszą przerwało przybycie kurjera austriackiego, który jechał z Wiednia do Petersburga. Uszczęśliwiony ze spotkania się z nami i mając polecenie od hr. Cobentzl'a, kurjer wręczył memu ojcu szkatułkę od hrabiny Rombeck. Po otworzeniu pudełka przez urzędnika komory, ujrzeliśmy w niem filiżankę porcelanową, ozdobioną prześliczną miniaturą, która wyobrażała dwóch aniołków rafaelowskich. P. Petra, a jeszcze więcej jego żona, która właśnie nadeszła, wyrażali nieklamany za-

chwyt nad pięknnością filiżanki. Widząc to, powiedziałem memu ojcu, że mój targ z oficerem jeszcze nie został zakończony, ale sądzę, że uda mi się pomyślnie załatwić sprawę, jeżeli do obiecanych 20 dukatów dodamy tę porcelanę.

Na razie ojciec wahał się, przykro mu bowiem było rozstać się z upominkiem od tak drogiej przyjaciółki, jaką była hr. Rombeck, ale wreszcie przystał na moją propozycję. Dałem tedy pieniądze panu Petra, a filiżankę ofiarowałem jego godnej małżonce i odrazu byliśmy w zgodzie. Pozostawała do załatwienia inna, dość poważna sprawa. Poczta koniecznie chciała zaprzędz ośm koni do powozu mego ojca, sześć do mojego i cztery do bryczki, żądając za to po dwa złote polskie za milę. To wymaganie nie zgodne było z tem, co nam mówiono o taniości poczt rosyjskich.

Niebawem jednak dowiedzieliśmy się, co to znaczy. Poczty rosyjskie istotnie są nie drogie, ale tylko dla podróżnych, którzy posiadają t. zw. podorożne (foglio di via, bolletone), tacy płacą po dwie kopiejki za wiorstę. Od podróżnych, którzy tego dokumentu nie mają, dozorca stacji pocztowych mogą żądać, ile się im podoba. Byli oni tedy względem nas nawet uprzejmi, nie żądając znacznie większej opłaty.

— „Ale, pytaliśmy, gdzie można dostać podorożnę?“

— „Można ją otrzymać w każdym większem mieście prowincjonalnem, płacąc połowę kosztów pocztowych od tego miejsca, do końca podróży“.

Ponieważ Brześć nie należał do rzędu takich miast, innego na naszej drodze nie było, a do Grodna trzeba byłoby zboczyć z drogi, przeto nie pozostawało nic innego, jak się wyrzec zdobycia podorożnej. Byliśmy już zdecydowani jechać dalej, gdy nadbiegł jakiś pan i złą francuszczyzną zwrócił się do mego ojca:

— „Jestem dyrektorem szkół w Brześciu i mam polecenie od rektora Uniwersytetu wileńskiego, abym przy-



pilnował, gdy pan będzie tędy przejeżdżał i oddał mu to pismo, które mam zaszczyt wręczyć“.

W kopercie znajdowała się wydana przez gubernatora wileńskiego podorożna na 12 koni, w której nawet było wymienione, że jedziemy w sprawie państwowej. Dzięki temu dozorca stacji dodał do liczby koni, wskazanych w podorożnej, bezpłatnie jeszcze pięć, tak, że wypadło nam płacić tylko za trzy konie.

Oprócz podorożnej w kopercie znajdował się także rozkaz, aby zarząd poczty w Brześciu dał nam pocztyljona, który powinien towarzyszyć nam do Wilna, dbać, aby nas nigdzie nie zatrzymywano, załatwiać rachunki i wogóle służyć nam za przewodnika. Tych pocztyljonów nie należy mieszać ze stangretami. Są oni czemś w rodzaju podoficerów, mają uniform i są dobrze uzbrojeni. Pełnią oni funkcje kurjerów, przewodników i dostawców listów.

Co nas najbardziej uderzyło, to pomalowane na zielono słupy, które wskazywały wiorsty i odległość od głównych miast. Ponieważ siedm wiorst równa się jednej mili niemieckiej, wydało się nam dziwnem, że największe na świecie państwo ma najmniejszą miarę przestrzeni. Jechaliśmy tak prędko, jak tylko można było jechać po piaskach litewskich. Olbrzymie lasy, któremi przejeżdżaliśmy, miały w sobie coś majestatycznego. Biały szron nadawał wygląd zimowy rozległym polom pomiędzy lasami, a wiatr północny zdawał się zapowiadać nadejście zimy. Pomimo to jechaliśmy dniem i nocą, nie mając gdzie się zatrzymać. Nazajutrz po wyjeździe z Brześcia przybyliśmy do Słonima. Zanim zaprzężono konie, zaznajomiłem się z synem dozorca, który trochę mówił po francusku.

— „Zapewne Słonim, to duża wieś? — zapytałem.

— „Jak to wieś, Panie? Jest to miasto powiatowe“.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że na Litwie kilkanaście małych domków drewnianych, pobudowanych jeden obok drugiego, stanowią miasto. W każdym innym kraju nazywanoby to wioską.

Ku końcowi drugiego dnia od przebycia granicy byliśmy już zupełnie wyczerpani, to też nieodzownym był wypoczynek i spędzenie nocy w Żyrmunach, małym miasteczku, odległym od Wilna o cztery stacje pocztowe i należącym do jednej z linii rodu Radziwiłłów. Dozorca stacji, raczej pisarz, oddał do naszego rozporządzenia jeźdźcy, jaki był, pokój. Tu ułożyliśmy się do snu na podłodze na słomie i na sianie, po spożyciu skromnej kolacji, która ostatecznie wyczerpała nasze zapasy. Jednak nie niepokoiiliśmy się, ponieważ spodziewaliśmy się nazajutrz stanąć w Wilnie. Kazaliśmy, aby konie były gotowe na godzinę siódmą rano, ale wybiła dziewiąta, a o zaprzęgnięciu koni nikt ani myślał. Próżno zwracaliśmy się do naszego przewodnika pocztyljona. A jednak w stajni stało mnóstwo koni, ale nikt nie chciał zaprzęgać bez rozkazu naczelnika poczty, który również jak pisarz, gdzieś zniknęli. Wreszcie dowiedzieliśmy się, iż to księżna Radziwiłłowa rozkazała, aby nie wypuszczano nas ze stacji przed jej przybyciem, co nastąpiło dopiero w południe. Ujrzelśmy damę już nie młodą, małego wzrostu, dobrej tuszy, ubraną w amazonkę z zielonego sukna. Zwróciła się do nas po niemiecku, który był jej rodzimym językiem, ponieważ urodziła się ona w Niemczech w rodzinie irlandzkiej (Buttler)<sup>1)</sup>. Tyle naprawiła nam grzeczności i tyle okazywała mi względów, iż puściliśmy w niepamięć opóźnienie naszego wyjazdu, spowodowane despotycznym jej rozporządzeniem. Ponieważ nie było sposobu dojechać do Wilna przed północą, musieliśmy zanoćować na ostatniej stacji — Jedlina.

Nocleg był taki sam, jak w Żyrmunach, z tą tylko różnicą, iż udaliśmy się na spoczynek o pustych żołądkach, ponieważ, z wyjątkiem pięciu jaj, niczego tu dostać nie było można, nawet chleba. Był to tedy niezbyt obiecujący wstęp do uroczystego wjazdu do Wilna, który nastąpił d. 4 października o godz. 10 i pół przed południem.

<sup>1)</sup> Franciszka, żona generała Mikołaja Radziwiłła.



Przy rogatec już oczekiwał nas żyd faktor z biletem rektora, który prosił, byśmy zajechali do pałacu Nagórskiej<sup>1)</sup>. Ten tak zwany pałac, był zwykłą kamienicą piętrową i należał do hrabiny Nagórskiej, którą poznałem w Wiedniu, a która wyszła za mąż za księcia Michała



**Hieronim Stroynowski.**

Rektor Uniwersytetu Wileńskiego.

(Z portretu, znajdującego się w pałacu biskupów wileńskich).

Ogińskiego, rozwiedzonego z pierwszą żoną. Hrabina stale mieszkała na wsi, zaś dom wileński służył jej, jako pied à terre, podczas jej przyjazdów do miasta.

<sup>1)</sup> Dziś dom książąt Ogińskich na rogu ulic Pałacowej i Dominikańskiej Nr 2/16, w XVIII wieku należał do hr. Brzostowskich.

Zaledwo zdążyliśmy wejść w posiadanie przeznaczonego nam mieszkania, urządzonego bardzo elegancko, ale które dla nas było za małe, gdy przybył z powitaniem p. Malewski, profesor prawa naturalnego, sekretarz i administrator Uniwersytetu i zaprosił nas na obiad do rektora. Pan Malewski mówił wcale dobrze po francusku, ale co chwila używał wyrazów „la bas“, nawet, gdy mówił o niebie, chociaż w tym ostatnim wypadku należało raczej mówić „en haut“. Trzeba przyznać, że był on wstrętnie brudny. Niedługo potem przyjechał i sam rektor w towarzystwie p. Lobenweina, dziekana wydziału lekarskiego. P. Stroynowski, był to człowiek 50-letni, szczupły, średniego wzrostu o miłym i rozumnym obliczu. Pomimo sukni biskupiej, obejściem przypominał zakonnik. Po francusku mówił z wielką łatwością, czego nie można powiedzieć o p. Lobenweinie, który nawet po niemiecku wyrażał się niepoprawnie, pomimo, iż był to jego język rodowity.

Udając się na obiad do rektora, wstąpiliśmy do klasztoru św. Jana, t. j. do Uniwersytetu, gdzie rektor zajmował trzy cele, jako przeor klasztoru. Tu zastaliśmy go w otoczeniu kanoników Mickiewicza, Kundzicza i Bogusławskiego, oraz księży Tomaszewskiego i Golańskiego. Wszyscy byli profesorami, trzech pierwsi już emerytami, zaś dwaj ostatni pozostawali na stanowiskach.

Ponieważ obiad był urządzony naprędce i potrawy wzięto z rozmaitych traktjerni, nie dziw tedy, iż wydał on się nam obrzydliwym, pomimo, że byliśmy głodni. Ponieważ współbiesiadnicy z wielką trudnością wysławiali się po francusku, przeto rozmowa z nimi wcale nie była przyjemną i nie wynagrodziła nas za zły obiad. Dzięki tej uczcie wpadłem w czarną melancholję, które to usposobienie w głębi serca podzielał mój ojciec, ale nadrabiał miną. Gdyśmy powrócili do domu, nie mogłem się powstrzymać od uwagi, iż nie warto było porzucać świetnej stolicy i odbywać długiej i uciążliwej podróży po to tylko, aby trafić do klasztoru. — „Czy nie uważałeś, oj-



cze, że na twarzach tych mnichów maluje się głupota, połączona z chytrą? Czy zwróciłeś uwagę, jak głupio, niemal idyotycznie uśmiechali się oni, gdyśmy mówili o urządzeniach, jakie powinien posiadać dobrze zorganizowany Uniwersytet?”

— „Cóż stąd, odrzekł ojciec, może z czasem uda się nam wyrwać Uniwersytet z rąk tych panów. Nie trać tedy mój drogi odwagi. Przedewszystkiem trzeba nam rozejrzeć się, a potem zaczniemy działać. Na początku każdej sprawy są trudności i biada temu, kto odrazu traci odwagę i opuszcza ręce“.

Rozmowę naszą przerwało przybycie p. Jędrzeja Śniadeckiego, profesora chemji. Mój ojciec radośnie powitał go, jako swego dawnego ucznia w Pawji i Wiedniu, ja zaś, jako starego kolegę, z którym razem studjowaliśmy i który był najlepszym przyjacielem mego biednego brata. Uściskaliśmy się serdecznie, przyczem Śniadecki był nietylko wzruszony, ale i zmieszany. Dotąd był on na Litwie najbardziej wziętym lekarzem praktykiem; teraz rozumiał, iż będzie musiał ustąpić pierwszeństwa memu ojcu. Wszystko to, co Śniadecki opowiadał nam o Uniwersytecie, klinice, o drożyźnie w Wilnie, wcale nie było pocieszającym, to też po doznanych tego dnia wrażeniach, spędziliśmy noc nieszczególnie, chociaż po raz pierwszy od wyjazdu z Krakowa spaliśmy w łózkach.

Nazajutrz rektor przedstawił nas wojennemu gubernatorowi Litwy, generałowi Bennigsen'owi, któremu byliśmy szczególnie poleceni przez hr. Razumowskiego i Panina. Przyjęcie, jakiego doznaliśmy u niego, również, jak u biskupa Kossakowskiego, nie pozostawiało nic do życzenia. Obaj zaprosili nas na obiad w dni najbliższe. Uniwersytet również urządził na cześć naszą wieczór, na którym rej wodzili mnisi, co wystarczyło, aby pozbawić mnie humoru.

Ale wielki czas, aby podróżnik oddał pióro historykowi. Z chwilą przybycia do Wilna rozpoczęła się w życiu naszym nowa era. Znaleźliśmy się w kraju, gdzie

wszystko dla nas i moich czytelników było nowością. Nie potrafiłbym pisać w dalszym ciągu mojej biografji, bez oświetlenia otoczenia i warunków, w jakich odtąd mieliśmy żyć. Środowisko to wciąż się zmieniało, ponieważ takie, jak Rosja, młode państwo wielce się różni od starych monarchji. Tu, z powodu ciągłej zmiany systemów rządzenia, jeden rok nie jest podobny do drugiego. Wszystko tu jest nie stałe, za wyjątkiem samej niestałości, która jedna jest stałą. Po zastosowaniu jednego systemu w jakie półroku zastępują go wręcz przeciwnym.

Profesor z Charkowa de Sehade otrzymał order za wydaną przez siebie książkę, a niedługo potem za tę samą książkę kazano mu opuścić Rosję.

## ROZDZIAŁ V.

(Wilno w chwili naszego przybycia.—Uniwersytet.—Profesorowie).

Wilno, stolica Litwy, liczy przeszło 35 tysięcy mieszkańców, w tej liczbie prawie 24 tys. katolików, 600 grekowschodniego obrządku, 500 protestantów, 100 reformowanych, 11 tys. żydów i 60 mahometanów. Szlachta, Uniwersytet, mieszczaństwo, składają się przeważnie z katolików; do wyznawców obrządku wschodniego należą urzędnicy państwowi, niektórzy kupcy i włościanie ruscy. Luteranie i kalwini (po większej części Niemcy) zajmują się sztuką, rzemiosłem i handlem. Żydzi stanowią osobny naród, którego dzieje giną w zmierzchu wieków. Według p. Tadeusza Czackiego<sup>1)</sup>, żydzi do zachodniej Polski przyszli z Niemiec, zaś do Wschodniej — z nad morza Kaspijskiego. P.p. Surowiecki<sup>2)</sup> i Beer<sup>3)</sup> są tegoż zdania i do przybyszów ze Wschodu zaliczają również

<sup>1)</sup> Rozprawa o żydach. Wilno 1807.

<sup>2)</sup> Sledzenie początku narodów słowiańskich. Warszawa 1824.

<sup>3)</sup> Geschichte, Lehren und Meinungen der Juden. Leipzig 1825.



karaimów, którzy wcale po niemiecku nie mówią. Ale nawet ci żydzi, którzy przywędrowali z Niemiec, pod wielu względami bardzo się różnią od swoich współwyznawców niemieckich. Ubiorem ich jest strój don Bazyla z Cerulika Sewilskiego. Zaś kobiety używają stroju wschodniego, niekiedy bardzo bogatego, często kroć składającego się z lachmanów i prawie zawsze niemożliwie brudnego.

Wilno, pod względem wyglądu zewnętrznego, przedstawiało obraz chaosu. Co krok widziało się piękne pałace pośród lichych lepianek. Ratusz w pięknym stylu włoskim znajdował się na ładnym placu, ale zabudowanym przez nędzne szopy. Ulica, wiodąca ku wspaniałej katedrze (*les avenues de la superbe Cathedrale*)<sup>1)</sup> była niebrukowana, zapelniona kupami wszelkiego rodzaju śmiecia i niedostępna podczas sloty. Było gdzieś gdzie w mieście kilkanaście kamienic, ale przeważały liczbą domy drewniane<sup>2)</sup>.

Pomimo położenia na pochyłości wzgórz, przy zlanu się dwóch rzek (Wilji i Wilenki), miasto było bardzo brudne, a nierogaczyna swobodnie spacerowała na ulicach. Na brzegu rzeki, tuż po wyjściu z miasta, można było oglądać i czuć kupy gnoju, wysokością sięgające

<sup>1)</sup> Dzisiejsza ulica Ś-to Jerska. (W. Z.)

<sup>2)</sup> Ten tak niepoehlebny opis Wilna nie zupełnie odpowiada rzeczywistości. Nie dziw, że przybytemu z Wiednia, po zwiedzeniu Paryża, Londynu i innych stolic europejskich, ówczesne Wilno nie musiało się wydać ponętnem z jego wązkami, krzywymi i zanieczyszczonymi ulicami. Myli się jednak Frank, twierdząc, że w Wilnie było kilkanaście domów murowanych. W archiwum miejskiem przechowują się księgi (Nr Nr 285, 1812 i 2279) z końca XVIII w., w których są wpisane numery domów wileńskich. Z tych ksiąg, jak również z prac Kirkora, Balińskiego (statystyczne opisanie m. Wilna 1835), Sztera (*Statisticzeskoje izabraženje gorodow i posadow Rosijskoj impierji po 1825 god*) widać, że na początku XIX w. Wilno liczyło około 800 domów murowanych i 567 drewnianych. Ulice: Żydowska, Jatkowa, Szklanna, całe były murowane. Liczne pałace magnatów, rozległe zabudowania 23 klasz-

wzrostu człowieka, a chcąc się dostać na przedmieścia, trzeba było brnąć po kostki w piasku, lub błocie. Wszyst-



Plac ratuszowy.

kie te ujemne strony sownie okupywały się pięknnością okolic.

Na północy<sup>1)</sup>, na lewym brzegu Wilji, znajdował się Antokol (*ante colles*). Tu wśród drzew sosnowych cią-

torów, olbrzymie gmachy uniwersyteckie, zajmujące całą dzielnicę, wszystko to już było, gdy Frank do Wilna przyjechał. Domy drewniane przeważnie były na przedmieściach. W lat kilka po przybyciu Franka, dzięki wskazówkom Towarzystwa lekarskiego i szczególnie dzięki energji gubernatora Rückmana, miasto tak dalece zostało oczyszczone, że gdy ces. Aleksander I zwiedził je, był zachwycony i zawołał: „c'est un bijou!“ Już w roku 1630 zaczęto brukować ulice. Na początku XIX w. już posiadały bruk ulice: Wielka, Zamkowa, Ś-to Jańska, Niemiecka, Wileńska, Trocka, Ostra, Żydowska, Szklanna, Subocz i Spaska (ob. Kirkora—Przewodnik po Wilnie, wyd. 3-ie ser. 43). Tylko mniejsze zaułki i przedmieścia bruku nie miały. (W. Z.)

<sup>1)</sup> Właściwie na wschodniej stronie miasta. (W. Z.)



gnęły się wzgórza, ozdobione pięknymi kościołami, pałacami i ogrodem Sapieżyńskim... Na prawym brzegu rzeki, około Zielonego mostu, wznosił się pałac t. zw. Pirmont<sup>2)</sup>, a w oddaleniu na górze było widać przepiękne Werki, niegdyś należące do ks. Massalskiego. Na wschodzie była położona wesoła dolina Popławy, którą przerzynała Wilenka. Idąc w górę wzdłuż tej rzeki, drogą na Równie-Pole, wstępowało się w inną dolinę, zwaną Puskarnią, która przypominała Szwajcarię. Na południu uderzała widza różnaitość widoków. Około Rybiszek sosny ustąpiły miejsce dębom. Z łąk zielonych wzrok przenosił się na żółte piaski, a ze wzgórz na wody rzeczek i strumieni. Zwróciwszy ku zachodowi wchodziło się do lasu sosnowego, za którym znajdował się Zakret (Sacretum). Niegdyś służył on jako miejsce odpoczynku Jezuitów, zaś obecnie należał do barona Bennigseny, wojennego gubernatora Litwy, który miał tu letnią rezydencję.

Wilno nie miało niedostatku w żywności, szczególnie w zimie, kiedy sanna ułatwiała komunikację. Mięso wołowe, cielęcina i wieprzowina były przedniego gatunku i prawie dwa razy tańsze, niż w Wiedniu. Nie brakowało również doskonałego ptactwa i pulardek. Na rynki obficie dowożono jarząbki, przepiórki, bekasy, cietrzewie i zające, ale nie można tu było dostać sarniny i dzików, chociaż błota pińskie obfitowały w te zwierzęta. Niemen, Wilja i liczne jeziora dostarczały mnóstwo ryb, sprzedawanych bardzo tanio, zaś w Wilence łowiono pyszne raki. Kartofle, kapusta i buraki stanowiły zwykłe pożywienie pospółstwa, zaś szparagi, kalafjory i karczochy można było spotkać na stole tylko ludzi dostatnich. Chleb był wyśmienity, również, jak piwo, zwane stołowem. Wino, kupowane w butelkach, było drogie, ale z Rygi można było sprowadzać wino bordoskie w ankrah (44 butelki) po siedm dukatów, zaś malagę po ośm dukatów za

<sup>1)</sup> Dziś niema już ani śladu pałacu, pozostała tylko nazwa. (W. Z.).

ankier. Butelka wina szampańskiego kosztowała 12 franków, a portera — pięć.

Ponieważ Wilno ze wszystkich stron było otoczone olbrzymimi lasami, zdawałoby się, iż drzewo opałowe powinno tu być niezmiernie tanie. Tak jednak nie było, gdyż brakowało rąk do ścinania drzew, a i dostawa sporo kosztowała, ale za to było to drzewo niezrównane i na południu Europy z pewnością używanoby je do czego innego, jak do palenia w piecach. Z głębi Rosji przywożono w obfitości świece.

O zaprzęgach wileńskich dałoby się wiele powiedzieć. Zawsze im czegoś brakowało. Nieraz do eleganckiego powozu były zaprężone liche szkapy, to znowu śliczne konie przy obrzydliwej karecie, a jeżeli jedno i drugie były w dobrym stanie, za to stangret i lokaj byli ubrani niemożliwie. Nie mówię tego o zaprzęgach rosyjskich, chociaż nas, jako nieprzyzwyczajonych do tego, raziła niejednakowa maść koni. Zwykle zaprzęgano czwórkę koni. Na koźle siedział brodaty stangret, trzymający lejce bliższej pary koni, zaś na przednim prawym koniu jechał konno mały chłopak, który również kierował lewym. Była to jazda furiosa, ponieważ ten koń musiał galopować z głową zwieszoną w stronę zewnętrzną<sup>1)</sup>.

Podziwiałem w zamożnych domach wileńskich niezmierną ilość służących, najczęściej poddanych. Utrzymanie ich kosztowało nie dużo, ale też służyli oni niedbale, a to z powodu nałogu pijaństwa, hultajstwa, niechędóstwa, którym się nawet szczycili. Gdy pewnego razu marszałkowa, księżna Czartoryska, uskarżała się na nieznośny smród, rozchodzący się od nóg stojącego za jej krzesłem, podczas obiadu, lokaja, ten z całą naiwnością rzekł: „Ach, cóżby dopiero księżna pani powiedziała, gdybym zdjął buty!”

Oprócz tłumy służby, w przedpokojach większości

<sup>1)</sup> Frank pomieszał zaprzęg polski, czwórką koni w lejce z „trójką” rosyjską. (W. Z.).



domów (nie wyłączając nawet domu biskupa wileńskiego) zawsze znajdował się żyd faktor, który załatwiał najrozmaitsze polecenia, kupował i sprzedawał. Panie miały własne faktorki. Te znosiły zewsząd do domu najrozmaitsze towary, wymieniały je na stare manatki. Prawie wszystkie te nieszczęśliwe żydówki miały parchy.

Wilno posiadało sporo sklepów pierwszorzędnych i doskonale zaopatrzonych. Właścicielami ich byli przeważnie Niemcy. Pomiedzy sklepami wyróżniał się należący do Reyzera i Karnesa. Ci panowie, żyjąc nad stan, w końcu zbankrutowali. Co prawda, trudno im było dłuższy czas konkurować z kupcami-żydami, którzy, żyjąc prawie w nędzy i zadawalając się małym, mogli sprzedawać towar znacznie taniej. Trzeba dodać, że żony urzędników rosyjskich wstępowały do sklepów, brały, co się im podobało i często wcale nie myślały płacić. Skarżyć je nie było można, ponieważ protekcja ich mężów była potrzebną na wypadek przyłapania kontrabandy i w wielu innych okolicznościach.

W Wilnie znaleźliśmy znacznie więcej zakonników i zakonnice, niż w Wiedniu. Dominikanie, Bernardyni, Pijarzy, Karmelici bosy i trzewiczkowi, Franciszkanie, Kapucyni<sup>1)</sup>, Misjonarze, wszystkie te zakony posiadały obszerne klasztory w mieście lub w jego okolicach. Z pośród zakonów żeńskich wyróżniały się: Wizytki, Bernardynki, Marjavitki, Bazyłjanki i mniszki zarzeczne, które miały przytułek dla rozwódek, wdów i sierot<sup>2)</sup>. Pensjonarki miały prawo swobodnie wychodzić za mury klasztorne z warunkiem, aby nie dawały powodu do zgorszenia.

<sup>1)</sup> Kapucynów, o ile wiem, w Wilnie nie było.—Nato miast Frank pominął Bazyłjanów, Augustjanów, Trynitarzy, Kanoników Lateraneńskich, Karmelitanki, Siostry miłosierne, Klaryski św. Michalskie. Wszystkie te zakony również miały w Wilnie własne klasztory. (W. Z.)

<sup>2)</sup> Były to Bernardynki Zarzeczne. (W. Z.)

Z wyjątkiem katedry, kościoła św. Kazimierza<sup>1)</sup>, kościoła św. Jana (Uniwersyteckiego), wszystkie inne kościoły wileńskie należały do klasztorów.



**Leontjusz Bennigsen**

general-gubernator wileński (1801—1806).

W kościołach, szczególnie u Dominikanów, ku memu wielkiemu oburzeniu, publiczność zachowuje się wprost nieprzyzwoicie. Podczas nabożeństwa ludzie

<sup>1)</sup> Dziś sobór prawosławny przy ulicy Wielkiej. (W. Z.)



wchodzą i wychodzą, gawędzą, prawią sobie grzeczności, a panowie przy spotkaniu zamieniają uściski.

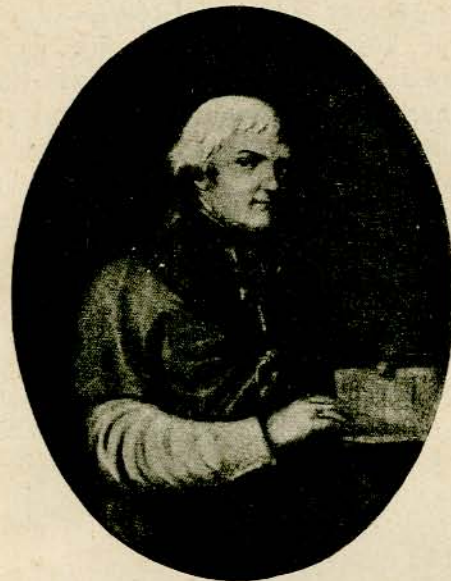
Oprócz kościołów katolickich, Wilno posiada również cerkwie obrządku wschodniego, kościół luterański, zbor ewangelicko-reformowany, synagogę i meczet.

Katolicy niezbyt ściśle obserwują niedziele, a nawet w te dni włościanie, zajęci w dniu powszednie, przywożą na rynek na sprzedanie produkty wiejskie. Za to żydzi tak ściśle zachowują szabasy i inne święta, iż w takie dni za żadne skarby nie zgodziliby się sprzedać czegokolwiek. Tatarzy również świętują w piątki. Byłem zdziwiony zgodą, a nawet prawie braterstwem, jakie panowały pomiędzy przedstawicielami rozmaitych wyznań. Na obiedzie u generał-gubernatora z powodu dnia urodzin cesarza Aleksandra (12 (24) grudnia), widziałem siedzących przy stole, obok siebie, biskupa katolickiego, archimandrytę greko-wschodniego obrządku, pastorów luterańskich i kalwińskich, którzy przyjaźnie ze sobą gawędzili.

Generał-gubernator prowadził dom otwarty, zimą w mieście, latem w Zakrecie. Niezrównaną była jego gościnność, również jak i jego małżonki. Ponieważ baron Bennigsen, liczący w tym czasie 60 lat wieku, ale jeszcze czerstwy i niezwykle wysokiego wzrostu, był postacią historyczną tak ze względu na jego czyny wojenne, jak również, że był jednym ze spiskowców, którzy pozabili życia Pawła I, przeto sądzę, iż to, co o nim powiem, zainteresuje czytelników.

Baron Bennigsen pochodził ze szlachty hanowerskiej i już w bardzo młodym wieku obrał sobie karierę wojskową. Gdy nieszczęśliwa królowa duńska, Maria Klotylda schroniła się do posiadłości swego brata Jerzego III, króla Anglii, właśnie Bennigsenowi powierzono straż w Zelle. Potrafił on do tego stopnia pozyskać sympatię interesującej uwięzionej, iż obawiano się, aby nie zastąpił Strucksse'a i ma się rozumieć postarano się go usunąć, co tak zmartwiło Bennigsen, iż postanowił on

opuścić ojczyznę i szukać szczęścia w Rosji. Tu go przyjęto bardzo dobrze i pierwsze jego kroki były bardzo pomyslnie. Znając doskonale służbę kawaleryjską, Bennigsen napisał wielce przez znawców cenione dzieło, zawierające instrukcje dla oficerów tego rodzaju broni. Istotnie praca jest napisana z niezrównaną jasnością i talentem. P. Bennigsen odznaczył się w wojnach z Persją, Turcją



**Jan Nepomucen Korwin-Kossakowski.**

Biskup Wileński.

(Z portretu, znajdującego się w pałacu biskupów wileńskich).

i szczególnie z Polską, to też pozyskał on łaskę cesarzowej Katarzyny II, ale właśnie wskutek tego był nielubiany przez jej następcę Pawła I.

Wraz po przybyciu na Litwę p. Bennigsen zapalał miłością ku pannie Andrzejkiewiczównie, córce zwykłego szlachcica z gubernji grodzieńskiej. Panna chociaż kochała innego, poświęciła się dla rodziny i oddała rękę generałowi. Nie bez tego, że próżność grała w tem rolę,



bo też nie było to bagatelą zostać małżonką przedstawiciela osoby cesarza w kraju tak obszernym, iż stanowił on jakby osobne państwo.

W chwili naszego do Wilna przybycia, posada gubernatora cywilnego wakowała. Obowiązki jego czasowo pełnił wice-gubernator p. Bagniewski. Ten urzędnik, chociaż zestarzał się w biurach, był jednak nie zdolnym stać na czele gubernji. Żonę miał również Litwinkę, pannę Milejkównę, którą, chociaż przystojną, nie można było nawet porównać z panią Bennigsenową. Człowiekiem, na którego barkach spoczywał cały ciężar rządów wojennego i cywilnego, był Polak Bobiatyński, niezwykle pracowity, ale bardzo giętki. Jego żona, również Polka, wcale niebrzydka, miała dziwnie naiwny wyraz twarzy, co nie było pozbawione pewnej oryginalności. Nie miała ona wprawy w języku francuskim i niekiedy prawiała takie rzeczy, których nieodważam się powtórzyć.

Na czele kleru katolickiego stał biskup Kossakowski<sup>1)</sup>, wymagający dla siebie i pobłażliwy dla innych. Z zaletami swego stanu, biskup łączył wykwintne obejście salonowe. Mieszkając z bratem, podczasym, który miał za żonę kobietę bardzo inteligentną, biskup chętnie udzielał się towarzystwu dam, które go ubóstwiały za jego cnotliwość i uprzejmość.

Główny zarząd poczt ośmiu gubernji znajdował się w Wilnie i na czele jego stał rzeczywisty radca stanu Ławiński, który czynił mu zaszczyt. Miał on wygląd dygnitarza, świetnie władał kilkunastu językami, wyróżniał się inteligencją, ale na nieszczęście miał język bardzo złośliwy. Małżonka jego, również rosjanka, była dobrą żoną, ale znaną była z zazdrości, którą zamęczała męża, a od której cierpiało również wielu żonatych urzędników, mających tu posady. P. Ławiński nie bardzo lubił pracować i wyřęcał się swoim pomocnikiem, p. Hornem, pochodzącym z Inflant, i bardzo spokojnym. Tyl-

1) Jan Nepomucen Kossakowski. (W. Z.).

ko co właśnie narobiło w mieście nie mało hałasu porwanie przez niego pasierbicy p. Briôteta, profesora chirurgji w Uniwersytecie wileńskim.

Ojczym nie zgadzał się na małżeństwo, ponieważ p. Horn zajmował nieznaczną posadę. Ten, rozporządzając pocztą i mając protekcję generał-gubernatora, porwał pannę, wziął z nią ślub i wprowadził do towarzystwa już jako swoją żonę. Była ona tylko niebrzydka, ale za to miała sporę dozę kokieteryj, to też mówiono, że to ona porwała swego męża.

Prezydent Lachnicki należał do niewielkiej już liczby tych, którzy zachowali strój polski. Mówił on tylko po polsku, albo po łacinie i nie będąc uczonym, posiadał dużo zdrowego rozsądku. Żona jego była zachwycająca, ale bez wykształcenia.

W Rosji każda gubernja ma swego marszałka szlachty, którego obowiązkiem jest obrona właścicieli ziemskich, w razie, gdyby gubernator wojenny lub cywilny zechciał ich prawa naruszyć. Marszałkom przysługuje prawo bezpośredniego zwracania się do cesarza. W Wilnie marszałkiem był hr. Brzostowski, człowiek bardzo miły i uprzedzająco grzeczny, również jak jego żona, z domu hrabianka Chreptowiczówna. Z godnością i wdziękiem robiła ona honory domu w swych salonach, w których wieczorami zbierało się liczne i wyborowe Towarzystwo. Na tych wieczorach zwykle podawano obfitą kolację.

Kolacją kończyły się również wieczorne przyjęcia u generał-gubernatora. Na jednym z przyjęć u marszałka byłem świadkiem wzruszającej sceny. Cesarz Aleksander, dowiedziawszy się, że kilkunastu Polaków, konfederatów Barskich, dotąd znajdowało się na wygnaniu w głębi Rosji, nie tylko obdarzył ich wolnością, ale rozkazał przewieźć ich na koszt skarbu do ojczyzny. Starcy, w liczbie prawie trzydziestu, jadąc przez Wilno, przedstawiali się hr. Brzostowskiemu, który niezwłocznie zaproponował gościom składkę na rzecz konfедера-



tów. Jakoż w ciągu paru minut, nie wychodząc z salonu zebrał przeszło 200 dukatów.

Pod względem wystawności i przepychu z marszałkowstwem rywalizowali: hrabia Choisei-Gouffier syn posła francuskiego w Konstantynopolu, żonaty z hrabianką Potocką, niegdyś panną dworu Katarzyny II, hrabia Kossakowski, wielki łowczy litewski, ożeniony z siostrą pani Choisei'owej, hrabia Tyzenhauz, pan Morykoni — pisarz i hr. Potocki. Ten ostatni miał za żonę Pacównę, pochodzącą z rodu włoskiego de Pazzis.

Obiady, wieczory i bale, wydawane przez to Towarzystwo, dodawały Wilnu świetności. Otwarto kasyno w domu Müllera <sup>1)</sup>, w którym urządzano maskarady i inne zabawy. Chociaż przybyłem z Wiednia, byłem zdumiony zbytkiem, jaki na tych zabawach panował. Szampan i porter spijano, jako zwykły napój, a za kolację płacono po 3—5 dukatów od osoby. Wkrótce jednak nastąpił rozłam pomiędzy członkami kasyna. Część ich odziedziła się i założyła własny klub w domu Wittingoffa <sup>2)</sup>. Oba te towarzystwa rywalizowały ze sobą w urządzaniu coraz to zbytkowniejszych zabaw.

Pomimo tylu rozrywek, teatr był chętnie odwiedzany. A jednak trzeba było mieć wielką odwagę, aby być w nim w zimie. Widzowie marzli i zdarzało się, że w widowni termometr wskazywał 12, a nawet 16° R. poniżej zera, co było łatwym do zrozumienia, ponieważ przez sufit można było oglądać gwiazdy. Trupa pani Morawskiej była wcale niezła, ale ci sami aktorzy musieli grywać role tragiczne, komiczne, nawet śpiewać.

Uniwersytet wileński, założony w r. 1578, był raczej klasztorem, w którym za rządów polskich oprócz teologii, filozofji i matematyki wykładano również potrochu chirurgję.

<sup>1)</sup> Dziś dom Nr 3, (Stołwińskiego) przy ul. Niemieckiej.

<sup>2)</sup> Również przy ul. Niemieckiej, na rogu Trockiej Nr 1 (hotel Sokołowski).

Na lat kilka przed przyłączeniem Litwy do Rosji, rezydująca w Warszawie Komisja Edukacyjna utworzyła w tym Uniwersytecie kilka katedr nauk fizycznych i lekarskich. Ostatni król polski zaprosił nawet J. G. A. Forstera, sławnego ze swej podróży naokoło świata i powie-



**Dom Wittingoffa w Wilnie przy ulicy Niemieckiej, w którym mieścił się klub.**

rzył mu katedrę historii naturalnej. Medycynę praktyczną wykładał niejaki Langmejer, lekarz wiedeński. Z Wiednia również sprowadzono Lcbenweina na katedrę anatomji, i Szpitznagla na miejsce Forstera, który również jak Langmejer bardzo nie długo bawił w Wilnie.



Szpitznagel atoli więcej zajmował się praktyką prywatną, niż wykładami w Uniwersytecie <sup>1)</sup>.

Gdy wstąpił na tron cesarz Paweł I, Jezuiti, którzy byli wygnani z Polski i musieli opuścić założony przez siebie Uniwersytet, rozpoczęli u cesarza starania o odzyskanie tej uczelni. Niewątpliwie to by się im udało, gdyby planów ich nie pokrzyżowało słówko, rzucone przez generała Kutuzowa, (który potem wstąpił się w wojnie 1812 r.). Słótko to miało na celu wzbudzić nieufność podejrzliwego cesarza względem Jezuitów, którzy niby mieli widoki na cerkiew prawosławną. Słyszałem o tem z własnych ust p. Kutuzowa. Chociaż cesarz Paweł zachował niezależność Uniwersytetu wileńskiego, to jednak nie był dlań zbyt łaskawym. Pewnego pięknego dnia rozkazał aresztować rektora Uniwersytetu (biskupa Stroynowskiego), za to, iż ten ośmielił się przedstawić cesarzowi protest <sup>2)</sup>. Biskupa jednak zamknięto w klasztorze <sup>3)</sup>, a nie na odwachu, jak to miało miejsce w r. 1823 z rektorem Twardowskim.

Jak tylko rządy państwa rosyjskiego objął cesarz

<sup>1)</sup> Od r. 1780 za rektoratu Marcina Poczobuta-Odlanickiego, sławnego astronoma w szkole głównej litewskiej profesoremami byli również: Mikołaj Regnier—prof. chirurgji teoretycznej, Bisio — prof. anatomji i fizjologii, Sartoris — prof. chemji, Briótet—prof. chirurgji praktycznej i Gilibert—prof. historii naturalnej, znakomity botanik.

Już w roku 1641, dn. 11 paźdz. Władysław IV nadał Akademji Wileńskiej przywilej na publiczne wykładanie prawa kanonicznego i cywilnego, oraz medycyny. (Obacz M. Balińskiego, Dawna Akademia Wileńska). (W. Z.).

<sup>2)</sup> Gdy Jezuiti rozpoczęli starania o zwrot im Uniwersytetu Wileńskiego, rektor Stroynowski przedstawił cesarzowi na piśmie niebezpieczeństwo, jakie by groziło nauce i uniwersytetowi, gdyby go posiadli Jezuiti. Ci ostatni, będąc w owym czasie w łaskach u Pawła, potrafili przedstawić mu postępowanie Stroynowskiego, jako wysoce zuchwale. Wtedy cesarz kazał uwięzić rektora. (W. Z.).

<sup>3)</sup> U Bonifratrów. (W. Z.).

Aleksander, rektor Stroynowski udał się do Petersburga, aby wyjednać u młodego monarchy zatwierdzenie Uniwersytetu wileńskiego. Jednocześnie przedstawił on plan reformy Uniwersytetu. Do p. Stroynowskiego przyłączył się hr. Tadeusz Czacki, mąż niezwykle światły, uczony i cały oddany dobru publicznemu. Znaleźli oni poparcie ze strony księcia Adama Czartoryskiego, który, wychowany razem z cesarzem, i jako minister spraw zagranicznych, był wszechpotężny. D. 4 kwietnia 1804 r. został wydany Ukaz potwierdzający Uniwersytet Cesarski w Wilnie. Do ukazu był dołączony statut, t. j. Regulamin dla Uniwersytetu i szkół jemu podwładnych. Statut również był przez cesarza zatwierdzony d. 18 maja 1803 r. Przyłączam rozdział o podziale Uniwersytetu na fakultety i o ustanowieniu na nich katedr. Sądę, że to moich czytelników zainteresuje.

### Wyciąg z rozdziału 2-go Statutu Uniw. Cesarsk. Wileńsk. o katedrach nauk i o profesorach Uniwersytetu Wileńskiego.

#### § 21.

Uniwersytet ma katedry i profesorów dla dawania: 1-o. Nauk powszechnie i wszystkim pożytecznych; 2-o. Nauk pożytecznych dla obywateli różnego stanu i potrzebnych w różnym rodzaju służby publicznej. Zatem, podług powszechnego podziału Uniwersytetu na cztery oddziały, czyli fakultety, ma być najmniej:

I. W fakultecie nauk fizycznych i matematycznych dziesięć głównych kursów i dla dawania 10 profesorów, to jest:

1) profesor fizyki, 2) chemji, 3) prof. historii naturalnej, 4) botaniki, 5) prof. wiejskiego gospodarstwa, 6) prof. wyższej czystej matematyki, 7) prof. wyższej stosowanej matematyki, 8) astronom obserwator, 9) prof. astronomji, 10) prof. cywilnej architektury.

II. W fakultecie medycznym głównych siedm kur-



sów i tyleż profesorów, to jest: 1) profesor anatomji, 2) prof. patologji, 3) prof. materji medycznej, 4) prof. kliniki, 5) prof. chirurgji, 6) prof. położnictwa, 7) sztuki weterynaryjnej.

III. W fakultecie nauk moralnych i politycznych—dziesięć głównych kursów i dziesięciu profesorów, to jest: 1) prof. logiki i metafizyki, 2) prof. filozofji moralnej, 3) prof. prawa natury, politycznego i narodów, 4) prof. ekonomji politycznej, 5) prof. prawa cywilnego i kryminalnego znaczniejszych dawnych i terażniejszych narodów, 6) prof. prawa cywilnego i kryminalnego w Imperjum Rosyjskiem i byłych polskich prowincjach do Rosji przyłączonych, 7) prof. historii powszechnej, 8) prof. pisma Ś-go, 9) prof. teologii dogmatycznej i 10) prof. teologii moralnej.

IV. W fakultecie literatury i sztuk wyzwolonych — pięć głównych kursów i tyleż profesorów, to jest: 1) profesor wymowy i poezji, 2) prof. języka i literatury greckiej, 3) prof. języka i literatury łacińskiej, 4) prof. języka i literatury rosyjskiej i 5) prof. rysunków i malarstwa.

V. Dla dopełnienia we wszystkich częściach powszechnego oświecenia, w każdym fakultecie oprócz kursów głównych, powinny być jeszcze dodatkowe, podług naznaczenia Uniwersytetu i aprobaty kuratora. Powszechne zebranie Uniwersytetu, za aprobatą kuratora, oprócz głównego kursu przydaje profesorowi kurs dodatkowy. Jeśliby zaś dodatkowe kursa, uznane będąc za potrzebne i pożyteczne, przewyższały liczbę profesorów, wtedy zebranie Uniwersytetu, za aprobatą kuratora, porucza one zdatniejszym adjunktom.

## § 22.

Wszyscy ordynaryjni profesorowie, nie wyłączając profesorów teologii, wybierać się mają przez Uniwersytet następującym sposobem: 1) ogłasza się wakująca katedra, na którą ma być wybrany nowy profesor;

2) każdy, chcący tę katedrę otrzymać, obowiązany jest złożyć w Uniwersytecie dzieło swoje publikowane, lub w rękopiśmie, także ogólne swoje zdanie o tej nauce, o której rzecz idzie, o objęciu jej, o obszerności, granicach, postępach, aktualnym stanie, o najlepszym sposobie jej dawania i różnych autorach, którzy najlepiej objaśnili rozmaite przedmioty tej nauki; 3) Uniwersytet przejrząwszy dzieła i pisma, oraz powziąwszy szczególne wiadomości o tych, od których wspomniane dzieło i pisma przysłane będą, przystąpi do wyboru profesora przez wota sekretne; 4) Uniwersytet doniesie o wybranym profesorze swojemu kuratorowi, który go podaje do potwierdzenia ministra.

Podział Uniwersytetu na cztery fakultety (na wzór Francuskiego Instytutu Narodowego), mianowicie na wydziały: nauk fizycznych i matematycznych, medycyny, nauk moralnych i politycznych i literatury i sztuk pięknych, taki podział nie był odpowiedni dla Uniwersytetu, którego głównym zadaniem miało być przygotowanie słuchaczy do rozmaitego rodzaju służby publicznej, ponieważ z wyjątkiem medycyny, wszystkie inne wykładane w nim nauki nie miały żadnego celu określonego. Czy można wyobrazić sobie coś bardziej niemądrego, jak taki wydział nauk moralno-politycznych, w którym bez żadnego systemu są pomieszane teologia, prawo i ekonomja polityczna?

Dlaczego budownictwo cywilne znalazło się w wydziale fizyko-matematycznym? A jakim był fakultet medyczny, liczący zaledwie siedm katedr, razem z weterynarią?

Przyjrzyjmy się teraz profesorom, którzy wyżej wymienione katedry zajmowali.

### Wydział nauk fizycznych i matematycznych.

Jędrzej Śniadecki, o którym już wspominałem, wykładał chemję. Wydał on po polsku jej podręcz-



nik elementarny <sup>1)</sup>. Trudno znaleźć lepszego mówcę, ale był on mało wprawny w wykonywaniu doświadczeń. Co prawda nie miał on czasu oddawać się pracy w laboratorium, ponieważ od rana do wieczora był zajęty prywatną praktyką lekarską <sup>2)</sup>.

Stanisław Jundziłł <sup>3)</sup> wykładał zoologię i botanikę, z zakresu których również ogłosił w języku miej-

<sup>1)</sup> Początki chemji i t. d. Wilno. 1800. 2 tomy. Była to pierwsza książka polska z dziedziny chemji, w której zajmuje pierwszorzędne miejsce. Śniadecki dał w niej początek polskiej terminologii chemicznej, której słusznie za ojca jest uważany. Książka ta miała kilka wydań. (Ob. Chodkiewicz Aleks.: Chemja. Warsz. 1816—1820. T. III, str. 10. Bieliński Józef. Uniwersytet Wileński. Kraków. 1899—1900. T. II, str. 100 i następ.).

(W. Z.).

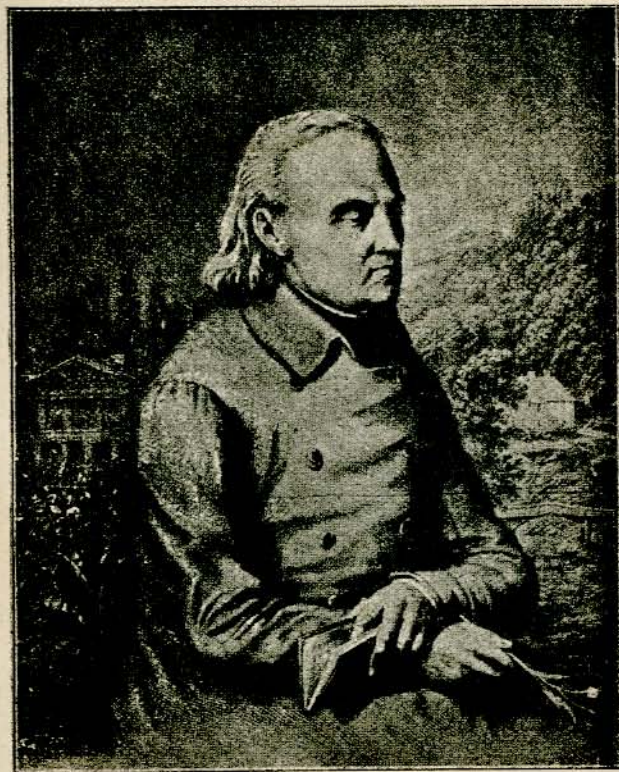
<sup>2)</sup> Jakkolwiek Jędrzej Śniadecki miał obszerną praktykę, nie przeszkadzała mu ona w jego pracach naukowych, czego dowodem są liczne drukowane dzieła i rozprawy. Śn. nigdy nie opuszczał wykładów w Uniwersytecie i zajęć w laboratorium. Znajdował on również czas na prezydowanie w Towarzystwie lekarskiem, w którym wygłaszał referaty, należał do Towarzystwa szubrawców, pisywał artykuły w czasopismach miejscowych i opracował epokowe dzieło p. t. „Teorja jestestw organicznych“.

Frank tem mniejsze ma prawo czynić Śniadeckiemu powyższy zarzut, że sam miał olbrzymią praktykę nie tylko w mieście, ale również na prowincji, dokąd niejednokrotnie wyjeżdżał. Miał on nawet z tego powodu nieporozumienia z władzą Uniwersytecką i z kuratorem. Zresztą wszyscy profesoria-lekarze trudnili się praktyką prywatną.

(W. Z.).

<sup>3)</sup> Charakterystyka Jundziłła, którego Frank nie lubił, jest stronna i niesprawiedliwa, może dlatego, że Jundziłł chociaż sam ksiądz, nie cierpiał duchownych i cudzoziemców, którym na każdym kroku niechęć okazywał. Nie był Jundziłł bez wad, z których główną było skąpstwo (M. Malinowski. Księga wspomnień, wyd. I. Tretjak. Kraków. 1907, str. 82—83), ale był to człowiek prawy, zacny i gorąco kochający kraj. Prace jego, o których Frank odzywa się z lekceważeniem, cieszyły się zasłużonym rozgłosem, a za dzieło: „Opisanie roślin w prowincji W. X. Litewsk. naturalnie rosnących i t. d.“ (Wilno 1791), król kazał wybić medal złoty i takowy mu z listem własnoręcznym przesłał (Bieliński op. cit. T. II, str. 135).

scowym dwie elementarne rozprawy, które były niczem innym, jak tylko komplikacjami. Pomimo, iż oddawna już zajmował posadę w Uniwersytecie, Jundziłł dotąd nie po-



Stanisław Bonifacy Jundziłł.  
Profesor Historji naturalnej.  
(Z albumu wileńskiego).

Niezgodne z prawdą jest to, co pisze Frank o ogrodzie botanicznym. Był on ukochanem dzieckiem Jundziłła, który założył w nim cieplarnie, opasał murem i stale wzbogacał nowymi roślinami. Już w 1-szym Index horrt botanici Univers. Vilnens. a. 1802 podanych jest 1049 roślin, a z roku 1804—1805. O prof. St. Jundzille por. artykuł Ludwika Janowskiego w Roczniku wileńskiego Tow. Prz. Nauk III (1909). (W. Z.).



myślał o założeniu gabinetu zoologicznego, chociażby ze zwierząt krajowych. A przecie w ich liczbie był z u b r. t. j. dziki byk, który już nie spotyka się nigdzie w Europie, z wyjątkiem niektórych puszczy litewskich. Również mało troszczył się Jundziłł i o ogród botaniczny, cudownie położony, ale nie posiadający nawet oranżerii. Wolał on sadzić kapustę i szparagi, które sprzedawał, również, jak bukiety kwiatów. Wstęp do ogrodu był wszystkim wzbroniony, nawet studentom. Przy wejściu znajdował się złośliwy pies, który rzucał się i kąsał tych, co się odważyli zbliżyć. Trudno spodziewać się, aby Jundziłł, postępując w podobny sposób, mógł z pożytkiem kształcić młodzież. Uchodził on jednak za dobrego patriotę, ponieważ nie cierpiał Rosjan i cudzoziemców, a jabym dodał, że i całego rodzaju ludzkiego.

Franciszek Narwoysz wykładał matematykę. Był to poczciwy starowina, miłujący tylko butelkę i język angielski <sup>1)</sup>).

Karol Chrystyan Langsdorf, profesor matematyki stosowanej; przybył do Wilna z Erlangen. Ponieważ w Niemczech był on dość znany, przeto i w Wilnie spodziewał się świetnego przyjęcia, ale nadzieja go zawiodła, to też przyjęcie, jakiego doznaliśmy mój ojciec i ja, sprawiło mu wielką przykrość. Nie będąc w stanie przywiązać się ani do kraju, ani do jego mieszkańców, Langsdorf wkrótce poprosił o dymisję i przeniósł

<sup>1)</sup> Nietylko do butelki miał zamiłowanie Narwoysz, ale i do nauk. St. Jundziłł pisze o nim (Sobary. Obrazy litewskie) że „był to jeden z najpilniejszych profesorów i najregularniej na wykłady przychodził. Był by on dla kraju wielkie przyniósł korzyści, gdyby młodzież ówczesna lepiej była przygotowana do słuchania wyższej matematyki“. Baliński (Dawna Akademia wil. Str. 139, 140) świadczy, że Narwoysz nawet otrzymawszy emeryturę „lekcji jednak swoich przez kilka lat jeszcze dawać nie przestawał“. W każdym razie pomimo nieszczęśliwego nalogu Narwoysz był zasłużonym inżynierem i matematykiem polskim. (W. Z.).

się do Heidelbergu. Było to nie małą stratą nie tylko dla Wilna, ale i dla całej Litwy.

Ignacy Reszka wykładał astronomję. Był on kompletnym zerem.

Stefan Stubielewicz, powołany dla wykładania fizyki, w tym czasie odbywał podróż naukową.

Michał Szulc był profesorem budownictwa cywilnego i wojennego. Nieokrzesany, służył on podczas



**Marcin Poczobutt-Odlanicki**

prof. astronomji.  
(Z albumu wileńskiego).

rewolucji w wojsku polskim. Liczni przyjaciele wynosili go pod niebiosa, jako doskonałego znawcę teorii architektury, ale nie śmieli go chwalić, jako praktyka, ponieważ, jak to niżej zobaczymy, wszystkie, wzniesione przez niego, budynki runęły i spowodowały śmierć kilku osób. Pomimo to uchodził za dobrego patriotę.

„B. P.“ Pamiętniki Franka. T. I.



Wydział fizyczny miał dwóch profesorów emerytów, o których nie mogę zamilczeć. Jednym z nich był ksiądz Poczobutt, astronom obserwator. Ten czcigodny starzec pozostał jeszcze z czasów Jezuickich<sup>1)</sup> i był rektorem przed p. Stroynowskim, który okazywał mu zawsze głęboki szacunek. Był to mąż wielkiej nauki, i zasługi jego zostały ocenione przez króla polskiego, który go obdarzył orderem orła białego. Ksiądz Poczobutt był na wyjeździe z Wilna do kolegium jezuickiego w Połocku, gdzie wkrótce życie zakończył. Drugim profesorem emerytem był ksiądz kanonik Józef Mickiewicz, profesor fizyki i dziekan. Dla pozyskania jego względów wystarczało, aby uczniowie całowali mu ręce i gorliwie pełnili praktyki religijne; co do reszty, to go wcale nie obchodziło. Nigdy nie zapomnę zadowolenia, z jakim ten pocziwiec pokazywał mi to, co on nazywał gabinetem fizycznym, a w którym było zaledwie kilka modeli, oraz para maszyn elektrycznych i pneumatycznych, pokrytych grubą warstwą kurzu.

#### Wydział nauk moralnych i politycznych.

Jan Henryk Abicht wykładał logikę i metafizykę. Sprowadził go z Erlangen p. Stroynowski na skutek rekomendacji hr. Ludwika Platera, bliskiego przyjaciela księcia Czartoryskiego. Abicht, autor kilku prac, trzymał się systemu Kanta, przez siebie zmodyfikowanego. Wykłady jego wcale nie miały powodzenia.

Szymon Malewski, o którym już wspominałem, był profesorem prawa naturalnego. Prawdopodobnie nie zaglądał on do innych książek, jak tylko do dzieła Stroynowskiego, z której to pracy korzystał do wykładów.

Aloizy Capelli dawał prawo cywilne i kryminalne główniejszych starożytnych narodów, których języków jednak nie znał, za wyjątkiem francuskiego i włos-

<sup>1)</sup> Od 1780 do 1799. (W. Z.).

kiego. Toskańczyk z urodzenia, Capelli był przedtem profesorem prawa kanonicznego w uniwersytecie pizańskim. Panu Stroynowskiemu zarekomendował go p. Fabroni z Florencji. Chociaż Capelli wcale nie był znany w świecie uczonym, pomimo to wybór jego wcale był



Jan Rustem,

prof. Malarstwa.

(Z autoportretu, znajdującego się w zbiorach Wileńsk. Towarz. Przyjaciół Nauk).

nie zły. Swoje wykłady w Wilnie rozpoczął przemówieniem łacińskim. P. Capelli miał mnie za ziomka, to też obdarzył mnie swoją przyjaźnią. Byłem z tego zadowolony, ponieważ gawędziliśmy ze sobą po włosku i dzięki temu uniknąłem zapomnienia tego języka.

Filip Nerus Golański i August Toma-



szewski wykładali niektóre części teologii. Drugi z nich wcale nieźle mówił po włosku.

Ten fakultet również miał profesorów emerytów, mianowicie: Hussarzewskiego, profesora historii i księdza Bogusławskiego, który wykladał nie wiem już jaką część teologii. Był to skończony głupiec, ale posiadał piękny zbiór portretów sławnych Polaków. Hussarzewski miał bogatą księżnicę i uchodził za uczonego.

### Wydział literacki i sztuk pięknych.

W najbliższej przyszłości oczekiwano przybycia trzech profesorów. Zastaliśmy w Wilnie tylko Franciszka Smuglewicza — polaka i Andrzeja Le Brun'a — francuza. Pierwszy był profesorem malarstwa, drugi — rzeźby i obaj cieszyli się zasłużoną sławą. Adjunktem Smuglewicza był Jan Rustem, grek z urodzenia, niezrównany rysownik i bardzo miły człowiek.

Pozatem było dwóch nauczycieli języków nowożytnych: Pinabel — francuskiego i Hausteina — niemieckiego, oraz metr muzyki — Holland. Ten ostatni, człowiek skądinąd poczciwy, był ze wszystkich najślabszy.

### Wydział lekarski.

Andrzej Lobenwein<sup>1)</sup> dawał anatomję, ale w sposób dziwny. Jednego roku wykladał osteologję i miologję, następnego splachnologję i angiologję<sup>2)</sup> i t. d. Dzięki takiej metodzie, pragnący

<sup>1)</sup> Niepochlebna opinję Franka o Lobenweinie podziela ją również inni autorowie piszący o Uniwersytecie Wileńskim, jak to Baliński, St. Jundzill (Sobary), J. Bieliński. L. miał na względzie przedewszystkiem własną korzyść, o dobro uniwersytetu nie dbał. Niemiec — nie przywiązał się nigdy do kraju w którym lat kilkadziesiąt spędził. (W. Z.).

<sup>2)</sup> Są to części anatomji: Osteologja traktuje o kościach, miologja o mięśniach, splachnologja — nauka o narządach

przejsć cały kurs anatomji, musiałby uczyć się na wykłady tego profesora co najmniej w ciągu lat sześciu. Pomimo, że w Wilnie nie było niedostatku trupów, Lobenwein nawet nie pomyślał o założeniu gabinetu anatomicznego, nie można bowiem było zań uważać kilku szkieleatów.

August Becu był profesorem fizjologii, higieny i policji lekarskiej. Podczas naszego przybycia do Wilna był nieobecny i oto dla czego: Prof. Becu od lat kilku wykładał patologję, a ponieważ rektor życzył sobie, abym ja zajął tę katedrę, zapytał tedy pana Becu, na jakich warunkach zgodziłby się on ustąpić i objąć katedrę fizjologii, której dotąd w Wilnie nie wykładano. P. Becu odpowiedział: „Zgodzę się, jeżeli będzie mi pozwolono odbyć na koszt Uniwersytetu kilkuletnią podróż naukową“. Rektor przystał na to i w czasie naszego do Wilna przyjazdu, p. Becu znajdował się w Anglii, dokąd posłałem mu kilka listów polecających, między innymi do Jennera, który mi odpisał, że znalazł w mym protegowanym dobrego towarzysza. W rzeczywistości lubił się chwalić i nie była to nawet najglówniejsza z jego wad.

Ferdynand Spitznagel wykładał materję medyczną (Materia medica). Wprost monstrualna pamięć ułatwiała mu znajomość historii naturalnej, którą posiadał doskonale. Rozumiał kilkanaście języków, ale wszystkiemi mówił z akcentem niemieckim. Co do medycyny, nie miał o niej pojęcia, pomimo to był o tyle odważny, iż zajmował się praktyką.

Jakób Briötet był profesorem chirurgji. Za czasów polskich wykłady tego przedmiotu powierzono niejakiemu Regnierowi. Ten jednak, nie czując się na siłach podolać zadaniu, chciał znaleźć pomocnika, któryby mógł go podtrzymać. W tym celu udał się do Francji i stamtąd przywiózł ze sobą Briöteta, który, chociaż

wewnętrznych, zaś angiologja — o naczyniach krwionośnych i limfatycznych. (W. Z.).



nie przeszedł dobrej szkoły, jednak znał doskonale anatomię i był niezłym operatorem. Na razie Regnier próbował ustroić się w piórka swego adjunkta, ale ten nie dał się wyzyskać i zerwał ze swoim protektorem. Wkrótce potem Regnier umarł i Briôtet odziedziczył po nim katedrę. Pomimo wprawę w robieniu operacji, nie nadawał się wcale na profesora, szczególnie w Uniwersytecie, w którym trzeba było wykładać albo po łacinie, której Briôtet nie rozumiał, albo po polsku, który to język był dla niego zupełnie obcy.

Po polsku jednak przeplatając wyrazami francuskimi, miewał wykłady, jeżeli tem imieniem można nazwać jego śmieszoną paplaninę.

Andrzej Matusewicz wykładał położnictwo. Ograniczony, nieuk, zły i intrygant, był najgorszym z profesorów.

## ROZDZIAŁ VI.

(Nasz pierwszy występ w Wilnie. Założenie kliniki. D-r Liboszye. Żydowska praktyka.)

Ojciec mój rozpoczął kurs terapii szczegółowej d. 21 listopada rozprawą akademicką: *De arte longa et vita brevi Hipocratis*<sup>1)</sup>. Zalety rozprawy i godność, z jaką została ona wygłoszona, sprawiły głębokie wrażenie na zebranych. A było obecne nietylko koło uniwersyteckie, ale również przedstawiciele szlachty i duchowieństwa. Capelli na pamiątkę tej uroczystości napisał po włosku sonet<sup>2)</sup>.

Opowiadano, jako o rzeczy zdumiewającej, że na

<sup>1)</sup> Drukowano w „Opuscula posthuma J. P. Frank“. Wydałem je w Wiedniu r. 1824.

<sup>2)</sup> In occasione dell'orazione inaugurale letta da consigliere Frank nell'Imperiale Università di Wilna il. di 17/29 Novembre 1804 offerto a Monsignore Stroynowski Vescovo e Rettore.

kurs Jana Piotra Franka zapisało się trzydziestu słuchaczów. Istotnie na przedstawionej liście znajdowało się tyle nazwisk, ale z nich trzeba było wykreślić czternaście, a nawet pomiędzy szesnastu pozostałymi było sześciu młodych ludzi, którzy dopiero rozpoczynali studia i naturalnie nie byli przygotowani do słuchania kursu medycyny praktycznej. Chociaż w Padwie i Wiedniu ojciec był przyzwyczajony do audytorjum 30 razy liczniejszego, nie przeszkodziło to, iż wykładał z niemniejszym zapałem.

Nie można było jeszcze rozpocząć wykładów w klinice, gdyż ta jeszcze nie istniała i trzeba ją było stworzyć. Ponieważ już od lat kilkunastu noszono się z projektem założenia kliniki, ale dotąd projektu tego nie urzeczywistniono, przeto publiczność była przekonana, że i tym razem wszystko skończy się na dobrych chęciach. Ale mój ojciec z takim zapałem przekonywał o nieodbitej potrzebie tej instytucji, znalazł on tyle dobrej woli u rektora i tyle pieniędzy w kasie uniwersyteckiej, że nie upłynęło czterech miesięcy, a już został otwarty szpital kliniczny, który nie pozostawiał nic do życzenia. Przewszystkiem kupiono za dziesięć tysięcy dukatów holenderskich pałac ks. Macieja Radziwiłła<sup>1)</sup>. W zabudowaniach pomiędzy dwoma dziedzińcami, zwróconych na wschód i na zachód, przeznaczono na klinikę pięć pokojów i ustawiono w nich szesnaście łóżek. Co prawda, pokoje były wąskie, ale dość obszerne i wystarczające dla tak niewielkiej liczby chorych. Łóżka były żelazne, zaś kołdry białe. Całe umeblowanie również było pomalowane na białą, aby najmniejsza plama nie mogła pozostać nie spostrzeżoną. Woskowana podłoga zamieniała parkiet. Naczynia cynowe błyszcząły jak srebrne. Pomimo to wszystko, zdobycie dla kliniki chorych było połączone z wielką trudnością. Rząd dał klinice prawo wybierać dla siebie materiał z pomiędzy chorych, znajdują-

<sup>1)</sup> Dziś pasaż, d. Nr 66 przy ulicy Wielkiej. (W. Z.)



cych się w szpitalu Sióstr Miłosiernych<sup>1)</sup>, niedaleko położonym, przypuszczając, że oni chętnie przystaną na taką zmianę. Otóż największą przeszkodą było to, że publiczność wyobrażała sobie, iż w klinice chorzy będą poddawani jeżeli nie wiwisekcjom, to w najlepszym razie męczarniom i że na nich będą czynione bolesne doświadczenia. To też na razie chorzy za nic nie zgadzali się opuścić szpitala, do którego przywykli i dać się przenieść do naszej kliniki, której nie znali. Drugą przeszkodą, jaką ojciec miał do zwalczania, była trudność porozumienia się z chorymi, z którymi, nie znając języka polskiego, ojciec mój nie mógł się rozmówić. Na nieszczęście nie było w Wilnie ani jednego lekarza asystenta, któryby mógł wziąć na siebie rolę tłumacza. Obowiązek ten pełnił p. Borsuk, najstarszy ze studentów, ale nie był on jeszcze lekarzem i dlatego nie można go było mianować asystentem, do czego zresztą nie posiadał potrzebnych kwalifikacji. Wobec tego zaproponowałem, aby sprowadzić z Wiednia d-ra Błaszczykiewicza<sup>2)</sup>, na co chętnie się zgodzono. Uniwersytet opłacił koszta jego podróży, wyznaczył 500 rs. pensji rocznej, mieszkanie i tytuł adjunkta.

Było to prawdziwym szczęściem dla człowieka, który walczył z nędzą, to też nie kazał on na siebie długo czekać. Ponieważ d-r Błaszczykiewicz znał się również na okulistyce, przeto wkrótce zdobył w Wilnie wcale dobrą praktykę i zarabiał sporo pieniędzy. Znalazł on tu jednak rywala w doktorze Vicini. Ten, dowiedziawszy się o naszym na Litwę wyjeździe, opuścił Włochy, aby się z nami połączyć. Przywiózł mi list polecający od sławnego chirurga, Paletta, z Medjolanu. Odrażająca powierzchowność Vicini'ego jakoś nie zgadzała się z pochwałami, których mu w liście nie szczędził jego protektor. Opierając się na tej rekomendacji, przedstawiłem

<sup>1)</sup> Szpital Sawiez. (W. Z.).

<sup>2)</sup> Ob. Rozdział III.

go rektorowi, prosząc o danie mu jakiej posady. Rektor zaproponował mi zastępczo wykłady fizjologii do powrotu z zagranicy prof. Becu, za co miał otrzymywać sto dukatów na rok i mieszkanie. Ale już na pierwszej lekcji d-r Vicini wykazał całą swą nieudolność, co było dla mnie tem przykrzejsze, że polecałem go wbrew własnemu przekonaniu, a tylko litując się nad jego nędzą. To niepowodzenie w Uniwersytecie, który przy końcu roku dał mu dymisję, nie przeszkodziło Vicini'emu w zdobyciu sobie wcale dobrej praktyki u żydów. To też wkrótce wybudował kamienicę i zapewnił sobie i rodzinie życie dostatnie.

W kilka dni po moim ojcu, ja również rozpocząłem kurs rozprawą: „De meliori pathologia tradendi modo“. W tem przemówieniu główny nacisk kładłem na wielkie znaczenie, jakie mają wyjaśnienia przy łóżku chorego i na potrzebę znajomości anatomji patologicznej. Nie odrzucałem znaczenia fizjologii, ale twierdziłem, że z powodu licznych hipotez, nie może ona służyć za podstawę dla patologji. Uważałem, zgodnie ze zdaniem p. Baglivi, że nawet najświetniejsza w całej fizjologii teoria krążenia krwi, częstokroć zawodzi przy łóżku chorego. Rozprawę tę, którą przejrzał i pochwalił mój ojciec, wygłosiłem ze swadą oratorską, to też nagrodzono mnie hucznymi oklaskami.

Zaledwie powróciłem do domu, gdy przybyła deputacja, złożona z dziekana i kilku profesorów, którzy w imieniu Uniwersytetu winszowali mi tak świetnego debiutu. Nie mniejsze powodzenie miały moje wykłady, szczególnie demonstracje patologiczne w szpitalu Sióstr Miłosiernych. Był to mój tryumf nad opozycją, która się przeciwko mnie utworzyła, a to z następującego powodu. Profesorowie wydziału lekarskiego, całkowicie oddani praktyce, podówczas na Litwie bardzo zyskowej, patrzyli okiem niechętnem na nasze przybycie. Nie mogąc bez jawnej kompromitacji wykazywać swej niechęci względem mego ojca, panowie ci zwrócili



ostrze swej broni przeciwko mnie. Zresztą, domyślali się oni, że ojciec mój wkrótce zostanie wezwany do Petersburga, ale nie mieli nadziei prędkiego pozbycia się mojej osoby. Jednak profesorowie Niemcy próbowali zbliżyć się do mnie i wciągnąć do swej partji, a to w celu zwalczania lekarzy polaków. Profesorowie cudzoziemcy popierali ich wycieczki przeciwko zarządowi Uniwersytetu. Odpowiedziałem jednym i drugim, że nikt bardziej ode mnie nie był dalekim od należenia do jakiegokolwiek partji i że mojem zadaniem będzie starać się pozyskać sympatję i zaufanie społeczeństwa, w którym sądzono mi pracować. Na takie oświadczenie, ostrzegano mnie, iż spotkam się z niewdzięcznością. Przyszłość miała pokazać, czy przewidywania ich były słuszne.

Tymczasem wszyscy profesorowie wydziału lekarskiego ubiegali się, by godnie uczcić nasze przybycie.

Profesor Briôtet wystąpił ze wspnianym obiadem, sporządzonym pod kierunkiem jego żony, która z powodzeniem zajmowała się akuszerją. I oto, gdyśmy się zachwycali nad wybornie przyrządzonymi potrawami, pani Briôtet zaczęła nas przeproszać, że nie mogła przyrządzić je tak, jakby tego pragnęła, ponieważ, będąc wezwana do bardzo ciężkiego porodu, spóźniła się do kuchni.

Mój ojciec nie pozostał dłużnym i również wydał obiad, a ponieważ w tym czasie przyjechał do Wilna Tadeusz hr. Czacki, mieliśmy przyjemność powitać go w liczbie naszych gości, również jak rektora. Powszechny zachwyt wzbudziły bażanty czeskie, przysłane przez umyślnego posłańca z Wiednia przez hrabinę Rombeck. Wymieniając nazwisko swej przyjaciółki, ojciec mój przypomniał sobie i opowiedział gościom historję o przysłanej przez nią filiżance, którą na komorze celnej w Brześciu musiał darować oficerowi kozackiemu. Słyszac to hr. Czacki zaczął sobie wyrzucać, iż nie uprzedził o naszym przyjeździe naczelnika komory celnej. Po obiedzie udał się do przyległego pokoju, aby napisać jakiś list, który wręczył swemu służącemu. Nazajutrz filiżanka

znalazła się na stole mego ojca. Jak się okazało, p. Czacki wysłał sztafetę z żądaniem zwrotu filiżanki do naczelnika komory, który niegdyś służył w jego domu i wiele miał mu do zawdzięczenia.

P. Czacki nie był w tym czasie jedynym w Wilnie przyjezdnym. Niemal codziennie przybywali niekiedy zdaleka cierpiący dla zasięgnięcia porady u mego ojca. Wyobrażano bowiem sobie, że niema takiej choroby, którejby on nie potrafił wyleczyć. Niebawem przekonano się, że tak nie jest, ponieważ pomiędzy chorymi byli suchotnicy w ostatnim stopniu. Inni chorzy również nie doznali ulgi w cierpieniu tak prędko, jak się spodziewali. Z tego powodu krążył po mieście następujący dowcip:

— „Ten wielki Frank nikogo dotąd nie uratował!“  
— „Przepraszam, uratował on Prozora“.

Trzeba wiedzieć, że Prozorowi Uniwersytet zapłacił 11 tysięcy dukatów holenderskich za dom dla mego ojca. Suma była bardzo wygórowana i uratowała Prozora od bankructwa.

Ponieważ wielu chorych, szczególnie przyjezdnych ze wsi, nie mówiło ani po francusku, ani po niemiecku, zaś mój ojciec, jak już o tem wspomniałem, ani słowa nie rozumiał po polsku, przeto nie można było obejść się bez tłumacza. Zwykle pacjenci przyprawdzali ze sobą w roli tłumaczy swoich lekarzy, ale wkrótce niektórzy chorzy powzięli podejrzenie, że ci panowie mogli przez zawiść postępować nierzetelnie. Zdarzało się również, że lekarze miejscowi, nie mający wprawy w łacinie i nie władający językami obcemi, źle wywiązywali się z obowiązków tłumaczy, co także nie uszło uwagi pacjentów. Wybawił ich z kłopotu pewien młody lekarz, a to dzięki swemu zuchwalstwu. D-r Szymkiewicz rozgłosił po mieście, jakoby Frank miał powiedzieć, że tylko jego wyjaśnienia dobrze rozumie. Odtąd wszyscy, szukający porady u mego ojca, zwracali się do Szymkiewicza, prosząc go, by im towarzyszył w roli tłumacza. Ten wybieg przysporzył mu nie mało dochodu i dopomógł do



wyrobienia własnej praktyki. Ale najbardziej komiczne było to, że właśnie Szymkiewicz<sup>a</sup> mój ojciec rozumiał mniej, niż kogo innego. Tak to się dzieje na tym świecie.

Pomiędzy lekarzami wileńskimi był sławny żyd Liboszye, który niegdyś studjował medycynę w Halle za czasów Junckera. Nie posiadał on nauki, ale trzymając się doktryny Fryderyka Hoffmana, praktykował z powodzeniem. Poza tem ogromnie skąpy, Liboszye bezwstydnie targował się z chorymi przed konsultacją. Nie wstydził się on również odwiedzać pacjentów innych lekarzy bez wiedzy tych ostatnich. Mój ojciec nie stanowił wyjątku. Liboszye z pewnością siebie powiadał, że szanuje Franka, jako uczonego, ale nie uznaje jego metody leczenia, której nawet porównać nie może z jego własną. Ponieważ wraz po moim do Wilna przybyciu żydzi rzucili się do mnie, jak to oni zwykli czynić względem każdego nowoprzybyłego lekarza, przeto miałem sposobność często spotykać się z Liboszycem. Jedną okoliczność usposobiła mnie względem niego przychylnie. Oto, za każdym razem, gdy mi się zdarzyło bywać u niego, znajdowałem na stole dzieła, traktujące o chorobach, które Liboszye miał w tym czasie w swojej praktyce. Jego biblioteka składała się z najlepszych dzieł lekarskich. Mówię o takich, które, jako podręczniki, są niezbędne w praktyce codziennej, a których liczba, niestety, jest nie wielka. Gdy Liboszye miał ciężko chorego i płacono mu dobrze, był on zdolny przesiadywać przy łóżku chorego całymi godzinami. Opowiadają, że pewnego razu badając puls pacjenta, Liboszye poruszał wargami i coś szeptał. Na razie myślano, że liczy on uderzenia pulsu, ale wkrótce przekonano się, iż trzymając drugą rękę w kieszeni, liczy znajdujące się w niej dukaty.

Jeżeli pacjent porzucał go dla innego lekarza, a potem nierad z zamiany, chciał doń powrócić, Liboszye nazywał za to karę pieniężną, mniej lub więcej wysoką, zależnie od zamożności chorego.

Chociaż praktyka żydowska dobrze się opłacała, to

jednak interes pieniężny nie byłby mnie powstrzymał od jej unikania, jako bardzo nieprzyjemnej, gdybym nie miał innego celu. Mianowicie pragnąłem poznać charakter i obyczaje tego dziwnego plemienia, którego nie można porównywać z żydami zachodniej Europy, jako mniej lub więcej zasymilowanymi z chrześcijanami, z którymi żydzi litewscy nic wspólnego nie mają. „Jeżeli, mówiłem sobie, tylu lekarzy naraża życie, jeżdżąc w dalekie kraje dla badania panujących tam chorób, pocóż ja miałbym się bać przykrości, związanych z leczeniem żydów. Bo, ostatecznie, co w najgorszym razie mogło mnie spotkać? Zagłębiać się w dziedzińce pełne śmiecia, ryzykować złamaniem karku przy wspinaniu się na strome schody, wschodzić do mieszkań niemożliwie ciasnych i brudnych, oddychać w nich powietrzem zarażonym, wreszcie nabrać się robactwa, oto wszystko, na co byłem narażony“.

Na razie z trudnością rozumiałem mowę żydów, którzy używając języka niemieckiego, wprowadzili do niego mnóstwo wyrazów polskich i hebrajskich. Oto na dowód próbka: Chora żydówka mówi tak: „Od trzech miesięcy choruję na K a t o c h u s (to znaczy—na malarję)“.

— „Byłam wtedy ciężarna a b o c h e r (chłopcem)“.

— „Chociaż od połogu upłynęło sześć miesięcy i chociaż sama nie karmię, dotąd nie mam w e s t (regularność)“.

— „Doktór dawał mi już p r o s z e k, ale to nie pomogło“.

— „Moje k a t o c h u s powraca m e s l e s (co 24 godziny)“ i t. d.

Za to żydzi doskonale mnie rozumieli, ale męczyła mnie i drażniła konieczność powtarzania im po razy kilka tego, com już raz powiedział. Chociaż cierpliwie wysłuchiwałem ich skarg i opowiadań, a potem z jak największą dokładnością udzielałem wskazówek, jak mają się zachowywać, pomimo to pacjenci żydowscy wracali 3—4 razy po nowe wyjaśnienia. Naprzykład, tłumaczyłem choremu: „Oto, mój przyjacielu, recepta, zanieś ją do apteki, tam dadzą ci proszki, które będziesz przyjmował trzy razy na dzień, t. j. rano, po obiedzie i wie-



czorem“. — „Dobrze“. Pacjent wychodzi, ale za chwilę wraca i rozpoczyna od ulubionego frazesu: — „Nu, nichts für ungut (proszę nie brać mi za złe) panie doktor... Czy mam przyjmować proszek w wodzie zimnej, czy ciepłej?“

— „W zimnej“. — „Adie“. Za parę minut zjawia się znowu.

— „Czy mam przyjmować proszek przed, czy po jedzeniu?“

— „Po jedzeniu“. — „Adie“. — Upływa dłuższa chwila.

— „Przepraszam, pan doktor, czy przy tych proszkach mogę spać z żoną?“ — „Idź do stu diabłów!“

Przekonałem się, że mając do czynienia z chorymi żydami, trzeba odrazu udzielić im jaknajszczegółowszych wskazówek, tak co do sposobu używania lekarstw, jak również co do diety i zachowania się. Ten sposób okazał się pożytecznym i względem innych chorych. Przypuszczam nawet, iż chorzy, którzy utracili wiarę w lekarza, z zupełnym zaufaniem przyjmują leki, zalecane im przez szarlatanów i znachorki dla tego, że otrzymują przy tem szczegółowe wskazówki, jak mają przyrządzać lekarstwa i je zażywać.

Niezrównane są wybiegi, do których uciekają się żydzi, aby zmusić lekarza do starannego leczenia ich chorych. Chcąc zatrzymać go jaknajdłużej przy łóżku chorego, żydzi nigdy nie przygotowują wszystkiego, co potrzeba dla napisania recepty i dopiero po długich przerwach ktoś przynosi papier, inny członek rodziny idzie tymczasem na poszukiwanie pióra, a następnie ktoś trzeci udaje się do sąsiada po atrament. Nauczony doświadczeniem, zawsze miałem wszystko, co potrzeba ze sobą.

Pewien żyd wyobrażał sobie, że, jeżeli będę spodziwiał się hojnego honorarjum, wówczas napiszę lepszą receptę; w tym celu, w czasie, gdym ją układał, trzymał na widoku rubla srebrnego, a gdy skończyłem pisanie, drugą ręką kładł przede mną na stole 50 groszy. Muszę jednak oddać sprawiedliwość żydom polskim, że pie-

lęgnują swoich chorych z wyjątkową troskliwością. Pod tym względem nie ma dla nich ofiary zbyt wielkiej. Gdyby nie ta troskliwość, cóżby się stało z nimi, którzy przez całe życie muszą walczyć z najrozmaitszymi chorobami, jako następstwem ich sposobu życia, jak to wykazali d-r Friedländer i Theiner w swojej pracy o chorobach żydów polskich.

Od najwcześniejszego dzieciństwa uczą ich tego, co u nich nosi nazwę religji, a co w gruncie rzeczy jest tylko zbiorem rabinicznych absurdów. Za tem idzie małżeństwo, zawierane zwykle w wieku dalekim w krajach północnych od dojrzałości płciowej. Dodajmy do tego posty, posuwane przez niektórych żydów do ostateczności, złe odżywianie, przeważnie cebulą i śledziami, obrzędy religijne, którym towarzyszą wrzask w zarażonym powietrzu synagogi, ablucje zimne u kobiet w pewnych okresach ich życia, handel oparty na kontrabandzie, wskutek czego żydzi żyją w ciągłym niepokoju i podnieceniu, co sprowadza tak częste u nich choroby sercowe; brutalność, z jaką są traktowani przez wojskowych, policję i mieszkańców, straszliwe nieochędństwo, z opisem którego powstrzymam się ze względu na czytelników i t. d. A jednak zauważyłem, że to plemię ma dziwny organizm, który, jak sądzę, dzięki wschodniemu pochodzeniu żydów, odznacza się niezwykłą odpornością względem niektórych chorób. Przebieg ostrych chorób u Izraelitów zwykle jest bardziej prawidłowy, niż u innych narodowości, wśród których praktykowałem. Nigdzie aforizmy Hipokratesa nie dadzą się zastosować z taką słusnością, jak właśnie u żydów, szczególnie odnośnie do kryzysów. Leczenie ich byłoby jeszcze ciekawsze i bardziej pouczające, gdyby można było dokonywać sekcji trupów. A jednak starożytni Izraelici pozwalali na to.

Ktoś, czytając tak szczegółowy opis chorób żydów, gotów pomyśleć, że wyłącznie wśród nich praktykowałem. Tak jednak nie było. Chociaż wobec mego ojca znajdowałem się na drugim planie, a to dzięki jego europej-



skiej sławie, miałem jednak własną klientelę. Józef, hrabia Mostowski, zaszczycał mnie swoim zaufaniem, co było tem pochlebniejsze, iż, często chorując, uchodził za znawcę lekarzy. Był to człowiek światły, wszechstronnie wykształcony i umiejący zajmująco mówić. To też rozmowa z nim była nadzwyczaj przyjemna, dopóki nie zaczął opowiadać o swoich cierpieniach, ponieważ wtedy stawał się niemożliwie nudny, powtarzając po sto razy ze wszystkimi szczegółami opowiadanie o objawach choroby, aż zniecierpliwiony lekarz, pragnąc przerwać gadaninę, brał za kapelusz. Na to tylko czekał hrabia, aby zmienić przedmiot rozmowy i przejść do takiego, który jego zdaniem, mógł szczególnie zainteresować lekarza. Zaczynał tedy mówić o polityce, zwycięstwach Bonapartego. Ponieważ rozmowa stawała się zajmująca, lekarz odkładał kapelusz na stronę. Niebawem następowal zwrot do symptomów choroby i lekarz znowu sięgał po kapelusz i t. d. Będąc przekonany, iż biedny pacjent cierpiał istotnie, cierpliwie słuchałem jego skarg i opowiadań o chorobie, która mnie bardzo zainteresowała. Zachwycony p. Mostowski wyznał, iż byłem pierwszym lekarzem, który mu zaimponował. Pomimo jednak zaufania, jakim mnie hrabia obdarzał, nie udało mi się powstrzymać go od nadużywania lekarstw. Przy jego łóżku znajdowała się cała apteka. Jeżeli rano po przebudzeniu się ze snu, hrabia czuł niesmak w ustach i język był obłożony, niebawem zażywał on rebarbarum, a gdy potem czuł się niezupełnie dobrze, połykał łyżeczkę wody miętownej. Uczucie ciepła, jakie sprowadzała, wzbudzało w nim obawę, aby nie wywiązało się zapalenie, to też starał się zapobiedz dawką saletry. — „Ach, to lekarstwo oziębiło mi żołądek, wołał przerażony, trzeba jaknajprędzej ogrzać go wyciągiem quassii. Teraz będę mógł się posilić. Niech podają obiad“. — Po spożyciu pięciu lub sześciu dań i po wypiciu butelki portera, znowu zaczynały się skargi. — „O, jak okropną mam niestrawność! Muszę ulżyć memu biednemu żołądkowi. Podajcie mi fili-

żankę kawy Mokka i trochę rumu. — Po niedługiej chwili spokoju, hrabia wołał: — „Co to? zdaje się jest gorączka, mam wzburzenie krwi“ i z zegarkiem w rękę liczył uderzenia pulsu i wpadał w rozpacz. — „Tak, sto dziesięć uderzeń na minutę! Prędzej limonjady. Nie, tego za mało, przynieść lodu“. Dobrze wypocząwszy hrabia zaczynał niepokoić się. — „Czuje, że w nocy będę źle spał bez dobrej dawki opium. Oto, bije północ, trzeba zażyć dwadzieścia kropel“. Nazajutrz i w ciągu całego dnia powtarzało się to samo.

Przed laty kilkunastu p. Mostowski mieszkał na pograniczu Wschodnich Prus i często przejeżdżał przez granicę, dla poradzenia się z niemieckimi lekarzami. Te częste podróże wzbudziły podejrzenie urzędników komory celnej. Jakież było ich zdziwienie, gdy przy rewizji pociągu, zamiast kontrabandy znaleźli naczynia napełnione cieczą, którą hrabia wiozł zagranicę dla zrobienia analizy. Nie ulega wątpliwości, że miałem do czynienia z hypokondrykiem najczystszej wody, co jednak mojem zdaniem nie wykluczało istnienia ukrytego kołtuna, który powodował zaburzenia w mózgu<sup>1)</sup>. Chociaż p. Mostowski prawie nie opuszczał łóżka, ale że był bardzo gościnnie i mieszkał na stopie kawalerskiej, przeto zbierało się u niego liczne towarzystwo. Wchodzono i wychodzono, jak w kawiarni. Można tu było spotkać i Rosjan i Polaków, a każdy czuł się w obowiązku opowiedzieć jakąś ploteczkę miejską.

Poza praktyką i zatrudnieniami akademickimi, zostawało mi dość czasu na inne zajęcia, szczególnie na przygotowywanie do druku tomu drugiego moich *Podróży*, której to pracy tom pierwszy był bardzo przychylnie przyjęty w Petersburgu i książkę Adam Czarto-

<sup>1)</sup> Trzeba podziwiać, że Frank, lekarz wybitny i obdarzony umysłem krytycznym, — wierzył w istnienie kołtuna, jako choroby. W tym samym czasie Jędrzej Śniadecki już go podawał w wątpliwość. (W. Z.).



ryski powinszował mi powodzenia listem z d. 12 (24) października 1804 r. . . . .

Ponieważ czasowo przez nas zajmowane mieszkanie było ciasne, przeto rektor dał mi pokój w murach świętojańskich, abym mógł spokojnie pracować. Była to niegdyś cela zakonna. Cisza, jaka w niej panowała, przyjemne ciepło od olbrzymiego pieca zielonego, łagodność światła skromnej lampy, wszystko to usposabiało do pracy i nasuwało myśl, że jednak życie zakonne musiało sprzyjać pracom literackim.

Amazonka, którąśmy w drodze spotkali<sup>1)</sup>, wkrótce przyjechała i wcale się nie ukrywała z tem, że ma na mnie zamiary. Sądziła, że powinna zacząć od pozyskania przychylności mojej żony. Dowiedziawszy się, że lubi koty, amazonka kazała swoim służącym złapać ich parę rasy syberyjskiej. Te zwierzęta, dzikie z natury, jeszcze bardziej były podrażnione polowaniem, które na nie urządzono, to też postanowiły drogo sprzedać swą wolność i służba księżnej z płaczem pokazywała rany przez nie zadane. Olbrzymie koty, jak tylko znalazły się w naszym mieszkaniu, przewracały meble, rzucały się na ściany i zdradzały chęć rzucenia się nam do twarzy. Księżna Radziwiłłowa miała przyjaciółkę zaufaną, także księżną, i również nie pierwszej młodości, ale nie zbyt inteligentną. Zaledwo zawiązaliśmy bliższą znajomość, jak ta dama poprosiła mnie o pożyczanie jej 300 dukatów, spodziewając się, że ja nie odmówię jej t a k i e j d r o b n o s t k i. Moja odmowa wpłynęła na oziębienie naszych stosunków. Unikałem odtąd tych pań.

Jedną z najbardziej błyszczących w świecie wileńskim pań, była p. Tekla Gorska. Ponieważ mówiła ona tylko po polsku, przeto miałem nadzieję, że trochę jej asystując, nabiorę wprawy w tym języku, którego się uczyłem z zapalem.

Rozmowę prowadziliśmy w ten sposób, że pani Gor-

<sup>1)</sup> Księżna Radziwiłłowa. (Ob. rozdział IV).

ska miała przed sobą słownik polsko-francuski, ja zaś francusko-polski. Pewnego razu spotkaliśmy się z nią na wieczorze u generał-gubernatora. Podczas kolacji lokaj podał mi cukierki, przyczem szepnął, że przysłała mi je pani Gorska. Wydało mi się to nieprawdopodobnem, to też wzrokiem zapytałem ją, czy cukierki istotnie od niej pochodzą. Odpowiedziała mi znakiem przeczącym. Zapewne, pomyślałem, jest to niesmaczny dowcip Lodi'ego. Był to metr muzyki i grał rolę błazna, którego baron Bennigsen trzymał dla lekcji gry fortepjanowej żony i córki, a także dla zabawy. Z niecierpliwością doczekałem się końca kolacji, a gdy wstano od stołu, poszedłem do Lodi'ego i w ostrych słowach oświadczyłem mu, iż wcale nie życzę sobie znosić jego błazeństw. Na to przerażony nicpoń zapewniał mnie, że się mylę i że to p. Feliks Andrzejkowicz, brat gospodyni domu, kazał mi oddać cukierki w imieniu pani Gorskiej. Chciałem zaraz rozmówić się z nim, ale to mi się nie udało, ponieważ p. Andrzejkowicz przed chwilą właśnie opuścił zebranie, co też i ja uczyniłem, stosując się do zwyczaju przyjętego na Litwie, aby wychodzić zaraz po kolacji.

Noc spędziłem źle z powodu wielkiego wzburzenia, i jak tylko nastał dzień, napisałem do p. Andrzejkowicza list, w którym opowiedziałem, co mnie spotkało i zażądałem satysfakcji, w razie, jeżeli autorem żartu był p. Andrzejkowicz. Nie upłynęło kwadransu, gdy do pokoju mego wpadł zdyszany Lodi w jednej bieliźnie i szlafroku i padłszy przede mną na kolana, opowiadał, że zbudził go ze snu p. Andrzejkowicz i z pistoletem w rękę kazał mu jaknajprędzej załatwić ze mną sprawę, jeżeli nie chce on gryźć ziemi. Lodi przyznał się, iż to on był autorem „d'una burla per ridere“. Wraz potem nadeszła odpowiedź na mój list od p. Andrzejkowicza, który w niezmiernie uprzejmych wyrazach wymawiał mi, że go mogłem podejrzewać. Tak się zakończyła ta sprawa. Narobiła ona jednak hałasu i wieść o niej po drodze do Wied-



nia tak urosła, że tam opowiadano, jakoby został zabity w pojedynku z magnatem polskim.

Mój ojciec i ja przez pewien czas prowadziliśmy ożywioną korespondencję z naszymi przyjaciółmi w Austrii, co było tem większą z naszej strony zasługą, że każdy list z odpowiedzią kosztował nas trzy ruble (12 franków). Zawiadamiano nas, iż w klinice wiedeńskiej miejsce mego ojca zajął niejaki Beutel, sprowadzony z Olomunca. Był on do tego stopnia niezdarny, iż rząd postarał się go pozbyć jaknajprędzej. Nazwisko jego dało wiedeńczykom powód do następującego kalamburu. Ponieważ po niemiecku Beutel oznacza — mieszek, worek, mówiono tedy: „Wiedeń stracił franki (Franków) i pozostał mu pusty worek (Beutel)“. Nie oszczędzano również Stiff'a, na którego opinia publiczna wskazywała, jako na sprawcę naszego wyjazdu. Opowiadano, że Adelung w swoim słowniku niemieckim pisze, że „Stiff (szyft) jest to ćwiek bez głowy“ . . . . .

Pod koniec grudnia generał Bennigsen kartką wezwał mnie i ojca mego do siebie. Znaleźliśmy go zamyślonym i niespokojnym.

— „Przed kilku dniami, rzekł on, otrzymałem wiadomość, że na morzu Bałtyckim znajduje się statek, podejrzany co do zdrowia załogi. Dziś donoszą mi z zagranicy, że około Taurogów w powiecie Rosieńskim wybuchła żółta febra. Chociaż nie przypuszczam, aby władze miejscowe zaniechały zawiadomić mnie o tak doniosłym wypadku, sądzę jednak, iż należy posłać na miejsce lekarza i urzędnika policji dla szczegółowego zbadania choroby. Zwracam się do pana, jako twórcy „policji lekarskiej“ o wskazówki dla tych panów. Mój ojciec przyrzekł opracować instrukcję, do której dołączył najnowszy opis żółtej febrы, otrzymany z Livorno, gdzie ta choroba podówczas grasowała. Przyrzekliśmy zachować tajemnicę. Zwróciłem uwagę p. Bennigsenowi, że, ponieważ Rosji z powodu jej stosunków handlowych z Hiszpanją wciąż grozi niebezpieczeństwo zawleczenia cho-

roby, należałoby znaleźć lekarza, któryby się zapoznał z chorobą na miejscu, t. j. w kraju przez nią nawiedzonym, i ofiarował swoje usługi. Na to odpowiedział mi generał, iż, gdybym nie był profesorem Uniwersytetu, prosiłby cesarza o wydelegowanie mnie do Livorno i z pewnością jego propozycja zostałaby przychylnie przyjęta. Ale, jego zdaniem, przyzwoitość wymagała, abym, jako profesor, przedewszystkiem pomówił z rektorem, który ze swej strony mógłby porozumieć się z księciem Czartoryskim, kuratorem Uniwersytetu i z ministrem spraw zagranicznych. Ten ostatni bardziej, niż kto inny byłby zdolny ocenić moje poświęcenie dla dobra ludzkości. Udałem się tedy do rektora, ale ten podobnie, jak mój ojciec sprzeciwiał się memu zamiarowi.

— „Sprowadzono pana do Rosji, mówił mi rektor, dla nauczania patologji, nie zaś do zajmowania się policją lekarską w tem obszernem państwie. Projekt pański jest dobry, ale nie pan masz go wykonywać i my nigdy na tę podróż nie damy pozwolenia“.

Musiałem poddać się temu wyrokowi, przynajmniej do czasu, zanim znalazłby się inny jaki sposób ku urzeczywistnieniu mego projektu, do którego mój zapał coraz bardziej wzrastał. Napisałem do Huffelanda i posłałem mu niewielki artykuł o żółtej febrze dla jego Dziennika Medycyny Praktycznej (Journal de médecine pratique), z prośbą, by zechciał dodać od siebie uwagę o mojem życzeniu być wysłanym przez rząd rosyjski dla zbadania epidemji na miejscu. „Pański dziennik, pisałem, jest bardzo poczytny w Petersburgu, a ponieważ zdanie pańskie jest tam niezmiernie cenione, przeto wpłynęłoby ono na pożądane dla mnie rozstrzygnięcie sprawy“. Huffeland nie kazał się prosić, jak o tem można się przekonać w t. 21 str. 155 wspomnianego czasopisma. W miejscu, w którym pisałem o fałszywej trwodze, jaką mieliśmy na Litwie, Huffeland od siebie dodał: „Wszelka obserwacya i wszelkie wskazówki, pochodzące od lekarza tej co Frank miary, są niezmiernie ważne, ale



o ileż byłoby ważniejszym, gdyby ten, co dał nam tak zajmujący opis swych podróży, mógł zwiedzić miejscowości, dotknięte przez epidemię żółtej febry, zbadać chorobę, opisać ją również jak i stan medycyny i policji lekarskiej w owych krajach. Miejmy nadzieję, że może to nastąpi i że „Rząd tak światły jak rosyjski na ten krok się zdecyduje“. Na nieszczęście dziennik Huffelanda pierwiej niż w Petersburgu, otrzymano w Wilnie i to dało możność rektorowi osłabić wrażenie, jakie notatka mogła tam sprawić. Tymczasem i epidemia żółtej febry w Livorno wygasła.

## ROZDZIAŁ VII.

(R. 1805). Uniwersytet. List do ks. Czartoryskiego. Szpital Sióstr Miłosiernych, zatarg z zakonnicami. Pierwszy koncert. Nieporozumienie z gen. gubernatorem. Radziwiłłonty i Radziwiłłowie.

Rok 1805 rozpoczął się dla nas pod jak najlepszą wróżbą.

Otrzymaliśmy wszystkie nasze rzeczy i książki i chociaż ich przewiezienie łącznie z naszą podróżą kosztowało około dwóch tysięcy dukatów holenderskich, Uniwersytet wypłacił je bez słowa protestu. W tym samym czasie urządzono nam mieszkanie w domu Prozora. Ojciec darował mi parę koni, które otrzymał w prezencji od jednego ze swoich pacjentów. Pozostawał jeszcze do wykonania punkt czwarty umowy, zawartej pomiędzy uniwersytetem a moim ojcem: „Uniwersytet ma prosić kuratora księcia Czartoryskiego o wyjednanie dla p. Franka rangi odpowiedniej randze radcy dworu (conseiller aulique) J. Ces. M. Cesarza Niemiec“. Ojciec mój, dowiedziawszy się drogą prywatną, że ma otrzymać rangę radcy stanu, uprzedził rektora, że ta go nie zadowolni, ponieważ austriacka ranga conseiller aulique według § 25 Regulaminu cesarzowej Marji Teresy z d. 30 kwietnia

1749 r. odpowiada randze wojskowej generał-lejtenanta, zaś rosyjska ranga Radcy Stanu tylko randze generała brygady. Rektor starał się przekonać mego ojca, że ranga radcy stanu jest w Rosyi bardzo ceniona, że daje ona prawo noszenia na kapeluszu pióropusza i że zadowoleni z niej są nawet gubernatorzy cywilni i t. d. Widząc, że ojciec mój nie ustępuje, rektor prosił go o złożenie mu memorjału z wyłożeniem motywów swego żądania, on zaś to pismo prześle kuratorowi. Ale było już za późno, ponieważ d. 10 stycznia 1805 r. został wydany ukaz do senatu, podpisany własnoręcznie przez Cesarza Aleksandra. D. 1 lutego przysłano go do Uniwersytetu wileńskiego. W ukazie słało: „Uwzględniając zasługi na polu naukowem Jana Piotra Franka, wezwanego do Uniwersytetu wileńskiego na katedrę kliniki, nadajemy mu rangę Radcy Stanu“.

Jednocześnie ojciec otrzymał list od ks. Czartoryskiego, który tłumaczył się, że otrzymał przysłany przez rektora memorjał, już po podpisaniu przez Cesarza ukazu. Zaś przedtem kurator zasięgał w tej kwestji informacji u posła austriackiego hr. Stadiona, który zapewniał, iż conseiller aulique odpowiada rosyjskiej randze radcy stanu. Książę żałuje, że tak się stało i świadczy, iż Cesarz i rząd rosyjski umieją cenić ludzi tak zasłużonych, jak Frank, czego w najbliższym czasie nieomieszkają dowieść.

W tym czasie mój ojciec skończył opracowanie planu organizacji fakultetu lekarskiego w Uniwersytecie wileńskim, która to organizacja prawie się nie różniła od podobnej Uniwersytetu w Padwie. Po odczytaniu projektu na posiedzeniu naukowem Akademji, gdzie nie spotkał się z opozycją, przesłano go do ministra oświaty, który projekt zatwierdził i rozkazał go wykonać. Wszystko było zrobione w ciągu trzech miesięcy.

Tylko co wspomniałem o sesji naukowej akademickiej. Muszę zaznaczyć, że Uniwersytet wileński był nie tylko instytucją, przeznaczoną dla wykładu



nauk (Uniwersytet w ścisłym tego słowa znaczeniu), ale jednocześnie był on A k a d e m j ą, t. j. zadaniem jego było przyczynianie się do postępu nauk. Należy rozróżniać te dwa określenia, jakkolwiek ich nie ma w statucie. Tymczasem dowolnie używano wyrazów U n i w e r s y t e t i A k a d e m j a, jak gdyby były one równoznaczne. Ale, co gorsze, studentów nazywano a k a d e m i k a m i. Bądź jak bądź, Uniwersytet czy Akademia wileńska miała prawo wyznaczać nagrody za prace naukowe i na ten cel rozporządzała co roku sumą 500 rb. Memu ojcu polecono wskazanie tematu na rok bieżący. Przedstawił on dwie tezy: 1) „O kołtunie“ i 2) „O analogii pomiędzy chorobami roślin i ludzi“. Ponieważ nikt nie stanął do konkursu, przeto zaprzestano podawania tematów i bodaj że słusznie tak postąpiono, Uniwersytet bowiem nowonarodzony nie powinien jeszcze myśleć o posuwaniu naprzód nauki, a tylko wykładać uczącej się młodzieży jej zasady, oraz dbać o uzupełnienie gabinetów i zbiorów naukowych. A jednak Uniwersytet Wileński był daleki od wypełniania tego zadania i wcale o niem nie myślał. Jasnym było, że Uniwersytet tak bogato wyposażony, nosił w sobie zarodki rozkładu. Nie ukrywałem tego ani przed rektorem Stroynowskim, ani przed hr. Czackim, ani nawet przed księciem Czartoryskim, do którego napisałem list treści następującej:

„Najważniejszą przeszkodą dla pomyślnego rozwoju Uniwersytetu jest mojem zdaniem chęć uczynienia z niego odrazu instytucji kompletnej, zamiast stopniowego doskonalenia jej w szczegółach. Utworzono mnóstwo katedr, a na każdą z nich sprowadzono profesora. Opłata kosztów podróży i kupno domów na mieszkania dla nich pochłonęły nietylko zwyczajne dochody Uniwersytetu, ale również sumę nadzwyczajną, otrzymaną od J. Ces. Mości i przeznaczoną na potrzeby najpilniejsze, jak np. gabinetu, biblioteki i t. p. Dzięki takiej gospodarce, Uniwersytet posiada znaczną liczbę profesorów, ale nie ma

możności dać im tego, co potrzeba, aby mogli oni z pożytkiem pracować<sup>1)</sup>.

Każdy Uniwersytet posiada rzeczy najbardziej niezbędne, oraz takie, które jakkolwiek bardzo pożyteczne, nie należą do najpilniejszych. Obowiązkiem naszym jest dołożyć wszelkich starań, aby zdobyć pierwsze i wydoskonalić je, zanim pomyślimy o drugich. Lepiej, jeżeli Uniwersytet nasz będzie chociażby pod niektórymi względami bez zarzutu, aniżeli cały niedoskonały. Mojem zdaniem: 1-o) nie należy powiększać liczby profesorów, zanim ci, którzy już są, nie będą zaopatrzeni we wszystko, co do nauczania jest potrzebne. 2-o) Sumy, przeznaczone na wydatki mniej pilne, używać w ciągu pewnego czasu na nabywanie rzeczy nieodbicie potrzebnych i 3-o) wprowadzić zmiany i ulepszenia w gospodarce Uniwersyteckiej. Katedry dotąd wakujące dają nam rocznie 13 tysięcy rubli oszczędności, sumy przeznaczone na podróże, na sesje naukowe i na nagrody akademickie wynoszą 4 tysiące rubli. Większą od powyższych sum można zdobyć, przeznaczając dochód z beneficjów duchownych na rzeczy pożyteczne, oraz zmniejszywszy liczbę adjunktów. Niech te pieniądze zostaną użyte na kupienie instrumentów fizycznych, na rozszerzenie ogrodu botanicznego, zbudowanie w nim cieplarni, na urządzenie teatru anatomicznego, klinik chirurgicznej i położniczej, a przede wszystkim na powiększenie biblioteki.

Osiągniemy przez to tę korzyść, że dla wprawienia w ruch maszyny wystarczą zwyczajne dochody Uniwersytetu. Bo dla czegoż nie miałby prosperować Uniwersytet, mający 105 tysięcy rubli rocznego dochodu. Przecie znamy Uniwersytety świetnie urządzone, pomimo, iż nie rozporządzają one nawet trzecią częścią tej sumy“.

Te moje propozycje były bardzo przychylnie przy-

<sup>1)</sup> Już po naszym przyjeździe, przybyli również do Wilna: Pp. Grodek Tarengi i Czerniawski, profesorowie literatur greckiej, łacińskiej i rosyjskiej, oraz p. Niemczewski, profesor matematyki, a także kilku adjunktów.



jęte przez księcia Czartoryskiego i p. Czackiego, ale nie przez p. Stroynowskiego, który był dumny z tego, że otacza go liczna rzesza profesorów, szczególnie cudzoziemców. Rektor wcale nie ukrywał swego przekonania, że sami tylko ziomkowie jego nie byłiby w stanie przyczynić się do rozwoju Uniwersytetu, nie dla tego, iż nie było pomiędzy nimi ludzi zdolnych, ale, ponieważ mało się interesowali sprawą i lubili intrygować<sup>1)</sup>. Na profesorów cudzoziemców p. Stroynowski zapatrywał się niekiedy w dziwny sposób. Jak należało do dobrego tonu mieć kucharza — Francuza, cukiernika — Neapolitańczyka, a masztalerza — Anglika, tak, zdaniem Rektora, literaturę łacińską powinien wykładać Rzymianin, rytownictwo — Anglik, zaś medycynę — Niemiec. Wybór profesora nie zawsze zależał od opinii, jaką się on cieszył w świecie uczonym, ale niekiedy od rekomendacji przyjaciół p. Stroynowskiego. Rektor skorzystał z mojej nieobecności na jednym z posiedzeń uniwersyteckich i zaproponował wysłanie prof. Capell'ego w podróż naukową. Nie chcąc dopuścić do tej podróży, napisałem do księcia Czartoryskiego list następujący:

„Nie zaprzeczając pożytku, jaki mają podróże naukowe, sądzę jednak, że Uniwersytet, stawiający pierwsze kroki, który odczuwa brak najniezbędniejszych rzeczy, lepiej mógłby użyć przeznaczonych na podobne podróże

<sup>1)</sup> Ten pogląd na Stroynowskiego jest niesłuszny, również jak zarzut, iż w jego czynach grała rolę próżność. Rektor, jak świadczą jego biografowie (J. R. Rudomina. Wizer. i roztrz. naukowe. Wilno. T. 5, r. 1839). Miał na celu tylko dobro Uniwersytetu i kraju. Niebawem po zreformowaniu Uniwersytetu, Stroynowski istotnie nie znajdował na miejscu uczonych, a powierzyć nauczanie w Uniwersytecie miernotom, znaczyło to zgubić dzieło w zarodku. Dla tego sprowadzał z zagranicy znanych uczonych, nie tylko cudzoziemców, ale i Polaków, jak Jana i Jędrzeja Śniadeckich. Sam Stroynowski patrzył na to powołanie cudzoziemców, jako na rzecz przejściową i wysyłał zdolniejszych młodzieńców zagranicę w celu przygotowania z nich profesorów. (W. Z.).

pieniędzy. Jeżeliby zaś po zaspokojeniu najpilniejszych potrzeb, znalazły się jeszcze pieniądze na taką podróż, stanowiącą rzecz mniejszej wagi, to prawdopodobnie Wasza Książęca Mość uważałby za bardziej odpowiednie, zamiast dawania ich cudzoziemcowi, przeznaczyć pieniądze na podróże naukowe dla kilku zdolnych młodych ludzi, poddanych J. Ces. Mości. W podróży p. Capell'ego na koszt Uniwersytetu, upatruję dziwną niekonsekwencję.

Należy przypuszczać, że profesor, sprowadzony z głębi Włoch, posiada wszystkie kwalifikacje i dostateczną wiedzę dla zajęcia przeznaczonej mu katedry. Tymczasem, zaledwie upłynęło ośm miesięcy od przyjazdu p. Capell'ego, już go wysyłają w podróż dla uzupełnienia wiadomości naukowych, i do tego kosztem Uniwersytetu, do którego świetności miał on się swoją osobą przyczynić. Uważałbym to za mniej dziwne, gdyby chodziło o profesora nauk fizycznych, dla którego zwiedzenie gabinetów i zaznajomienie się z tysiącem innych urządzeń, niewątpliwie byłoby pożyteczne i dałoby mu sporo nowego materiału. Nieodzownym jednak warunkiem powinna być dokładna znajomość języków tych krajów, które wysłaniec Uniwersytetu ma zwiedzać, czego, niestety, nie można powiedzieć o p. Capelli'm.

Odpowiedź księcia brzmiała, jak następuje:

„List pański jest nowym dowodem, jak go mocno obchodzą sprawy Uniwersytetu Wileńskiego. Powzięty przez Uniwersytet projekt podróży prof. Capell'ego powstał wskutek nieporozumienia. Rzecz cała tak się miała: Akurat przed rokiem napisałem do rektora Stroynowskiego, że uważałbym za pożyteczne, aby p. Capelli przed przyjazdem do Wilna zwiedził Niemcy i Anglię, a to w celu dokładnego poznania, jak w tych dwóch państwach i szczególnie w Anglii są postawione nauki prawnicze. Ponieważ właśnie w tym czasie p. Capelli już przybył do Wilna, należało, ma się rozumieć, zaniechać tego projektu, ale, że potem nic w tej sprawie nie pisałem, przeto rektor Stroynowski sądził, że spełni moje życze-



nie, wprowadzając w czyn projekt niegdyś przeze mnie podany. Ale to, co było dobrem przed przyjazdem p. Capell'ego, stawało się niepotrzebnem, gdy on już rozpoczął wykłady. Zresztą nie mamy obecnie na to zbywających pieniędzy, ponieważ w ostatnich czasach Uniwersytet wydał przeszło 60 tysięcy rubli na kupno koniecznie mu potrzebnych domów. Napisałem już do p. rektora Stroynowskiego, tłumacząc dlaczego życzyłem, aby p. Capelli został w Wilnie“.

Ponieważ dotąd nie było wypadku, aby kurator nie zatwierdził uchwały powziętej przez Uniwersytet z rektorem na czele, przeto uwzględnienie mego projektu wywarło w Wilnie wielkie wrażenie i sprawiło, że w Uniwersytecie zaczęto patrzeć na mnie, jako na wszechmogącego, a profesorowie Polacy i cudzoziemcy szukali ze mną zbliżenia. Dzięki temu znalazłem się niejako na czele Uniwersytetu. Grupa, która pozostała wierną rektorowi, była nieliczna i z wyjątkiem Capell'ego, należeli do niej profesorowie mniej zdolni. Capelli nigdy mi nie mógł wybaczyć figla, który mu spletałem. Zupełnie inaczej postępował p. Stroynowski. Sam zacny i szlachetny, zrozumiał, że moje zwrócenie się do kuratora miało pobudki czyste i było podyktowane troską o dobro Uniwersytetu. Odtąd zaczął on liczyć się z moim zdaniem, szczególnie w sprawach administracyjnych. „Przyznaję, mówił mi rektor, że nie należy się śpieszyć z obsadzeniem wakujących katedr, pragnąłbym jednak zrobić kilka wyjątków. Kraj nasz jest rolniczy i mieszkańcy jego gorąco pragną mieć szkołę rolniczą i weterynaryjną. Sprowadźmy tedy ludzi, którzy byliby zdolni stworzyć takie szkoły. Znam jednego dla weterynaryjki. Przysłał on nam memorjał o swojej metodzie wykładania tej nauki. Ponieważ memorjał bardzo się nam podobał, przeto przed pańskim jeszcze do Wilna przybyciem, wybraliśmy autora na profesora, ale zwrócił on nam dyplom, gdyż nie może porzucić obecnie zajmowanej posady. Mam na myśli Ludwika Bojanusa z Darmsztadtu“.

Odpowiedziałem na to rektorowi, iż stało się bardzo szczęśliwie, że sprawa wzięła taki obrót i opowiedziałem o zajściu, które miało miejsce pomiędzy mną, a Bojanusem<sup>1)</sup>, ale dodałem „nie wielka to strata, ponieważ potrzebny nam jest weterynarz praktyk, a takim właśnie nie jest Bojanus. Postaram się pozyskać dla Wilna Marcina Alberta Tögl'a z Pragi, doskonałego praktyka, który, znając język czeski, z łatwością wyuczy się mówić po polsku“. Zaraz potem napisałem do niego. Tögl odpisał mi w wyrazach najgrzeczniejszych, że jego obecne stanowisko nie pozwala mu przyjąć proponowanej w Wilnie katedry, jak nie pozwoliło przyjąć katedry w Charkowie, na którą zapraszał go tameczny kurator Seweryn hr. Potocki.

Nie powiodły się również moje starania celem pozyskania dla Wilna profesora Piotra Jordana z Wiednia, którego zaproponowałem na katedrę ekonomiki rolniczej. W tym samym czasie, gdy p.p. Tögl i Jordan odmówili przyjęcia mojej propozycji, usilnie starał się o katedrę w Wilnie znakomity uczony Kuret Sprengel, ale nie od nas zależało przyjęcie jego oferty. P. Sprengel pisał do mnie poufnie, że obowiązuje się prowadzić w Uniwersytecie Wileńskim wykłady botaniki i ma nadzieję, że nie oddadzą tej katedry księdzu Jundziłłowi, którego on uważał za ograniczonego i zajadłego Polaka (Stockpole)!

Szpital Sióstr Miłosierdzia, w którym mieszałem wykłady kliniczne, znajdował się w stanie oplakanym. Zda-

<sup>1)</sup> D-r Ludwik Bojanus był w Wiedniu zaręczony z niezwykle urodziwą i utalentowaną panną Wilhelminą Roose, ale odłożył ślub do powrotu z wycieczki, przedsięwziętej dla obejrzenia niektórych zakładów weterynaryjnych. W czasie jego nieobecności między narzeczoną a Józefem Frankiem zawiązał się taki stosunek, który nie mógł być obojętnie przez Bojanusa widziany. Uprzedzając więc jego powrót do Wiednia Frank przyśpieszył uczoną swą podróż naukową do Francji i Anglii. Wiadomość powyższą podał prof. Michał Homolicki w przypisku na marginesie pamiętników Franka, który sam mu to opowiedział. (W. Z.).



rzało się, że na jednym łóżku leżało dwóch chorych, a niekiedy poprostu umieszczano ich na podłodze, która posypywano piaskiem, aby ukryć brudy. Łóżek było mało i nie posiadały one tablic dla wypisywania nazwiska chorego i rodzaju choroby. Powietrze w salach było zarażone, ponieważ nie miały one wentylatorów, otwieranie zaś okien było niemożliwe z powodu zimna. Nie przestrzegano żadnych przepisów dietetycznych i zakonnice karmiły chorych, jak się im podobało. Same one również przyrządzały lekarstwa. D-r Szymkiewicz, któremu prof. Becu wyjeżdżając powierzył Szpital, odwiedzał go wtedy tylko, gdy sobie o jego istnieniu przypominał, a nawet wezwany na wieś nie zostawiał następcy, ale porzucał chorych bez żadnej opieki. Słowem przeszło 150 chorych pozostawało na łasce zakonnice. Wreszcie te nieporządki zwróciły na siebie uwagę Litewskiej Komisji Szpitalnej, która, wybrawszy mnie na swego członka, poleciła mojej opiece dział lekarski w szpitalu Sióstr Miłosiernych. Przyjąłem propozycję z warunkiem, że będę pełnił ten obowiązek tylko do powrotu p. Becu i że nie będę pobierał za to wynagrodzenia. W dniu objęcia przeze mnie posady naczelnego lekarza szpitala, zebrałem siostry i miałem do nich po polsku mowę, która została wydrukowana. Zakonnice wcale nie były zachwycone. Przedewszystkiem starałem się pozyskać względy przełożonej, a to dlatego, by skłonić ją do wprowadzenia z własnej woli ulepszeń, które uważałem za niezbędne dla dobra zakładu jej pieczy powierzonego. Ponieważ przełożona wymawiała się brakiem środków, pomimo, że cesarz Aleksander nadał Siostrom dwa starostwa, które przynosiły kilkanaście tysięcy rubli rocznego dochodu, przeto przyrzekłem, iż zdobędę fundusze, potrzebne na wprowadzenie proponowanych przeze mnie ulepszeń. Zdawało się, że to trafiło jej do przekonania.

Postanowiłem urządzić koncert amatorski w sali Kasy w domu Millera. Dla wykonania sonaty na fortepianie zaprosiłem baronową Bennigsenową, zaś panna Las-



**Krystyna Frankowa,**

żona prof. Józefa Franka.

(Z portretu Rustema, znajdującego się w sali Towarzystwa Dobroczynności w Wilnie).

kowiczówna, córka prezydenta, przyrzekła grać na harfie. Hr. Kazimierz Grabowski, pułkownik Merlini i p. Sierakowski<sup>1)</sup> również mieli grać z paniami na wiolonczeli

<sup>1)</sup> Józef hr. Sierakowski, b. sekretarz poselstwa polskiego w Szwajcarii, przyjaciel Kościuszki, w r. 1812 był członkiem rządu tymczasowego na Litwie. (W. Z.).



i na skrzypcach, zaś pani Frankowa podjęła się zaśpiewać dwie wielkie arje włoskie i jedną polską. Cierpliwość moja była wystawiona na próbę z orkiestrą teatralną, bo n. p. kapelmistrz był przekonany, że p i a n o oznacza, iż trzeba grać w tempie powolnym. Pomimo to, ku ogólnemu zadowoleniu koncert udał się znakomicie i dał dochodu 703 dukatów holenderskich, pomimo, że w sali mogło się zmieścić nie więcej nad 400 osób. Pani prezydentowa Lachnicka i panna Chrapowicka, córka starosty, przyjmowały przy drzwiach ofiary i naddatki. Książę Platon Zubow (ostatni faworyt cesarzowej Katarzyny i jeden ze spiskowców, którzy zamordowali cesarza Pawła) wyłożył tym paniom garść dukatów. Nie będę się rozpisywał o zachwycie, jaki wywołał śpiew pani Frankowej. Gazeta Wileńska <sup>1)</sup> z d. 17 stycznia 1805 r. wydrukowała recenzję, pełną gorących pochwał, pisząc między innymi: „Imię Franka, tak drogie dla naszego kraju i tak wielkiego znaczenia dla cierpiącej ludzkości, dzięki wczorajszemu wieczorowi nabrało nowego blasku“. Chcąc zrobić przyjemność paniom, które przyjmowały na koncercie ofiary, prosiłem je, by same wręczyły pieniądze przełożonej Sióstr Miłosiernych. Zostały one przyjęte z zapalem. Przekonany, że trzeba kuć żelazo na gorąco, nazajutrz zagałem sprawę ulepszeń w szpitalu, ale zaledwie otworzyłem usta, jak przełożona przerwała mi tonem wyniosłym.

— „Mój Panie! w żaden sposób nie możemy się zgodzić na wprowadzenie zmian proponowanych przez pana. Chętnie zgadzamy się, abyś pan czasowo zastępował naszego stałego lekarza, ale grubo się pan mylisz, sądząc, że pozwolimy rozporządzać się u siebie. Nie uznajemy prawa komisji szpitalnej wtrącania się do naszych spraw. Publiczność dotąd była z naszego szpitala zadowolona i będzie nią nadal, pomimo, że pan stara się nas oczernić. Jeżeli źle spełniamy nasze obowiązki, zdamy z tego spra-

<sup>1)</sup> Kurjer Litewski. Wychodziła również w tym czasie i „Gazeta literacka wileńska“. (W. Z.).

wę przed O.o. Misjonarzami, ponieważ nie uznajemy żadnej innej władzy, nawet władzy biskupa wileńskiego. Z ich to grona wybrałyśmy sobie administratora w oso-



**Platon Zubow.**

(Ze sztychu, wykonanego przez Jamesa Walkera, według portretu Lampiego w zbiorach rodzinnych hr. Mikołaja Zubowa).

bie ks. Pohla. Proszę tedy zwrócić się do niego, jeżeli chce pan czegoś więcej dowiedzieć się“

— „O, wiem już dosyć i dla tego żądam, aby panie raczyły zwrócić mi pieniądze, otrzymane na wprowa-



dzenie w szpitalu ulepszeń, skoro nie chcecie tego uczynić. Pieniądze te oddam innym szpitalom“.

Przełożona, zanosząc się od śmiechu, zawołała: — „O, co to, to nie, mój panie! Publiczność złożyła pieniądze dla nas i już rozporządziłyśmy niemi, w części na spłacenie niektórych długów, a w części na upiększenie naszej kaplicy“.

Przyznaję, że słysząc to, straciłem zimną krew i że w uniesieniu pozwoliłem sobie na użycie ostrych wyrazów. Właśnie na to zdawała się oczekiwać przełożona. — „Nie właściwą chwilę wybrałeś pan, by nas znieważać, bo oto właśnie Jej Cesarska Mość Cesarzowa Matka zwróciła się do nas z prośbą o wysłanie dwunastu sióstr dla obsługiwania założonego przez nią w Petersburgu szpitala, a to zapewnia nam Jej wysoką protekcję. Polece tym siostrą, aby poinformowały Jej Cesarską Mość o zachowaniu się pana względem nas“.

— „Róbcie, co się wam podoba, ale moja noga tu więcej nie postanie!“ — „Tego właśnie najbardziej pragniemy“.

Niżej czytelnicy zobaczą, jak cesarzowa matka tę sprawę przyjęła. Zajęcie to jednak było przyczyną, dla której przerwałem moje wykłady kliniczne w szpitalu Sióstr Miłosiernych. Na szczęście nieco później znalazłem sposób powetowania straty, jaka stała dla moich słuchaczy wynikła. Mój ojciec współczuł memu żartowaniu z powodu zatargu z mniszkami, ale sądził, iż niepotrzebnie pośpieszyłem, i że należało przed tem zbadać grunt. — „Trzeba było, uzbroiwszy się w cierpliwość, przede wszystkim dowiedzieć się o stosunku zakonnic do Misyjonarzy, poczem zwrócić się wprost do tych ostatnich, jako do najbardziej świątłych pomiędzy współczesnymi nam zakonami, zamiast wdawać się w dysputę z ciemnymi kobietami. Należało dokładnie wytłómaczyć publiczności, na jaki cel urządziłeś koncert, a wtedy sam mógłbyś rozporządzać dochodem z niego. Niedosć bowiem chcieć dobra, ale trzeba umieć je czynić. Nie trać jednak

odwagi, publiczność potrafi ocenić twe dobre chęci i nie pozostaną one bez pożytku dla społeczeństwa“.

Ojciec miał słuszość, bo istotnie publiczność, poczynając od biskupa wileńskiego, stanęła po mojej stronie i przeciwko zakonnicom, które pod presją opinii publicznej w końcu były zmuszone wprowadzić w szpitalu niektóre ulepszenia.

Zaledwie zakończyła się ta sprawa, gdy źle zrozumiana gorliwość wplątała mnie w inną, poważniejszą.

Było to w końcu zimy. Z głębi Rosji przechodziły liczne oddziały wojsk, dążąc ku granicy niemieckiej z powodu wojny, zakończonej bitwą pod Austerlitz. Wojska, przechodząc przez Wilno, pozostawiały tu sporo chorych żołnierzy.

Generał głównodowodzący Rymkij - Korsakow, nie wiedząc, jak ich ulokować, zwrócił się do barona Bennigsen z żądaniem oddania domu korpusu kadetów. Gmach ten, w którym za czasów polskich istotnie mieścili się kadeci, został przez cesarza darowany Uniwersytetowi. To też p. Bennigsen przesłał żądanie głównodowodzącego rektorowi, którego to wymaganie przeraziło, ponieważ we wspomnianym domu mieli mieszkania profesorowie. Rektor zawiadomił mnie o tem, czego od niego żądają, dodając: — „Widzi pan, co się dzieje w Rosji. Tu niczego nie można być pewnym. To, co dziś dają, odbierają nazajutrz“.

— „Sądziłbym, że nie należy oddawać domu, ale wystąpić z protestem“.

— „U nas tego nie wolno“. — „Niech mi pan rektor pozwoli działać. Pomówię z p. Bennigsenem i mam nadzieję, że go przekonam“.

W niedzielę po nabożeństwie generał-gubernator przyjmował interesantów. Znalazłem go w otoczeniu znakomitszych panów polskich i wyższych urzędników. Jak tylko p. Bennigsen zbliżył się do mnie, pozwoliłem sobie odezwać się do niego. — „Tylko co dowiedziałem się, iż chcą pozbawić Uniwersytet jednego z domów dla urzą-



dzenia w nim szpitala wojskowego?“ — „Tak, idzie tu o dawniejszy dom korpusu kadetów. Zawiadomiłem już o tem rektora“.

— „Ekscelencji zapewne nie jest wiadomem, że paragraf ósmy aktu konfirmacji Uniwersytetu cesarskiego w Wilnie głosi, iż domy należące do Uniwersytetu są zwolnione od umieszczania w nich wojskowych?“

— „Owszem, wiem o tem, ale jesteśmy na stopie wojennej, a zresztą konieczność nie zna prawa“.

— „Wielki Boże! toż nie ma jeszcze dwóch lat, jak Statut Uniwersytetu został zatwierdzony przez Najjaśniejszego Pana, a już go gwałcą. Na cóż możemy rozliczać my, cudzoziemcy, którzy przybyliśmy do Rosji, ufając sile tego statutu?“ — „Uspokój się pan, pomówimy o tem później“.

Spostrzegłem, że krew nabiegła do twarzy generała. Panowie polscy uśmiechali się pod wąsem, zaś na twarzach urzędników malowało się osłupienie. Jak tylko wszyscy się rozeszli, generał zaprosił mnie do swego gabinetu i rzekł: — „Panie Frank, postawiłeś mnie pan w przykrej pozycji, przemawiając do mnie publicznie tonem, do jakiego generał-gubernator w Rosji nie jest przyzwyczajony. Pomyśl pan o tem, że ja reprezentuję osobę cesarza — monarchy nieograniczonego i że my znajdujemy się w kraju od niedawna przyłączonym, w którym mam obowiązek szczególnie wymagać poszanowania władzy. Jeżeli pan miałeś co do powiedzenia, nie należało tego czynić w obecności osób, którym ja nie mogę na to samo, co panu pozwolić. Zresztą, przyjmę do wiadomości pańskie przedstawienie, pomimo, iż wywołam tem protest generała Korsakowa. Może pan powiedziec rektorowi, że tymczasem oszczędzę dom uniwersytecki i umieszczę szpital w którym z klasztorów, ale obawiam się, że wcześniej, czy później będziemy zmuszeni powrócić do pierwszego postanowienia“.

Pośpieszyłem wyrazić p. generał-gubernatorowi najgłębszą wdzięczność za jego przychylność dla Uniwersy-

tetu i za pobłażliwość dla mnie. Z kim innym zajście to nie skończyłoby się tak pomyślnie, czego dowodem może posłużyć scena, jaka w rok potem miała miejsce między następcą generała Bennigsen a profesorem Śniadeckim. Zbytecznem jest dodawać, że Polacy przyklasnęli mojej odwadze i że względy okazane mi przez wielkorządcę wzmocniły moje stanowisko w Uniwersytecie.

Mniej więcej w tym czasie otrzymałem z Petersburga list od d-ra Józefa Rehmana, mego dawnego ucznia wiedeńskiego, który potem odegrał w Rosji wybitną rolę. D-r Rehman pisał mi, iż w czasie, kiedy podróżowałem po Francji i Anglii, przyjął on posadę lekarza przybocznego u księcia Gruzji, ale niezadowolony porzucił tę posadę i przyjął u księcia Czernyszewa. „Tu, w Petersburgu, pisał, przygotowują się do wyprawienia wielkiego poselstwa do Chin. Postanowiłem starać się o posadę lekarza przy tem poselstwie, ale powiedziano mi, że zaproponowano ją panu i że pan zgodził się odbyć tę podróż. Wobec tego, moje starania nie odniosłyby skutku, gdyby jednak, wiadomość była nieprawdziwa, w takim razie upraszam pana i ojca pańskiego o zarekomendowanie mnie księciu Czartoryskiemu, z którego inicjatywy poselstwo będzie wyprawione. Chociaż Rehman był źle poinformowany, ale list jego obudził we mnie chęć odbycia podróży na wschód. Pobiegłem do generał-gubernatora, aby go o tem zawiadomić. Powiedział mi, że istotnie miał na mnie widoki i chciał mi zaproponować posadę lekarza przy poselstwie do Chin, ale rektor za zgodą mego ojca prosił, by tego nie robił. Obaj kierowali się względami, które już przytaczali, gdym zamierzał jechać do krajów nawiedzonych przez żółtą febrę. Nadto mój ojciec wspomniał o możliwości wyjazdu jego do Petersburga, w razie czego objąłbym po nim katedrę medycyny praktycznej i kliniki w Uniwersytecie Wileńskim. Musiałem i tym razem ustąpić wobec przytoczonych racji, lecz prosiłem rektora, by w imieniu mego ojca i mojem zechciał rekomendować ks. Czartoryskiemu na wspo-



mnianą posadę d-ra Rehmana. Rektor spełnił prośbę i mój protegowany został mianowany lekarzem przy poselstwie. Później dziękowałem Bogu, że nie puściłem się w tę podróż, którą kilka osób przypłaciło zdrowiem. Członkowie poselstwa musieli wrócić od granicy, ponieważ ks. Czartoryski zaniedbał koniecznych środków ku temu, aby przyjęcie posłów odbyło się według ceremonjału. Nie mam potrzeby dodawać, że dzięki temu książę naraził na kompromitację cesarza, posła ks. Gołownina, hr. Jana Potockiego i innych członków poselstwa.

Wspominałem wyżej o możności wyjazdu z Wilna mego ojca. Rzecz się tak miała. D-r Albini, jeden z naszych starych uczniów wiedeńskich, pozostający od lat kilku na służbie rosyjskiej, zrobił nam niespodziankę, przyjeżdżając do Wilna z swoją młodą żoną, córką d-ra Ellisena, jednego z najzdolniejszych lekarzy petersburskich. D-r Albini zwierzył się nam, że minister spraw wewnętrznych polecił mu wy badać mego ojca, czyby się nie zgodził przyjąć posady głównego dyrektora departamentu medycznego i profesora kliniki w petersburskiej akademii medyko-chirurgicznej w razie, gdyby cesarz zechciał go na to stanowisko powołać.—Ojciec odpowiedział, że jest nieskończenie p. ministrowi wdzięczny za zaszczytną propozycję, ale będąc zadowolony z Wilna, nie pragnie zmiany. W takim tylko razie zgodziłby się przenieść do Petersburga, gdyby był przekonany, że na nowem stanowisku odda większe, niż w Wilnie usługi państwu i nauce.

Albini, wróciwszy do Petersburga, niezwłocznie zawiadomił mego ojca, że hr. Koczubej był bardzo zadowolony z jego odpowiedzi i że gotów jest dać mu jaknajszersze pole działania. List Albiniego nosił datę d. 2 marca 1805 r.

Ale nastąpiło lato i o wezwaniu ojca do Petersburga nie było więcej mowy. Sądząc, że projekt upadł, zamieszkał on z nami w wili podmiejskiej, którą kupił od pod czaszego, p. Kossakowskiego, za 1200 dukatów. Dom po-

łożony o wiorstę od miasta, na przedmieściu Antokol, chociaż drewniany i jednopiętrowy, był obszerny i wygodny. Znajdował się w głębi obszernego dziedzińca pomiędzy dwoma ogrodami, a tuż za nimi płynęła Wilja. Naprzeciwko po drugiej stronie drogi zieleniły się wesole, porośnięte sosną wzgórza i wznosił się wspaniały kościół św. Piotra i mury klasztorne. W tej to wili ojciec mój spędził najszcześniejsze w życiu chwile.

Wszystko mu się uśmiechało. Praktyka dała mu w ośm miesięcy, pięć tysięcy dukatów, nie licząc rozmaitych podarunków, przeznaczonych głównie do ozdobienia mieszkania. Przesyłało mu różnego rodzaju zwierzęta domowe, począwszy od dwóch przepięknych krów tyrolskich i kończąc na młodym niedźwiadku, który nas bawił i śmieszył. Byliśmy pewni, że niedźwiedź zupełnie się już oswoił, gdy pewnego razu rzucił się na młodą dziewczynę i omal jej nie zadusił. To też trzeba go było zabić. Prawdopodobnie zginął by i bez tego, ponieważ miał chorobę mleczną pacierzowego, której przyczyną był nałóg, wybaczalny niedźwiedziom, pozostającym w stanie bezżennym.

W przeddzień św. Piotra wydałem na cześć mego ojca wieczór, składający się z koncertu, ogni sztucznych i kolacji. Jeden z naszych współbiedników, bez naszej wiedzy, wmieszał do deseru drukowane godła, dotyczące przedmiotu odbywanej zabawy, co wielce całe ubawiło zebranie, mniemające z początku, że to się stało tylko skutkiem ślepego trafu. Jedno z owych godeł zawierało napis: „Austria ich utraciła, niechajże Rosja zatrzymać ich stara się dla siebie“. Fest u św. Piotra sam przez się był okazały. Tego dnia cała ludność wileńska zbierała się w okolicy kościoła, znajdującego się przed naszym domem, i tu posilała się, piła i tańczyła. Rozbite namioty nadawały miejscowości podobieństwo do wojennego obozu. Wszystko odbyło się w zachwycającym porządku, pomimo licznych zaprzęgów, niekiedy w cztery konie.

Zamknięcie roku szkolnego również obchodziliśmy



wielkim obiadem, na którym byli obecni dwaj generałowie z Petersburga: hr. Seweryn Potocki<sup>1)</sup> i hr. Iljński. Ten ostatni był ulubieńcem cesarza Aleksandra, który mu nadał znaczne dobra ziemskie<sup>2)</sup>. Wieczorem odbyło się w Uniwersytecie uroczyste posiedzenie.

Ojciec mój, posyłając swoich pacjentów do Karlsbadu, zawsze skierowywał ich do d-ra Kreysig'a, swego ucznia z Padwy, a obecnie lekarza nadwornego w Dreźnie. Długo jeszcze potem tak Polacy, jak Rosjanie pozostawali wierni temu zwyczajowi. Skończyłem tom drugi moich podróży i poświęciłem go Tadeuszowi hr. Czackiemu, którego niezmiernie szanowałem. Ten drugi tom miał nie mniejsze od pierwszego powodzenie, szczególnie w Petersburgu. W tym czasie zostałem wezwany do starego księcia Radziwiłła wojewody trockiego<sup>3)</sup>, który mieszkał w Radziwiłłmontach około Nieświeża o 40 mil od Wilna. Zapalony myśliwy i szeroko korzystający z praw pana względem córek swoich poddanych, mieszkał on w swoim pałacu zupełnie samotnie. Chociaż brzydki i niekształtny ożenił się powtórnie z osobą rzadkiej piękności i charakteru anielskiego, ale młoda żona umarła nagle po wypiciu filiżanki herbaty. Podejrzowano, że została otruta, co było nieprawdą ponieważ stwierdzono, iż śmierć nastąpiła wskutek pęknięcia aneuryzmy. Opowiadano również, że starsza córka umarła nagle z przerażenia wskutek niezwyklej czułości ze strony ojca. Na to samo skarżyły się także obie pozostałe córki w miarę, jak podrastały, a nawet starsza księżniczka Anna niechciała zupełnie widywać ojca i oddała się pod opiekę brata, księcia Antoniego, który bardzo był z tej opieki dumny, chociaż nie kochał nic oprócz butelki. Zajął się on posagiem siostry i obiecywał jej złote góry. Przebywszy ospe, która ją okropnie oszpeciała, księżniczka

1) Pierwszy kurator Uniwersyt. Charkowskiego. (W. Z.).

2) Na Ukrainie. (W. Z.).

3) Ks. Józef Radziwiłł, wojewoda trocki, ordynat klecki (M. Homolicki „Na dziś“. T. III, str. 21). (W. Z.).

Anna postanowiła usunąć się od świata i z wyjątkiem brata nie widywać nikogo. Miała ona nauczycielkę pannę Gross (Genowefę), która znakomicie знаła literaturę i szczególnie historję i z zapalem oddawała się muzyce. Ona to sprawiała, że samotność nie ciążyła zbyt ciężko biednej dziewczynie, która dużo czasu spędzała na pracy umysłowej i na lekturze. Od brata żądała tylko książek, on zaś sprowadzał je całemi pakami, nie zadając sobie trudu myślenia o wyborze. To też w liczbie książek były nie tylko wydania kompletne Woltera i Rousseau, ale także mnóstwo romansów, nawet takich jak „Związki niebezpieczne“ (Liaisons dangereuses)<sup>1)</sup>.

Młodsza księżniczka Wiktorja miała zaledwie 16 lat, była piękną jak anioł, wesołą i dobrą, tańczyła znakomicie i miała duży talent do śpiewu.

Stary książę od jesieni 1804 r. cierpiał na świerzb starczy (pruritus senilis), dość zwykłą u starców chorobę, która doprowadzała go do rozpacz. Drapał się on literalnie do krwi, tak, że skóra jego była pokryta ranami. Bezsenność i cierpienie były przyczyną przewlekłej gorączki, do której przyłączyły się obrzęki nóg. Chory strąciwszy zaufanie do swego lekarza dr. Pawłowicza, jak również do dr. Liboszyca, którego często sprowadzał, posłał do Wilna swego syna księcia Antoniego, polecając mu prosić mego ojca o przyjechanie. Ponieważ działo się to w marcu, było jeszcze zimno i na drogach leżał śnieg; więc ojciec odmówił i poradził zwrócić się do mnie, co też młody książę zrobił. Zgodziłem się odbyć tę podróż tem chętniej, że ojciec przyrzekł, iż mnie w Uniwersytecie zastąpi. Pojechałem tedy z księciem. Był to człowiek 40-letni, gruby, otyły, uczesany à àiles de pigeons, ubrany zawsze w mundur szlachty mińskiej i noszący dawne ordera polskie.

1) Główny w swoim czasie romans drastyczny Piotra de Laclous. (I-e wyd. w 1782 r.). W r. 1912 utwór ten ukazał się w przekładzie polskim Boy'a, nakład E. Wendego w Warszawie. (W. Z.).



Prosiłem go, byśmy nie tracili czasu w podróży, ale książę wstawał późno, nie spieszył się z wstawaniem od obiadu i wcześniej kładł się spać. To też, pomimo, że jechaliśmy końmi pocztowemi, przybyliśmy do celu naszej podróży dopiero na trzeci dzień wieczorem.—Znalazłem starego księcia w stanie godnym pożałowania. Otaczali go nadlesni, którzy pilnowali, by chory się nie drapał i zabawiali go opowiadaniem o tem, co się w jego obszernych lasach działo. W tych opowiadaniach główną rolę grały wilki, niedźwiedzie, dziki i łosie. Książę miał wygląd wielkiego pana i znośnie mówił po francusku. Udało mi się ulżyć jego cierpieniom za pomocą limonjady z kwasem azotowym. Na wyjeździe książe Antoni wręczył mi 300 dukatów holenderskich, a przedtem jeszcze gdyśmy z Wilna wyjeżdżali, otrzymałem 200 dukatów na wypadek, jeżeliby chory umarł przed moim przybyciem.—W Klecku, Nieświeżu, Nowogródku, przez które to miasto wracałem, oczekiwano już mnie i proszono o odwiedzenie chorych. Musiałem przyrzec staremu księciu, że spędzę u niego dwa miesiące podczas wakacji, a tymczasem przyślę mu lekarza, który będzie prowadził kurację według moich wskazówek. Wybrałem dr. Płocińskiego, ordynatora szpitala św. Jakóba w Wilnie, który nawpół sparaliżowany stracił posadę i zostawał w ostatniej nędzy. Godny ten i zacy człowiek podobał się księciu, który przyjął go na służbę z roczną pensją 300 dukatów holenderskich, mieszkaniem, utrzymaniem, służbą, powozem. Gdy nastały wakacje, książę nie tylko przypomniał mi moją obietnicę, ale także zaprosił mego ojca i panią Frankową, którzy zaproszenie przyjęli, ale wkrótce do Wilna wrócili. Ponieważ odbywaliśmy podróż bez zatrzymywania się po drodze i żywiliśmy się tylko potrawami zimnemi, przeto ojciec mój z utęsknieniem czekał końca podróży i marzył o gorącej zupie. Wielkiem było jego rozczarowanie, gdy po przyjeździe do Radziwiłmontów podano na obiad chłodnik litewski, sporządzony ze śmietany, boćwiny, ogórków, jaj na

twardo, szyjek rakowych i kawałków lodu. Była to niezrównana potrawa w upały lipcowe, jakie właśnie mieliśmy, ale w tej chwili dla mego ojca nieodpowiednia.

Ponieważ książę już był zdrow i tylko pozostawały jeszcze rany na nogach, więc mój ojciec polecił stosować i nadal dotychczasową kurację. Za to potwierdzenie mego leczenia otrzymał on 600 dukatów. Uprzejmość księcia dla mnie nie miała granic. Jego luksusowe obiady, dysponowane przez samego księcia, specjalnie dla mnie, składały się z niezwykłych potraw, przyrządzanych przeważnie ze zwierzyny. To mnie mocno krępowało, chociaż smakowały mi bardzo ogon bobra z fasolą, łapy niedźwiedzie, kszyki, polędwica z łosia i t. d.

Podczas pobytu w Radziwiłmontach pani Frankowej urządziliśmy rodzaj koncertu, na którym zaśpiewała kilka ary. Księżniczka Anna nie była w stanie oprzeć się pokusie słyszenia jej. Ukazała się w salonie w sukni dworskiej i w brylantach. Tak samo była ubrana i młodszą księżniczką, ale wobec jej oślepiającej piękności, nikt nie zwrócił uwagi na jej strój. Po raz pierwszy tedy zobaczyłem księżniczkę, którą nazywałem nie widziałną. Stwierdziłem, iż rysy miała regularne i dystygowane, figurę piękną i wysmukłą, a w jej obojętności znać było połączenie wyniosłości z nieśmiałością. Głos jednak miał nieprzyjemny, a w jej śmiechu dźwięczała ironja. Księżniczka Anna i jej brat niejednokrotnie w mojej obecności rzucali półsłówka o jakichś królowych i ich faworytach. Długo nie mogłem zrozumieć tych przytyków, aż wreszcie przypadkiem dowiedziałem się o ich znaczeniu. Rzecz się tak miała, i niech to służy dowodem, jak pozory mogą mylić. W Wiedniu mieliśmy dawną przyjaciółkę, panną Karolinę Kramer. Pojechała ona do Neapolu, towarzysząc hrabinie Zichy, którą wezwała królowa Karolina (Arcyksiężna austriacka). W obawie, że moje listy do panny Kramerówny pisane, mogą jej ręk nie docho dzić, prosiła ona komandora Ruffio, posła neapolitańskiego przy dworze wiedeńskim, o pozwolenie, abym listy



moje przesyłał jemu dla odsyłania razem z korespondencją królowej. P. Ruffo, serdeczny przyjaciel domu Zichy, jaknajchętniej na tę kombinację przystał. Odtąd wkładałem swoje listy do dwóch kopert i na wewnętrznej, zamiast adresu nadpisywałem: dla Karoliny. Ponieważ pomiędzy memi listami, które książę Antoni sam z Radziwiłmontów wysyłał, znajdowały się i wspomniane do Karoliny, przeto nie ukryły się one przed okiem księżniczki Anny. Ta moja korespondencja z posłem neapolitańskim mocno ją zainteresowała, a gdy pewnego razu użyłem zewnętrznej koperty z cienkiego papieru, mogła ona, przy pomocy brata, z łatwością wyczytać wyraz „Karolina“ na kopercie wewnętrznej. Byli przekonani, że poseł mógł podjąć się doręczania listów tylko osobie najwyższego rodu, a że królowej Neapolu było na imię Karolina, tedy . . . . .

W tym czasie odwiedziła księżniczkę Annę jej dawna nauczycielka, panna Gross. Jadąc z Mińska przywiozła rozmaite nowiny, między innymi o wybuchu Wezuwiusza istotnie okropnym, ale którego rozmiary przesadzono niemiłosiernie i opowiadano, że ludność Neapolu jest zagrożona. Słyszając to i pomyślawszy o pannie Kramer — zemdląłem. Gdy odzyskałem przytomność, pierwsza moja myśl była: Wszak ona znajduje się przy królowej i pannie Zichy i grozi jej wspólne z nimi niebezpieczeństwo. To też jak tylko mogłem przemówić, zapytałem: — „A królowa?“ — „Zdrowa i uratowana“, odpowiedziała panna Gross. — „Dzięki Bogu!“ To zdarzenie jeszcze bardziej utrwaliło księżniczkę Annę w podejrzeniu, które powzięła. Gdy wreszcie przyznała się do niego, opowiedziałem rzecz całą, jak się miała w rzeczywistości i skończyło się na śmiechu.

Pewnego rana książę Antoni wszedł do mego pokoju, zamknął starannie drzwi i przekonawszy się, że jesteśmy sami, rzekł do mnie tonem tajemniczym: — „Księżniczka siostra moja zapalała ku panu gorącym afektem i uczynisz pan ją nieszczęśliwą, jeśli pozostaniesz nieczułym.

Zastępując siostrze ojca, mam prawo zezwolić na wasz związek. Siostra jest moją spadkobierczynią, to też jest dla niej rzeczą obojętną, czy wyjdzie ona za męża, czy też zostanie panną. Zresztą, jeżeli pan zechce rozwieść się z żoną, mógłby pan Annę poślubić. Tymczasem dwa, lub trzy razy do roku będę tu sprowadzał pana pod pozorem śledzenia stanu zdrowia mego ojca i pośredniczył w korespondencji pana z moją siostrą“.

Nie bardzo dowierając słowom księcia, odpowiedziałem wymijająco, że w moim postępowaniu będę się stosował do tego, jak się będzie zachowywała księżniczka.

W bliskości Radziwiłmontów <sup>1)</sup> mieszkała z dwiema zachwycającymi córkami pani Wendorfowa, wdowa po generale polskim. Ponieważ poznałem tę miłą rodzinę w roku ubiegłym w Wiedniu, przeto teraz złożyłem im wizytę. Gdy w rozmowie wspomniałem o ks. Radziwille i jego dzieciach, pani Wendorfowa opowiedziała mi o nich kilka szczegółów, które mogły mi się bardzo przydać.

— „Książę Antoni, pomimo całej swej głupoty, jest ogromnie podstępny. Żyje on w ustawicznej obawie, aby jego siostra Anna nie pomyślała o zamążpójściu i nie zażądała od niego obiecane go posagu, bo to by go zrujnowało. Aby ją od tego odwieść, doprowadził siostrę do zerwania z ojcem i namówił do prowadzenia życia zamkniętego. Obecnie, pragnąc ostatecznie dopiąć celu, myśli on o rzuceniu Anny w objęcia pana. Wiem z pewnością, że wszelkimi siłami podtrzymuje on afekt księżniczki dla pana. Być może, że toby mu się udało, gdyby szło o Wiktorję, dodała pani Wendorfowa z uśmiechem. Nieprawdaż?“

— „O, nie, nie, pani się myli. Dajmy już im wszystkim pokój“.

Wiedząc już teraz, co o tem wszystkim mam myśleć, postanowiłem wycofać się z gry, nie zrywając jed-

<sup>1)</sup> W Hryncewiczach (przyp. prof. M. Homolickiego).



nak z rodziną, która okazywała mi tyle życzliwości. Pod koniec wakacji wyjechałem z Radziwiłmontów. Książę był prawie zupełnie zdrow, wręczył mi znowu 500 dukatów i wymógł na mnie obietnicę, iż przyjadę na Boże Narodzenie. Po powrocie do Wilna znalazłem w niem wielkie zmiany, o których będę mówił w rozdziale następnym.

## ROZDZIAŁ VIII.

(Rok 1805). Powołanie Jana Piotra Franka do Petersburga. Audjencja u Aleksandra I. Cesarzowe. Kanonik Wiazewicz. Mianowanie Józefa Franka na profesora kliniki. Olimpja hr. Mostowska. Rimskij-Korsakow. Założenie Towarzystwa lekarskiego.

D. 22 lipca ojciec otrzymał list następujący:

„Szanowny Panie. Jego Cesarska Mość, pragnąc skorzystać z pańskiej głębokiej wiedzy dla rozmaitych gałęzi zarządu medycznego i zależnych od tegoż instytucji, polecił mi prosić pana o przyjechanie do Petersburga. Korzystam z ferji uniwersyteckich, jako czasu najbardziej dla Pana wolnego, by mu donieść o życzeniu Cesarza i jednocześnie zawiadomić, że Jego Cesarska Mość pokryje koszta podróży i pańskiego tu pobytu. Ja ze swej strony pozwalam sobie wyrazić gorące pragnienie poznania Szanownego Pana i korzystania z jego światłej wiedzy, której sława jest głośną i najzupełniej zasłużoną. Łączę wyrazy i t. d.

Petersburg d. 10 lipca 1805 r. **hrabia Koczubey.**

Jenocześnie Cesarz kazał zawiadomić o swem rozporządzeniu ks. Czartoryskiego, by poczynił niezbędne kroki, aby skłonić Franka do przyjechania podczas wakacji do Petersburga.

Nazajutrz ojciec wyjechał z Wilna w towarzystwie pani Frankowej, pokojowej i służącego i przez Rygę, Dorpat i Narwę udał się do Petersburga. Podróż była nie wesoła, ponieważ wszyscy żalowali cichego zakątka na

Antokolu, a i upały porządnie dokuczały. Około Dorpatu pocztyljon, chcąc wyminąć piaski, w których grzął powóz, zboczył z głównej drogi i zablądził. Ten wypadek doprowadził mego ojca do takiej pasji, iż cisnął on przez okno karety zegarek podróżny, poczem i sam wyskoczył, by się zabrać do pocztyljona. Ledwo Krystyna zdołała go uspokoić. Pomimo, iż jechano dniem i nocą, podróżni dopiero 3 (15) sierpnia przybyli do Petersburga i zamieszkali w hotelu Angielskim. Ojciec pośpieszył przedstawić się hr. Koczubejowi, który go powitał tak, jak tego można się było spodziewać i wkrótce wyrobił mu audjencję u Cesarza. Monarcha przyjął mego ojca z właściwą mu dobrocią i rzekł: — „Oddawna znam pana z opinii, teraz, gdy go poznał osobiście, tem bardziej pragnąłbym, abyś pan pozostał w stolicy“.

Mój ojciec, chociaż przejęty najżywszą wdzięcznością, ośmielił się jednak zwrócić uwagę Cesarza, iż ma już 60 lat, że praca nadwątliła jego siły, że po dziesięcioletnim pobycie we Włoszech, trudno mu będzie przyzwyczaić się do klimatu Petersburskiego i że wreszcie od czasu do czasu dokucza mu podagra. W końcu dodał, iż ma nadzieję, nawet nie opuszczając Wilna, służyć swem doświadczeniem i jest gotów udzielać piśmiennie wszelkich wskazówek w kwestji reorganizacji departamentu medycznego.

Cesarz z uwagą wysłuchawszy ojca, powiedział, iż dla państwa byłby bardziej pożądany stały jego pobyt w Petersburgu, poczem dodał, że uczyni wszystko, aby mu uprzyjemnić pobyt w stolicy. Słyszac te słowa, wypowiedziane ze szczególną łaskawością, mój ojciec wzruszony do głębi, powiedział: — „Będę szczęśliwym, spełniając wszystko, co Wasza Cesarska Mość raczy mi rozkazać!“

Po skończonej audjencji wielki marszałek dworu, hr. Tołstoj, przedstawił mego ojca cesarzowej panującej i cesarzowej matce, również jak innym członkom rodziny cesarskiej, przez których był on bardzo uprzejmie przy-



jęty. Cesarzowa—matka osobiście pokazywała mu instytucje, pozostające pod jej opieką, jak to: Dom podrzutków, instytuty dla panien Maryjski i św. Katarzyny, oraz nowowypbudowany szpital dla biednych. Wszystko to mój ojciec znalazł w świetnym stanie.

Hrabiemu Strogonowowi polecono omówić warunki na jakich mój ojciec zgodziłby się zamieszkać w Petersburgu i hrabia wypełnił polecenie z wielką delikatnością. Umowa została wręczona hr. Koczubejowi. Ten przedstawił ją cesarzowi, który umowę d. 2 września zatwierdził. Nazajutrz minister zawiadomił o tem mego ojca listem następującym:

„Szanowny Panie. Mam zaszczyt zawiadomić Pana, iż po przedstawieniu Jego Cesarskiej Mości punktów umowy, którąśmy z Panem zawarli, Najjaśniejszy Pan w całości ją zatwierdzić raczył. Załączam kopję, oraz ukaz o przyznaniu Panu rangi Rzeczywistego Rady Stamu. Cieszę się szczerze z takiego zakończenia sprawy, oraz z tego, że Pan zamieszka w Petersburgu, gdzie obecność jego będzie niezmiernie pożyteczną.

Proszę przyjąć wyrazy i t. d.

**Hr. Koczubey** <sup>1)</sup>.

Cesarz darował memu ojcu 1000 rs. na drobne wydatki i urządzenie mieszkania, i kazał wydać mu 4 tysiące rubli na kosztą podróży.

Jak na to wszystko patrzyli inni lekarze stolicy? Żaden z nich nie okazał nawet cienia nieukontentowania.

<sup>1)</sup> W tem miejscu w pamiętnikach jest dosłownie przytoczona wspomniana umowa, którą tu podaję w streszczeniu według tej umowy, J. P. Frank zostaje lejb-medykiem, profesorem kliniki, dyrektorem akademji medyko-chirurgicznej, członkiem Rady Medycznej, oraz głównej dyrekcji szkół. Pensji będzie pobierał 12,133 rubli asygnac. oraz mieszkanie. Po sześciu latach służby będzie otrzymywał emerytury po 6068 r. rocznie. W razie jego śmierci tę samą kwotę otrzymają jednorazowo obie jego córki, a potem każda z nich będzie pobierała po 500 r. rocznie aż do zamążpójścia. (W. Z.).

Piotr Wielki przyzwyczał Rosjan do widoku dobrego przyjęcia cudzoziemców <sup>1)</sup>, to też względy, okazane memu ojcu przez Aleksandra nikogo nie oburzały.

Lekarze petersburscy, między którymi większość stanowili cudzoziemcy, nie okazali ani śladu zawiści, co tem bardziej zasługiwało na pochwałę, iż dzielili się na dwa obozy: angielski i niemiecki, które toczyły ze sobą walkę i każdy z nich miał swoich stronników. Cesarz był po stronie swego chirurga Wylie, cesarzowa protegowała doktorów Griffa i Bloka, a cesarzowa-matka trzymała stronę d-ra Aleksandra Crichtona. Przybył jeszcze od czasów Katarzyny II, d-r Rogerson, który, mając wysoką rangę i znaczny majątek, wcale już nie praktykował, podobnie jak baron d-r Asch, starzec 98-letni, uczeń Hallera i członek Rady Medycznej. Ten godny człowiek oddał Rosji niepospolite zasługi, jako lekarz naczelny armji podczas trzech kampanji. Obecnie ten urząd piastował d-r Karpiński, pod zwierzchnictwem d-ra Wylie. Dyrektorami departamentów medycznych marynarki i cywilnego byli doktorowie Rogers i Crichton. Doktorowie Weickard i Ellisen, obaj bardzo wybitni lekarze, zaprzyjaźnili się z moim ojcem, a d-r Ellisen nawet powierzył

<sup>1)</sup> Pewnego razu Piotr Wielki powiedział publicznie: „Wiem, iż względy, jakie muszę okazywać cudzoziemcom nie wszystkim moim poddanym przypadają do gustu. Ale mam dwa rodzaje poddanych: Jedni światli i dobrze usposobieni wiedzą dobrze, że jeżeli staram się zatrzymać w Rosji cudzoziemców, okazując im łaskawość, czynię to dla cywilizowania mego narodu, a przez to dla dobra państwa. Inni znowu nie posiadają dość rozsądku, by zrozumieć moje intencje, ani są dość subtelni, by okazywać cudzoziemcom uprzejmość. Gardzą oni, nie zdając sobie sprawy, wszystkim, co się im wydaje nowością, z wyrzutem patrzą na nasze usiłowania wyjścia ze stanu ciemnoty i barbarzyństwa. I gdyby to od nich zależało powstrzymaliby mnie. Niech pomyślą, czem byliśmy, zanim ja sam nie oświeciłem się w obcych krajach i nie przywiozłem stamtąd ludzi światłych“. (Stachlin. Anecdotes oreginales de Pierre le Grand. Strasbourg. 1787. p. 50).



mu leczenie swej drugiej żony. Była to osoba młoda i piękna, ale miewała paroksyzmy strasznych konwulsji. Tak przynajmniej sądzili lekarze, którzy zupełnie stracili głowę. W końcu wykryło się, że konwulsje były udane, a to w tym celu, aby pozostać sam na sam z asystentem swego męża, młodym d-rem Linderem, którego trzymała w objęciach dotąd, aż go uwiodła i zmusiła do poślubienia jej. Ellisen był podwójnie całą tą historią dotknięty i bodaj bardziej niewdzięcznością swego protegowanego, niż niewiernością żony. Ta jednak niedługo cieszyła się szczęściem w nowym małżeństwie, ponieważ Linder, ostatecznie wyczerpany, wkrótce umarł z suchot. Wdowa wpadła w ostateczną nędzę i była zmuszoną błagać o pomoc swego pierwszego męża. Nie zawiodła się na szlachetności jego charakteru, chociaż tak haniebnie go zdradziła.

Pomimo, że d. 25 września było już 3 stopnie mrozu i Newa pokryła się lodem, zdrowie mego ojca było w doskonałym stanie. Przykrem jednak było uczucie smaku amonjaku, jakiego doświadczał on po każdym spożyciu potraw roślinnych, nawet chleba, zaś kartofli, kapusty, szparagów nie znosił wcale. Trwało to półtora roku.

W grudniu ojciec zachorował na bardzo ciężką gorączkę kataralną, po której nastąpiła recydywa. Leczyli go Weickard i Ellisen. Cesarzowa-matka raczyła przysłać swego lekarza, chcąc mieć codziennie wiadomość o przebiegu choroby. Stwierdzono, iż przyczyną tej ostatniej było to, że rozpoczynając na początku grudnia kurs terapii szczegółowej, ojciec musiał codziennie przededniem udawać się z ulicy Miljonowej, na której mieszkał, do Akademii Medyko-chirurgicznej, położonej na drugiej stronie Newy, prawie w odległości trzech wiorst. Recydywę wywołało otwarcie kliniki d. 30 stycznia 1806 r., którą to uroczystość zaszczycił swoją obecnością Cesarz w towarzystwie hr. Koczubeja. Ojciec mój wygłosił po francusku mowę, trwającą kwadrans. Pomimo tak

krótkiego czasu, rozwinął z wielką uczonością myśl, zawartą w radzie udzielanej uczniom przez Pytagoresa: „Nad metafizykę rezonującą należy przekładać fizykę doświadczalną. Zasadę tę ojciec zamierzał stosować do wykładów klinicznych, które właśnie miał rozpocząć. Po uroczystości cesarz udał się do sali bibliotecznej, akademii, gdzie mu przedstawiłno wszystkich profesorów, z którymi raczył spożyć śniadanie.

Nazajutrz hr. Koczubej w imieniu cesarza wręczył memu ojcu bardzo cenny pierścień brylantowy, jako dowód zadowolenia monarchy. Zarządzający gospodarką akademii, za urządzone śniadanie otrzymał order św. Anny 2-ej klasy.

Wszystko to działo się zaraz po powrocie cesarza po bitwie pod Austerlitz. „Jego powrót do stolicy, pisał mi ojciec d. 24 grudnia, wprawił w zachwyt mieszkańców. Przez trzy dni miasto było iluminowane, a podczas rewii naród całował stopy swego monarchy, który wykazał niezwykłą odwagę, dowodząc armją, i który był tak dobry i łaskawy dla swoich poddanych“.

Lepiejby cesarz uczynił, gdyby wykazał więcej odwagi, gdyby słuchał rad generała Kutuzowa i gdyby czekał nadejścia korpusu Bennigseny i armii arcyksięcia Karola! Kutuzow na klęczkach błagał cesarza, by się wstrzymał z wydaniem bitwy, ale głos starego wojaka nie był wysłuchany i zwyciężyło zdanie młodego księcia Dołgorukowa. Nigdy wojsko nie było poświęcone tak lekkomyślnie, jak w tym wypadku. Wielokrotnie słyszałem to z ust samego Kutuzowa i Bennigseny.

Książę Czartoryski po powrocie z tej nieszczęśliwej wyprawy, podczas której jako minister spraw zagranicznych był przy boku cesarza, długo kazał memu ojcu czekać, zanim udzielił mu audjencji, a przyjąwszy go, był oziębły i lakoniczny. — „Śmiem zapewnić Waszą Księżęcą Mość, rzekł mój ojciec, że nie zrobiłem ani jednego kroku, aby być do Petersburga wezwanym i tu zatrzy-



manym“. Na to książę nawet nie raczył odpowiedzieć. — Później, spotykając się z moim ojcem na proszonych obiadach, unikał z nim rozmowy, chociaż mógłby dowiedzieć się sporo ciekawych szczegółów o Uniwersytecie Wileńskim. Ale za to był ogromnie grzeczny dla pani Frankowej, z którą często spotykał się u hrabiny Ludwikowej Platerowej. Obie cesarzowe wyraziły chęć słyszenia śpiewu pani Frankowej, co też niebawem nastąpiło. Spędziła ona przeszło godzinę u cesarzowej, która przysłała jej przed wyjazdem kolje topazowe, usypane brylantami. Upominek ten przesłał hr. Koczubey razem z następującą kartką:

„Hrabia Koczubey prosi p. Franka o łaskawe wręczenie jego synowej małego upominku, który jej przysłała cesarzowa Elżbieta. Jej Cesarska Mość pragnie zostawić pamiątkę w dowód przyjemności, jaką jej zrobiło poznanie pani Frankowej. Poniedziałek, d. 28 października“.

Cesarzowa-matka przyjęła p. Frankową w pałacu Tauryckim w chwili wstawania od obiadu, w otoczeniu całej rodziny, z wyjątkiem tylko Cesarza i W. Księcia Konstantego. W. Księżniczka Katarzyna miała lat 16, w. księżniczka Anna—10 lat, w. książęta Mikołaj—9 i Michał—7 lat. Ci dwaj ostatni usadowili się naprzeciw pani Frankowej i oparci na łokciach z uwagą jej śpiewu słuchali. Piękne ich główki, całe w lokach, sprawiały Krystynie dystrakcję i to się odczuwało na jej śpiewie. Cesarzowa spostrzegłszy to wciąż się uśmiechała, a potem zwróciła się do niej z zapytaniem:

— „Czy pani zna operę Paiscellego Nitetti?“, a gdy Krystyna odrzekła, iż opery tej nie zna, Jej Cesarska Mość dodała: — „Ta opera została napisana dla mnie, przysyłę Pani jej partyturę“. — Jakoż Cesarzowa spełniła obietnicę i razem z nutami przysłała kosztowny pierścień z topazem, otoczonym brylantami, do tego upominku był dołączony bilecik p. Willamowa, sekretarza cesarzowej-matki, tej treści:

d. 5 września.

„Szanowna Pani. Jej Ces. Mość Imperatorowa-Matka, pragnąc, aby Pani zachowała pamięć, jaką Jej sprawił talent Pani, poleciła mi wręczyć Pani pierścień, który załączam, jako świadectwo przychylności Jej Cesarskiej Mości“.

Nigdybym nie skończył, gdybym chciał wyliczać wszystkie domy arystokratyczne, do których byli zapraszani mój ojciec i pani Frankowa. — „Często spędzamy wieczory, pisała mi ona, u hr. Koczubeja. Byliśmy nawet na pięknej uroczystości, urządzonej na cześć jego ciotki, hrabiny Zakreckiej. Była tam obecną księżna badeńska, Amelia, siostra cesarzowej. Etykieta nie stanęła na przeszkodzie temu, że podczas zabawy wniesiono do salonu klawikord i zmuszono mnie, bym śpiewała“.

Pani Łomonosowowa, żona generała, szczególnie polubiła panią Frankową i darowała jej piękny szal turecki. Na wielkim obiedzie, wydanym przez nią dla księcia Czartoryskiego, ojciec mój poraz pierwszy spróbował zupy ze sterletów, która zdaje się nie bardzo mu smakowała, bo, gdy niedługo potem otrzymał tę rybę w prezencie od swego pacjenta hr. Szeremietjewa, tak mało zwrócił na nią uwagi, że nawet zapomniał podziękować hrabiemu. Ten zdziwiony milczeniem mego ojca, zapytał, jak mu sterlety smakowały i z jego odpowiedzi zmiarkował, iż on nawet nie wiedział, co jadł. Hrabia zwrócił na to uwagę mego ojca i powiedział, że zapłacił za rybę trzysta rubli.

Hrabia Iliński nie pozostał w długi za uprzejmość doznaną od nas w Wilnie. Na jego stole zawsze znajdowały się dwa nakrycia dla mego ojca i dla Krystyny. Właśnie w domu hrabiego poznali oni księżnę Janinę Czetwertyńską, ukochaną w. księcia Konstantego i siostrę pani Naryszkinowej — faworyty cesarza. Hr. Iliński w tym czasie zalecał się do panny Croc, Francuski-modniarki, którą potem poślubił i miał z nią nie jedno przejście tragiczne. Przyjmował on u siebie wielu artystów. W je-



go domu, również jak u bankierów Roll'a Henryka Severina, Bachcra'a i Borgieu, pani Frankowa poznała znakomitego kompozytora oper Boildieu, sławnego skrzypka Rode, oraz śpiewaków opery włoskiej Roneoni i Zamboni. Primadonna pani Magiorletti, znajdująca się już na schyłku swej kariery artystycznej, nie podobała się jej. W Petersburgu dawano często operę Fioraventi'ego *La Cantatrice villane*, w której w głównej roli występowała pani Phillis. Chociaż jej metodzie śpiewu dałoby się niejedno zarzucić, ale za to jej gra przewyższyła wszystko, co dotąd widziano, to też niejednokrotnie zapraszano ją na występy w teatrze Ermitaża, do którego miały wstęp tylko osoby, zajmujące najwyższe stanowiska. Mój ojciec został tam zaproszony raz na zawsze. Wkrótce po jego przyjeździe do Petersburga, wprosił się doń kanonik Wiazewicz. Ten polak, spędzający część roku w Petersburgu, zdawał się dokładnie znać stolicę. Ofiarował swoje usługi z taką serdecznością, że nie było sposobu nie przyjąć ich, tem bardziej, że i dla jego wieku podeszłego należały się względy. Szczególnie leżało mu na sercu, aby ojciec złożył wizytę arcybiskupowi katolickiemu Siostrzencewiczowi, rezydującemu w Petersburgu. Według jego słów, arcybiskup codziennie rozpytywał o mego ojca, którego jakoby z niecierpliwością pragnął poznać. Mój ojciec, który dobrze rozumiał przyczynę nalegania ze strony kanonika, w końcu postanowił spełnić jego życzenie. Razem tedy weszli do poczekalni arcybiskupa, który jednak nie udzielił audjencji kanonikowi, a mego ojca przyjął bardzo chłodno. — „Czem mogę Panu służyć?“ — „Ponieważ kanonik Wiazewicz mówił mi, że Eksceleńcja życzy sobie mnie poznać, przeto uważałem sobie za obowiązek...“ Usłyszawszy nazwisko Wiazewicza, arcybiskup zmarszczył brwi i przerwał: — „Nie wiem, Panie, czemu mam zawdzięczać ten honor, chyba, że okazuje go pan głowie kościoła katolickiego w Rosji?“ Mój ojciec dotknięty takim przyjęciem, ponieważ ocze-

kiwał wcale innego, rzekł: — „Nigdy nie byłem mocny w sprawach religji katolickiej, a zatem mam honor pożegnać Eksceleńcję“.

Po wyjściu od arcybiskupa ojciec gorzko wymawiał Wiazewiczowi, iż dzięki jemu znalazł się w tak przykrej sytuacji. Kanonik wybełkotał kilka słów, niby się tłumacząc, a potem oświadczył się z gotowością dalszych usług. Jak tylko ojciec wyrażał chęć złożenia komu wizyty, Wiazewicz już był gotów towarzyszyć. Na zapytanie: — „Czy pana znają w domu, do którego mam jechać?“ kanonik odpowiadał: — „Ależ naturalnie, jestem przyjacielem Pana, zaufanym Pani“ i t. d.

Pewnego dnia pojechali oni do pani Szyłowowej, damy bardzo dostojnej. Ta, wziawszy mego ojca na stronę, zapytała: — „Panie Frank, czy pan dobrze zna tego człowieka, z którym pan przyjechał?“

— „Znam go, pani, za największego na świecie *seccatore*“.

— „O, gdybyż tylko to. Ale jest to człowiek unikany, przez wszystkich pogardzany, który powinienby zejść ze schodów prędej, niżby chciał, gdyby nie przyszedł tu z panem. Słowem, jest to oszust, darmozjad i hultaj. Czy panu wiadomo, jak on postąpił z Janem Jakóbem Rousseau. Za pieniądze ułatwiał on widzenie się z nim. — „A to jakim sposobem?“ — „Nie wiem już, jaką drogą Wiazewicz poznał się z J. J. Rousseau i w końcu wszedł w jego łaski i zamieszkał u niego. Ponieważ wielu cudzoziemców, szczególnie Anglików, pragnęło poznać genewskiego obywatela, ten zaś wcale nie był przystępny, przeto Wiazewicz ułatwiał za pieniądze widzenie się z Rousseau. Ale nie koniec na tem. Niektórzy z odwiedzających, widząc nędzę, w jakiej on żył, ofiarowywali mu pomoc pieniężną, którą filozof zwykle z oburzeniem odrzucał. Ale jak tylko gość wychodził, zbliżał się ku niemu Wiazewicz ze słowami: — „Proszę nie zwracać uwagi na odmowę Rousseau, ponieważ nie wie on, co mówi, ale ja, zarządzając gospodarstwem, wiem dobrze,



iż bywa on bardzo nie rad, gdy niema za co kupić obiadu, jak to właśnie ma miejsce dzisiaj. Łatwo się domyślić, jaki wynik miały takie wyjaśnienia. To oszustwo nie trwało jednak zbyt długo. Rousseau kopnięciem nogi wyrzucił Wiazewicza za drzwi<sup>1)</sup>“.

Prawie tak samo postąpił i mój ojciec.

Straszne wieści z Wiednia, któremu groziło zajęcie przez Francuzów, bardzo ojca zmartwiły. Żałował on teraz, że nie sprzedał swego domu wiedeńskiego, ponieważ przewidywał, że zostanie on zniszczony przez postój żołnierzy, a do tego będzie ściągnięta wysoka kontrybucja. Niemniej niepokoiła go myśl o mojej matce, która mieszkała w Gratzu<sup>2)</sup>. Gdy wreszcie dowiedział się ojciec o zajęciu przez nieprzyjaciół stolicy (13 listopada), wieszował sobie, że w porę ją opuścił. „Moi nieprzyjaciele, pisał do mnie, intrygując przeciwko mnie i robiąc wszystko, co tylko było w ich mocy, aby mnie zmusić do opuszczenia Austrii i zgnębić, nie przypuszczali, iż oddali mi olbrzymią usługę i pracowali dla mego szczęścia“.

Nie był jednak ojciec wolny od trosk w położeniu obecnem, które wydawało się lepszem, niż było istotnie. Przedewszystkiem dwóch tysięcy rubli, asygnowanych na mieszkanie było za mało i trzeba było dokładać jeszcze tysiąc, aby utrzymać dom na przyzwoitej stopie. Niemal codziennie ktoś z przyjaciół zostawał na obiedzie, co wymagało, aby kuchnia była zawsze zaopatrzona w produkty w ilości większej, niż tego wymagały potrzeby rodziny, to też, chociaż życie w Petersburgu nie było droższe od wileńskiego, ale np. dobra pieczeń cielęca kosztowała od 12 do 14 rubli, a i wina były niezmiernie

<sup>1)</sup> Opowiadanie to potwierdziły osoby najzupełniej godne zaufania.

<sup>2)</sup> Jan Piotr Frank rozstał się z żoną z powodu jej gwałtownego charakteru. (W. Z.).

drogie, zaś kupować produkty tańsze i pośledniejszego gatunku nie zgadzało się z charakterem ojca.

Pewien Węgier, handlujący winami, przyszedł z propozycją następującą. — „Lekarze Anglicy, praktykujący w Petersburgu, zalecają swoim chorym Madere, zaś Niemcy każą używać tylko wino reńskie. Czy nie zgodziłby się Szanowny Pan zalecać swoim pacjentom wina węgierskie? Gdyby tylko pan powiedział im, iż te wina są od innych skuteczniejsze, niebawem wyprzedaliby cały zapas, jaki w moich piwnicach posiadam. Osiągnę znaczny zysk nawet w takim razie, jeżeli pan profesor pozwoli, że w dowód wdzięczności będę stale dostarczał win do stołu pańskiego“ — „Mój przyjacielu, rzekł na to ojciec, jedna tylko zachodzi tu trudność, mianowicie, że ja uważam wina węgierskie jako zbyt rozgrzewające i dla tego właśnie nie mogę i nie będę ich moim chorym zalecać“. Kupiec złożył głęboki ukłon i pożegnał mego ojca.

Za owoce płacono w Petersburgu szalone pieniądze. Ojciec mój leczył syna pewnego brodatego kupca od gorączki gastrycznej. W czasie rekonwalescencji chłopiec miał wstręt do jedzenia, ale wciąż marzył o wiśniach. — „Nie broniłbym mu ich, powiedział mój ojciec, ale przecież nie sposób dostać wiśni w połowie października“ — „To już nasza rzecz, odrzekli rodzice, proszę tylko wskazać, ile jagód może zjeść chory?“ — „No, mniej więcej piętnaście“. — „To dużo, ale będzie je miał“. Jakoż wiśnie kupiono po pięć rubli za jagodę.

Praktyka mego ojca w Petersburgu była znacznie mniejsza od wileńskiej, tem bardziej tedy należało ograniczyć wydatki, bo i powrót do Wilna synowej pociągał za sobą nie małe koszta. W liście do mnie ojciec wyrażał wdzięczność za troskliwość, jaką go ona otaczała i zapewniał, iż wywozi uwielbienie całego Petersburga i łaskę cesarzowych.

Od czasu naszego ślubu zawsze stołowaliśmy się u ojca. Teraz jednak musieliśmy pomyśleć o własnem go-



spodarstwie. — „Uważają mnie, pisała Krystyna, za najlepszą na świecie śpiewaczkę i za istotę anielsko miłą, ale



**Dom uniwersytecki**

na rogu ul. Wielkiej i zaułka Szwarcowego. Tu na piętrze mieszkał Jan Piotr Frank, po nim Józef Frank, a później Jędrzej Śniadecki, który tu zmarł. Na piętrze wyższym było mieszkanie prof. A. Capellego, a w dziedzińcu mieszkał prof. Tarenghi.

fotografował d-r W. Zahorski.

ja twierdzę, że tego wszystkiego jest za mało i że muszę stać się także dobrą gospodynią. Być może darujesz mi inne moje zalety, jeżeli tę właśnie posiadę. Bądź co bądź,

ale chęci mam najlepsze. Bądź tedy cierpliwym i pamiętaj, że jeżeli będziesz dla mnie niedobrym, — poskarżę się cesarzowym“.

Powróciłem z Radziwiłmontów do Wilna w pierwszych dniach września i pierwszą moją troską było wyprawić do Petersburga siostry i wysłać bibliotekę ojca, który upoważnił mnie do zatrzymania sobie książek, potrzebnych mi, ale radził, bym nie nadużywał jego hojności. Nie byłem jednak pod tym względem dość umiarkowany, wiedząc, że ojciec może korzystać z wielkich bibliotek petersburskich, gdy tymczasem ja musiałem zadawać sobie książnicą Uniwersytetu Wileńskiego, która z wyjątkiem pięknego zbioru dysertacji lekarskich, pochodzących jeszcze z czasów jezuitów, była bardzo uboga w nowsze dzieła medyczne. Ze spokojnem tedy sumieniem porządnie spustoszyłem bibliotekę ojcowską, co jednak nie przeszkodziło, iż przez siostry zwrócił mi koszta mojej podróży do Francji i Anglii.

— „Byt sióstr twoich, pisał mi ten najlepszy z ojców, jest zabezpieczony, to też nie skrzywdzę ich, posyłając ci te pieniądze“.

Lokal, zajmowany w Wilnie przez ojca, był niezapreczenie najlepszy z tych, jakimi rozporządzał Uniwersytet. Według brzmienia naszej umowy, miałem odziedziczyć po ojcu katedrę terapii szczegółowej i kliniki z pensją 3000 rs. Byłem przekonany, że zajmę również jego mieszkanie, ale rektor przeznaczył je dla prof. Grodka, chcąc przez to przypodobać się księciu Czartoryskiemu, w którego domu ten uczony był guwernerem. Dając Grodkowi posadę w Uniwersytecie Wileńskim, książę uniknął obowiązku wypłacania mu emerytury, którą przyrzekł. Naśladował on w tem magnatów rosyjskich, którzy chętnie zwałali na rząd spłacanie zaciągniętych przez siebie zobowiązań względem swoich starych służących. W danym wypadku sprawa publiczna tylko zyskała, ponieważ p. Grodek słusznie słynął jako doskonały znawca literatury greckiej i łacińskiej. Zrzeczenie



się mieszkania musiało go nie mało kosztować, ponieważ nie odznaczał się bynajmniej charakterem uległym. — Ostatecznie mieszkanie mego ojca mnie zostało oddane <sup>1)</sup>).

Rektor zwierzył mi się, iż p. Jędrzej Śniadecki, którego miałem za przyjaciela, robił starania u kuratora, aby oddano mu katedrę wakującą po ustąpieniu mego ojca. Zabiegi te były nie szlachetne i niemądre, ponieważ katedra ta mnie się należała i ponieważ miałem w Petersburgu protektora, który w razie potrzeby, potrafiłby mi ją zapewnić.

Powiedział mi również p. Stroynowski, że jego przyjaciółka, hrabina Olimpja Mostowska, z domu Radziwiłłówna <sup>2)</sup> pragnie otrzymać nominację na członka honorowego Uniwersytetu, sekcji literatury i sztuk pięknych. Wiedząc o tem, że hrabina jest autorką i malarką i pomnąc, że we Włoszech kobiety mogą ubiegać się nawet o katedry profesorskie, odpowiedziałem, iż chętnie poprę kandydaturę protegowanej rektora. Aby nie postawić p. Mostowskiej w fałszywej pozycji p. Stroynowski przedewszystkiem zwrócił się do senatu akademickiego z zapytaniem, czy zgodziłby się on wybrać na członka honorowego damę, jeżeli będzie posiadała po-

<sup>1)</sup> Dom, w którym mieszkał Frank na piętrze od ulicy, znajduje się na rogu ul. Wielkiej i zaułka Szwareowego. Choć należał do Uniwersytetu, który kupił tę kamienicę od Prozora, to jednak znany jest dotąd pod nazwą „domu Franka“. Po wyjeździe Franka z Wilna, jego mieszkanie zajął Jędrzej Śniadecki, który tu umarł w r. 1838. Wyższe piętro zajmował prof. Aloizy Capelli, a w dziedzińcu mieszkał prof. Tarengi. Dziś dom ten należy do okręgu naukowego. (W. Z.).

<sup>2)</sup> Mostowska Anna Olimpja, żona ministra Tadeusza Mostowskiego, autorka kilku powieści, które potem wydała w 3 tomach pod tyt. „Moje rozrywki“ (Wilno 1806 r.). Oprócz tych napisała: „Strach w zamczku“, „Astolda, księżniczka z krwi Palemona, pierwszego księcia litewskiego“ (2 tomy. Wilno, 1807) i „Zabawka w spoczynku po trudach“ (Wilno. r. 1809).

(W. Z.).

trzebne kwalifikacje? Na to p. Śniadecki zupełnie poważnie powiedział: — „Tak, byleby była piękna!“

Ponieważ tej właśnie zalety była kandydatka pozbawiona, więc obecni profesorowie wybuchnęli głośnym śmiechem, a rektor nie miał odwagi w dalszym ciągu mówić o tej sprawie. W parę dni potem otrzymałem od p. Mostowskiej list następujący:

„Nieskończenie jestem wdzięczną panu za łaskawe poparcie mego życzenia zostania członkiem instytucji, która ma zaszczyt posiadać pana w liczbie swych członków. Jednym z motywów moich zabiegów była właśnie chęć zostania pańskim kolegą. Obawiam się jednak, iż to mi się nie uda. Prawdopodobnie ten surowy Uniwersytet nie zechce kobiety, chyba, że pańska uprzejmość rzuci promień wesołości na zachmurzone czoła waszych milczących uczonych, zmusi ich zmienić zdanie, i przekona, że mądrość, jakkolwiek bardzo szacowna, jest niczem bez wdzięku. Wdzięk ten, wierny towarzysz mojej płci, będzie stronił od nudnego tłumy, który pragnie zabronić nam posiadać rozum i talent i nie zajrzy do świątyni, w której nam nie wolno być kapłankami. — Nie tak postępowali filozofowie starożytni. Pythagoras kochał Theanę i gdyby nie ta miłość, nie byłby on w stanie poprawić obyczajów Krotony i nie nauczyłby mądrości mieszkańców tego bogatego i zamożnego w rozkoszy miasta. Solon znosił kaprysy pewnej małej niewolnicy, która nim rządziła. Sokrates uprawiał filozofję przy boku pięknej Aspazyi, Plato uczył o miłości niebiańskiej, a cynik Diogenes, alboż nie był dumny, że przez chwilę cieszył się względami Lais, ubóstwianej przez Arystydesa? Składajcie ofiary Gracyom, mawiał Sokrates do swoich uczniów. Pański zaś Uniwersytet składa ofiary tylko nudzie“.

Otwarcie kliniki odbyło się d. 21 września. Rozpocząłem wykłady rozprawą o sposobach badania chorych i pisania historji chorób. Daleki byłem od zalecania moim uczniom, by zadawali chorym cały szereg zapytań, ow-



szem, radziłem, by pozwalali mówić samemu choremu, lub jego najbliższemu. Tylko trzymając się tej zasady znajdziemy wskazówki, jakimi mają być nasze zapytania. Rozpytywać chorego na wzór sędziego śledczego — jest to nigdy do niczego nie dojść i nigdy nie skończyć.

„Każdy z was, mówiłem, będzie musiał wytłómaczyć mi, dla czego dawał pacjentowi te a nie inne zapytania. Co do historii chorób, żądam, aby były one pisane prosto, jasno i bez wszelkich niepotrzebnych rozumowań.

Mając do zwalczenia uprzedzenie publiczności do kliniki, starałem się przyjmować tylko takich chorych, na wyzdrowienie których mogłem liczyć.

— „Nie mam nic przeciwko temu, mówiłem memu asystentowi, abyś pan przedstawiał mi ciężko chorych, byle choroba nie była zadawniona i byle dotknięty nią był przedtem człowiekiem zdrowym“. Postępując w ten sposób byłem tak szczęśliwy, że w ciągu trzech miesięcy nie straciłem ani jednego chorego. Ta okoliczność natchnęła publiczność tak bezgranicznem zaufaniem, że od-tąd nie tylko nie odczuwałem w klinice braku chorych, ale byłem wprost zasypywany prośbami o ich przyjęcie. Od tego czasu nie troszczyłem się już o to, czy choroba da się uleczyć lub nie, byle przypadek był pouczający. Często nawet umyślnie przyjmowałem do kliniki chorych nieuleczalnych, aby mieć możność zrobić sekcję trupa i wzbogacić gabinet patologiczny. W takich przypadkach unikałem niepotrzebnych rozmów i odrazu przepowiadałem niepomyślne zakończenie choroby. Z tego wynika, iż niedorzecznością jest staranie się, by w klinice było jak najmniej śmiertelnych przypadków, ponieważ takiej kliniki nie można polecać uczącym się. Wcale nie twierdzą, że znaczna śmiertelność w klinice świadczy o jej doskonałości, chcą tylko zaznaczyć, że wybór chorych, i co zatem idzie, większa lub mniejsza śmiertelność, w zupełności zależy od woli profesora kliniki.

W ubiegłym roku szkolnym studenci wcale nie widzieli puszczania krwi. Trzeba przyznać, że i lekarze wi-

leńscy, za wyjątkiem d-ra Liboszyca, w owym czasie bardzo rzadko używali tego środka<sup>1)</sup>. To sprawiło, że, gdy kazałem otworzyć żyłę choremu, studenci byli przekonani, że pacjent umrze z osłabienia, ale niebawem przekonali się, że byli w błędzie.

Stale zawiadaniałem ojca o wszystkim, co się działo w klinice. Chwaląc mnie, robił mi jednak zarzut, że skłaniam się ku empiryzmowi . . . . .

D. 21 września rozpocząłem kurs terapii szczegółowej. Uprzedziłem moich słuchaczy, że nie znoszę dwóch rzeczy, mianowicie — ziewania i spoglądania na zegarek. W ogólności wymagałem, aby tak w audytorjum, jak i w klinice zachowywano się tak, jak to jest przyjęte w dobrem towarzystwie.

Prof. Becu powrócił z zagranicy i zajął katedry fizjologii i patologii. Obie te nauki znakomicie mogą być wykładane równolegle, jak tego dowiódł Gregory w swoim *Conspectus Medicinae theoreticae*. Twierdzą nawet, że patologia powinna niejako kontrolować fizjologię i że najwłaściwiej jest po wytłómaczeniu czynności narządów zdrowych, przedstawić następnie zmiany, wywołane w nich przez chorobę...

Na razie p. Becu bardzo mi się podobał i znalazłem go wcale niepodobnym do tego, jakim mi go odmalowano. Jego wygląd zewnętrzny był poważny i do pewnego stopnia przypominał mi kwaków, zwłaszcza, że ubierał się podobnie, jak oni. P. Becu mówił po angielsku z łatwością, ale nie bez przesady. Przywiózł mi list bardzo pochlebny od Jennera<sup>2)</sup>.

Już d. 30 września spadł śnieg. Pogoda była okrut-

1) Był to czas, kiedy w Europie wszechwładnie panowała metoda leczenia większości chorób oparta na obfitem, raz po raz powtarzanem puszczaniu krwi. Można bez przesady powiedzieć, że Europa była zalewana krwią chorych. Nawet zdrowym zalecano puszczać krew przynajmniej raz na rok. (W. Z.)

2) Jenner znakomity wynalazca szczepienia ospy ochronnej.



na, to też nabawiłem się gorączki katarowej. Oddałem się w kurację d-rowsi Śniadeckiemu, którego jedynaka wyleczyłem od podobnej choroby. Pewnego dnia, gdy już wracałem do zdrowia, zjawił się u mnie kurjer austriacki, zrozpaczony, że nie może znaleźć lokalu dla hr. Stadion, który jako poseł nadzwyczajny dworu wiedeńskiego w drodze do Petersburga miał przejeżdżać przez Wilno. Pośpieszyłem ofiarować mu gościnność, aby hr. Stadion mógł wypocząć w ciągu 24-godzinnej przerwy w uciążliwej podróży. Moja kuchnia była dostatecznie zaopatrzona w zwierzynę i ryby, to też postarałem się podtrzymać honor Litwy. Hr. Stadion był mniej zamknięty w sobie, niż zwykle są dyplomaci. Ponieważ pokój presburski nie był jeszcze ostatecznie zawarty, nie potrzebował on zachowywać zbyt ostrożności w mowie o zwycięzcy. Często widywałem hr. Stadion w Wiedniu, gdzie mój ojciec stale leczył jego i jego rodzinę. Zachowanie się generała Mack'a pod Ulmem wydało mu się tak samo, jak mnie nie do wytłómaczenia. Co do księcia Karola Auersperga, hr. Stadion usprawiedliwiał go, że nie spalił on mostu Tabor na Dunaju w bliskości Wiednia; nie uczynił tego, ponieważ zaufał zapewnioniom Murata, że armia francuska nie przejdzie Dunaju.

Bardzo żałowałem, iż w czasie przejazdu przez Wilno hr. Stadion był tu nieobecny generał Bennigsen. Opuścił on nas w końcu października, aby objąć dowództwo nad armją rosyjską, znajdującą się na Śląsku, a która była niedaleko od Austerlitz w chwili nieszczęśliwej bitwy.

Gdy nadeszła wiadomość o tym pogromie, profesowie Uniwersytetu wileńskiego (prawie wszyscy księża) zbrali się na obiedzie u rektora Stroynowskiego, by wypić zdrowie Napoleona. Byłem oburzony taką niewdzięcznością względem cesarza Aleksandra, który zapewniał im byt daleko świetniejszy, niż na to zasługiwali.

Muszę oddać sprawiedliwość księdzu Poczobutowi, że nie brał on żadnego udziału w tym skandalu.



**Aleksy Rimskij-Korsakow**

general-gubernator wileński.

(Z portretu w pałacu general-gubernatorów wileńskich).

Na posadę general-gubernatora wileńskiego na miejsce p. Bennigsen, ten sam, którego pod Zurychem pobił Mas-



sena. Dość było nań spojrzeć, by poznać, że było to zero. Wyniosłej postawy i o manierach wielkopańskich, ale fantastyk, co jednak nie przeszkadzało, że dla kobiet umiał być uprzejmym. Nie można mu było zarzucić nieuczciwości, ale za to jego kochanka i sekretarz robili z nim, co chcieli i obiema rękami brali łąpówki. Miał on dwóch synów nieprawych, których wychowywał przy sobie, a o których powiem nieco później. Nowy generał-gubernator okazywał mi te same względy, co jego poprzednik...

W osobie p. Bennigsena Towarzystwo wileńskie poniosło wielką stratę, ponieważ p. Rimskij-Korsaków nie prowadził domu otwartego. Pomimo to Wilno miewało chwile, jeżeli nie świetne, to przynajmniej huczne, a to podczas sejmików, na których odbywały się wybory do magistratu, marszałków szlachty i t. d. Dotąd sejmiki te nosiły jeszcze dawny charakter republikański, ale utraciły go wkrótce z powodu rozmaitych nieporządków. Magnaci litewscy zjeżdżali się do Wilna w towarzystwie drobnej szlachty, która pod względem wyglądu zewnętrznego prawie się nie różniła od włościan. Różne stronnictwa spajały ich gorzałką, by sobie ich głosy zapewnić.

Władza, przestrzegając porządku, nie wtracała się do wyborów, które odbywały się w powiatach, a w Wilnie zbierali się tylko pełnomocnicy. Zyskiwał na tem nasz spokój.

Pragnąłem tylko spokoju i pracy. Przestałem bywać w teatrze, w kasyno i na wieczorach. Do siebie jednak zapraszałem co niedziela na wieczór profesorów, literatów i nawet bardziej inteligentnych słuchaczy. Przy szklance herbaty czytaliśmy gazety, zaznajamialiśmy się z nowymi pracami naukowymi i dyskutowaliśmy. Na te wieczory panie wstępu nie miały. Ojciec mój, dowiedziawszy się o tych zebraniach, narobił gwałtu. „Strzeż się, pisał on do mnie, aby te zebrania nie przekształciły się w klub, aby to towarzystwo, zajmujące się więcej polityką, niż nauką, nie skompromitowało ciebie. Polakom nie można ufać! Są oni niezadowoleni z rządu rosyjskie-

go, jak nie byli zadowoleni z własnego i nigdy nie będą z żadnego, gdyby nawet sam Archanioł Gabriel zstąpił z nieba, by nimi rządzić.

Ponieważ biblioteka uniwersytecka nie posiadała najniezbędniejszych podręczników lekarskich i trzeba było czasu, aby ją zaopatrzyć, przeto pozwoliłem studentom trzy razy w tygodniu w moim mieszkaniu korzystać z własnej ksiąźnicy.

Postanowiłem uczcić dzień 12 (24) grudnia, jako dzień urodzin cesarza Aleksandra przez założenie w Wilnie jakiej pożytecznej instytucji. W tym celu zaprosiłem na obiad wszystkich profesorów wydziału lekarskiego, oraz znanych w mieście lekarzy, chirurgów i farmaceutów i przedstawiłem im projekt **Towarzystwa Lekarskiego**. Był on bardzo prosty i polegał na tem, aby lekarze i farmaceuci raz lub dwa razy na miesiąc zbierali się dla omawiania kwestji lekarskich, panujących w mieście chorób, niektórych rzadkich przypadków i t. d. Na posiedzeniach miał być spisywany protokół. Należało zaprenumerować kilka najlepszych czasopism i nawiązać stosunki z lekarzami innych krajów. Wszyscy biesiadnicy zgodzili się na mój projekt, podpisali się pod nim i przez to zostali członkami-założycielami<sup>1)</sup> Towarzystwa, którego statut wraz potem został przedstawiony cesarzowi dla zatwierdzenia. W tym czasie p. Grodek rozpoczął wydawnictwo w języku polskim „Gazety Literackiej” na wzór wychodzących w Halle i w Jenie. Zeznając pożytek takiego pisma dla kraju, przyrzekłem

<sup>1)</sup> Oprócz J. Franka, założycielami Tow. byli: Jędrzej Śniadecki, Becu August, Lobenwein Jan, Szpitznagel Ferdynand, Braun Jan, Enholm Eljasz, Gutt Grzegorz, Heiman Herz, Liboszyk Jakób, Matusiewicz Andrzej, Szlegel Jan, Szymkiewicz Jakób, Wolfgang Jan, Wagner Karol.—Towarzystwo lekarskie dotąd istnieje i pomimo, że doświadczyło ono nieraz zmienności losu, oddało nauce i krajowi niepospolite usługi (ob. d-r W. Zahorski, *Zarys dziejów Cesarskiego Towarzystwa lekarskiego w Wilnie*. Warsz. r. 1898).



redaktorowi, że będę zasilał gazetę artykułami z dziedziny medycyny praktycznej. Na początek dałem wyciągi z nieogłoszonych dotąd drukiem prac Portala (kurs anatomii lekarskiej) i Ponada. Mieliliśmy nadzieję, że społeczeństwo i Uniwersytet poprą nowe pismo, ale omyliliśmy się podwójnie. „Gazeta literacka“ prawie nie miała prenumeratorów, co zresztą było zrozumiałe, ponieważ styl nie był dość staranny, raziła pedanterja, a treść była nie dość urozmaicona. Tym brakiom mógł zaradzić Uniwersytet, który posiadał kilku uzdolnionych pisarzy polskich. Mogliby oni, gdyby tylko chcieli, zasilac gazetę artykułami zajmującymi i urozmaiconymi, ale żaden z nich nawet nie pomyślał o tem, by p. Grodka poprzeć. Ale na tem nie koniec. Gdy p. Grodek zwrócił się do Uniwersytetu z prośbą o zasiłek kilkuset rublowy, aby mózdz w dalszym ciągu wydawać gazetę, otrzymał zwykłą odpowiedź: „Nie ma funduszów!“ A jednak to niby ubóstwo nie przeszkodziło rektorowi zgodzić metra tańców za 300 rubli, z mieszkaniem dla niego i rodziny, pomimo, iż przyrzekł mi rektor, że nie będzie zwiększał liczby urzędników w uniwersytecie. Co gorsze, że sam nie znając się na tańcach (co jest b. naturalne u ex-zakonnika), wyszukał metra wcale nieodpowiedniego. Wybór jego padł na niejakiego Dziwoniego, w gruncie rzeczy człowieka zacnego, ale który nigdy poza granice Litwy nie wyjeżdżał i uczył się tańców chyba tylko w a k a d e m j i s m o r g o Ń s k i e j. Tak żartem nazywano zakład tresury niedźwiedzi, który jak przypuszczają, niegdyś istniał w Smorgoniach.

Liczbę profesorów powiększył swoją osobą również p. Bojanus, który żalując, iż przedtem nie przyjął proponowanej mu katedry sztuki weterynaryjnej, teraz sam zgłosił swoją kandydaturę. Rektor przyjął propozycję i pośpieszył z wysłaniem mu już dawniej przygotowanego dyplomu. Czekala mnie tedy niewesoła perspektywa mieszkania w niedużem mieście z człowiekiem, z którym, aby uniknąć spotkania, objechałem pół Euro-

py. Będę zmuszony spotykać się z kobietą, której obraz z takim trudem zdołałem zatrzeć w swoim sercu. Ale najfatalniejsze było to, że będąc przekonany, iż Bojanusowie do Wilna nigdy nie przyjadą, byłem niedyskretny i opowiedziałem paru osobom o moim z nimi stosunku.

Podczas świąt Bożego Narodzenia znowu zostałem wezwany do Radziwiłmontów. Stary książę, zniecierpliwiony owrzodzeniami na goleniach, pomimo mego ostrzeżenia, kazał je wygoić. Zaledwie rany się zasklepiły, jak nastąpiło nietrzymanie moczu, związane z okropnymi bólami. Podczas nocy chory musiał niekiedy wstawać dwieście razy. Zaleciłem choremu kwas azotowy w napoju, oraz apertury na nogach. Skutek nastąpił niebawem, książę wyzdrowiał, a ja dostałem 200 dukatów. Tyle mi odtąd płacono za każdą wizytę w Radziwiłmontach.

## ROZDZIAŁ IX.

Rok 1806. Wilno. Koncert. Towarzystwo bezpłatnej pomocy lekarskiej. Ks. Tarenghi. Zatarg z rektorem. Usłupienie H. Stroynowskiego. Jan Śniadecki.

Powróciłem z Radziwiłmontów do Wilna już po Nowym Roku. Mróz był siarczysty i sanna wyśmienita, to też 40 mil drogi przebyłem w 17 godzin. Zaledwie wysiadłem z sanek, jak mi wręczono zaproszenie, abym nie zwlekając jechał nad granicę Kurlandji do p. Karpia — krezusa litewskiego. Powrócił on właśnie z Berlina od Hufelanda, który mu poradził, aby nie zwracał się do nikogo, tylko do mnie. Ponieważ ferie już się kończyły, przeto nie mógłbym przyjąć zaproszenia p. Karpia, gdyby nie przyszedł mi z pomocą p. Śniadecki, który uprzedmie przyrzekł, iż w czasie mej nieobecności zastąpi mnie w klinice.



U p. Karpia, człowieka jeszcze młodego, określiłem obecność w pęcherzu kamienia, który od dzieciństwa sprawiał mu nieustające cierpienia. Obecnie bóle dochodziły do najwyższego stopnia. Nieszczęśliwy młodzieniec w rozpacz tarzał się po podłodze, gryzł meble i wpadał w szal. Wymiotował on wszystko, co tylko spożył. Byłem przekonany, że do starej choroby przyłączyło się zapalenie, jakoż puszczenie krwi, pijawki i letnia kąpiel sprawiły znaczną ulgę, zaś wymioty udawało się wstrzymać za pomocą wody gazowanej. Potwierdziłem to, co już powiedział Hufeland, mianowicie, że tylko operacja może wyleczyć chorobę i p. Karp obiecał mi, iż poważnie o tem pomyśli. Za tę wizytę dostałem 150 dukatów holend.

Jadąc po ziemi Żmudzkiej, zauważyłem, że jest ona więcej od Litwy zaludnioną i bardziej cywilizowaną.

Moi uczniowie nie bardzo byli zadowoleni z mego zastępcy. Liczba ich nieco się zwiększyła i przybyło nam kilkunastu cudzoziemców. D-r Moritz z Berlina przywiózł mi list od pani Hertz, za co tem bardziej musiałem być uprzejmy dla tego młodego człowieka, bardzo egzaltowanego i sentymentalnego.

Znakomity profesor Elsner skierował do mnie d-*ra* Josephi. Przyjechał również do Wilna Austrjak p. Zerkert, pragnąc tu skończyć kurs medycyny. Był to skończony hypochondryk. Pewnego razu powiedział mi: „Grozi mi gorączka żółciowa“. — „A to dlaczego!“ — „Dziś mój kał ma smak bardziej, niż zwykle gorzki!“ — „Fi, co za obrzydliwość!“

W liczbie moich słuchaczy miałem także Anglika, którego mi rekomendował d-r Crichton z Petersburga. Po paru miesiącach zwrócił się do mnie z prośbą, bym mu pożyczył 50 dukatów. Nie mogłem odmówić przez pamięć na uprzejmość, jakiej doznałem w Anglii. Dług ten nigdy nie został mi zwrócony.

Moje powodzenie w klinice nie było jednak pozbawione zmartwień. — „Ileż to ofiar pociągnęła za sobą

moja skłonność do stosowania ryzykownych sposobów leczenia. Oby przynajmniej mój przykład był nauką dla innych“. Pisząc te słowa w liście do ojca, dołączyłem kilka historii chorób.

Praktykę w mieście miałem wcale dobrą; byłaby ona jeszcze lepszą, gdybym był mniej delikatnym względem innych lekarzy. Bardzo często po konsylium chorzy prosili mnie, bym prowadził ich leczenie. Zwykle w takich razach stanowczo odmawiałem, chociaż moi koledzy (z wyjątkiem Lobenweina) postępowali inaczej. Zdawało się na razie, że postępując tak, działam na własną szkodę, z czasem jednak okazało się, iż tak nie jest, gdy bowiem lekarze spostrzegli, że nie odbieram im chorych, wzywali mnie na konsultacje chętniej, niż kogo innego, szczególnie d-r Liboszyc — ten aferzysta najczystszej wody. Chciał on, abym wspólnie z nim leczył hr. Brzostowskiego, gubernjalnego marszałka szlachty, oddawna nieuleczalnie chorego na uporczywe, niczem nie dające się powstrzymać wymioty, które w końcu były przyczyną śmierci. Widząc grożące niebezpieczeństwo, namówiłem rodzinę, aby nie zwlekając posłała po księdza dla udzielenia choremu ostatnich sakramentów. W tym celu przybył sam biskup wileński. Gdy umierający ani słuchać nie chciał o spowiedzi, biskup rzekł mu: — „Spełnij obowiązek, jaki nakłada religia, a doznasz uspokojenia“. — „Ależ pastarzku, ja jestem najzupełniej spokojny“. Biskup więcej nie nastawał i marszałek umarł bez spowiedzi i komunji. Władze i publiczność żadnej na to nie zwróciły uwagi.

Gdy w liście do ojca wyraziłem swoje zdziwienie z powodu takiego inderentyzmu religijnego, ten mi odpowiedział: „Niema na świecie kraju, w którymby tolerancja religijna była tak powszechna, jak w Rosji. Gdy w Kijowie umierał pastor protestancki, dowiedział się o tem arcybiskup greckiego obrządku (archirej (W. Z.). Ponieważ w Kijowie nie było drugiego księdza protestanckiego, przeto archirej pojechał do chorego z propozycją, iż chętnie udzieli mu sakramentów według swego obrządku.



Rosja przedstawia tysiące przykładów podobnej harmonii, panującej pomiędzy rozmaitemi wyznaniem... Pomimo to wątpię, aby w wypadku, o którym mowa, w Petersburgu byli tak pobłażliwi, jak w Wilnie“.

Ostatecznie zły chrześcijanin, zły mąż i ojciec, hr. Brzostowski pozostawił rodzinę w bardzo smutnym położeniu.

W liczbie moich pacjentów miałem kupca Simsona, który, nie dzieląc przesądów Żydów polskich, pozwalał swej pięknej żonie ubierać się podług mody francuskiej (żądał tylko, aby przykrywała włosy), trzymać powóz, bywać w towarzystwie i nawet trochę flirtować. Taka pobłażliwość ściągnęła nań przekleństwo współwyznawców. Kahał odmówił mu pogrzebu, zaś tłum żydowski chciał znieważyć trupa. Doprowadziło to panią Simsonową do rozpacz, ale na szczęście wszystko skończyło się tylko na strachu. Wdzięczność jej dla mnie granic nie miała. Gdy pewnego dnia na dowód serdecznej przyjaźni odkryła w mojej obecności głowę, doświadczyłem rozkoszy, której nawet nie można porównać z tą, jaką odczuwamy, gdy doznajemy największych względów, jakie tylko od kobiety otrzymać można. — „O, pomyślałem, kobiety wschodu, dobrze zrozumiały własny interes i dlatego okrywają się od głowy do stóp!“

Pewna młoda kobieta, piękna jak anioł, zaziębiła się z powodu zbyt lekkiego ubrania i zapadła na gorączkę reumatyczną, do której niebawem przyłączyły się ciężkie objawy nerwowe. Przyczyniły się tu również zgryzoty wskutek niedostatku. Obawiałem się ją stracić, tem bardziej, że Polacy skądinąd wyrozumiali dla lekarzy w razie niepowodzenia w leczeniu, nie łatwo wybaczą mu śmierć pięknej kobiety. To też wyzdrowienie pani Bezobrazowej stało się głośnem. Poradziłem jej, by pojechała do Wiednia, gdzie zachwyci wszystkich swoją pięknnością. Tam poznała ona i poślubiła sędziego Tatiszczewa, posła rosyjskiego w Hiszpanji, a potem w Austrii.

Kilku miłosiernych lekarzy wileńskich nigdy nie od-

mawiali bezpłatnej porady niezamożnym chorym, ale nie na wiele się to zdało, gdy biedacy nie mieli zaco kupić lekarstw. Przychodzić im z pomocą było obowiązkiem szpitala Sióstr Miłosiernych, którego to szpitala braki wyżej wykazałem. W każdym razie nie mógł on obsługiwać ubogich, którzy nie byli chorzy obłożnie, i takich, którzy byli w stanie jako tako pracować. Tej to kategorii biedakom postanowiłem dopomóc, udzielając im pomocy lekarskiej w ich mieszkaniach.

W tym celu d. 27 lutego napisałem do biskupa wileńskiego, prosząc, by zechciał założyć Towarzystwo z 10—12 osób wybitniejszych, któreby zechciały dostarczyć funduszków na urzeczywistnienie mego projektu.

Biskup przyjął moją propozycję z zapalem, ale nic nie zrobił. Wtedy użyłem innego sposobu i ogłosiłem następującą odezwę:

„W przyszły piątek d. 23 marca 1806 r. pani Frankowa da koncert w teatrze wileńskim. Dochód z koncertu przeznaczona się na dostarczanie lekarstw chorym, którzy nie są ich w stanie kupować. Organizatorowie upraszają publiczność o poparcie.

Każdy uważający się za uprawnionego do korzystania z tego rodzaju pomocy, ma uzyskać od swego proboszcza, lub pastora poświadczenie o niezamożności. Posiadający takie poświadczenia chorzy dwa razy w tygodniu, mianowicie w niedzielę i w środę będą badani i leczeni bezpłatnie przez profesora medycyny praktycznej w obecności jego uczniów w domu uniwersyteckim, przedtem Macieja Radziwiłła. Za receptą profesora chory otrzyma w aptece uniwersyteckiej lekarstwo również bezpłatnie, ponieważ apteka będzie opłacana z dochodu, jaki da koncert, z którego sprawozdanie zostanie ogłoszone drukiem.

Rozpoczniemy czynność w niedzielę d. 15 kwietnia 1806 r. Od miłosierdzia publiczności będzie zależało, czy pomoc da się rozszerzyć i na obłożnie chorych w ich mieszkaniach“.



Koncert dał dochodu 1200 rubli srebr. Pani Frankowej asystował w koncercie przejeżdżający właśnie przez Wilno znakomity śpiewak niemiecki Ellmenreich, który na jej cześć ułożył piękne wiersze polskie <sup>1)</sup>.

Chociaż biskup Kossakowski był zachwycony tem, co uczyniłem, uważał jednak, że źle zrobiłem, kierując chorych po świadectwa o ubóstwie do proboszczów. „Znajdą się między nimi tacy, rzekł mi biskup, co urządzą handel takimi świadectwami“. — „Ależ, Eksceleńco, to niemożliwe!“ — „Ja chyba lepiej od pana znam moich księży“. — Jakoż biskup miał rację. Znaleźli się tacy proboszczowie, którzy za wydane poświadczenia kazali sobie przynosić funt. kawy. Ponieważ cena lekarstw w aptekach była niepomiernie wysoka, przeto drobny wydatek na kawę dla księży wcale nie odstraszał ubogich, z wyjątkiem ostatecznych nędzarzy. Niestety, znalazło się sporo osób, które mogły płacić za poradę lekarską, a pomimo to zaopatrzyły się w podobne świadectwa i przez to wyrządzały krzywdę kilku mniej wziętym lekarzom i wszystkim aptekarzom. Byłem w niemałym kłopotcie, ponieważ zawsze trzymałem się zasady nie świadczenia dobrodziejstw z cudzej kieszeni.

Ponieważ w ciągu 10 miesięcy miałem 369 podobnych chorych i na lekarstwa dla nich wydałem 697 rubli, przeto praca moja byłaby bardzo poważna <sup>2)</sup>, gdyby nie ułatwiał jej zaprowadzony przeze mnie porządek. Badałem chorych, jeden ze słuchaczy protokołował wyniki badania, drugi prowadził dziennik, trzeci pod moje dyktando pisał recepty, zaś czwarty tłómaczył choremu, jak

<sup>1)</sup> Wiersze na pochwałę WImei Pani Frankowej z okoliczności danego koncertu na wsparcie cierpiącej ludzkości w Wilnie, d. 3 marca 1806 roku.

<sup>2)</sup> Nie była to znowu praca tak uciążliwa ponieważ dziennie Frank przeciętnie przyjmował 1,25 chorych. Dziś każdy z lekarzy przyjmuje u siebie w domu po 3—5 bezpłatnych pacjentów, a w ambulatorjach lekarz udziela bezpłatnej pomocy 30—40 chorym dziennie.

ma się on zachowywać i używać lekarstw. Takie ćwiczenia były bardzo dla moich uczniów pożyteczne, tembardziej, że zdolniejszym z nich powierzałem chorych, których oni byli obowiązani odwiedzać w ich mieszkaniach i prowadzić kurację pod moim dozorem. Takim to sposobem doszedłem do stworzenia kliniki ambulatoryjnej, obok z kliniką stała i do połączenia dobroczynności z nauczaniem.

Nie mało spierano się o to, jaka klinika jest pożyteczniejsza, ambulatoryjna, czy też szpitalna. Bez zaprzeczenia szpital jest niezbędny, ponieważ bez straty czasu na bieganie po mieście, uczniowie mogą obserwować przebieg chorób i działanie lekarstw, ale z drugiej strony, jak tylko student wyuczył się obserwować, powinien widzieć chorobę tam, gdzie się ona rozpoczęła i uczyć się zwalczać przeszkody w leczeniu, które się przytrafiają w życiu prywatnem chorego. Zamiast tedy spierania się o wyższość jednej kliniki przed drugą, najlepiej je połączyć. Przecie uczęszczanie do ogrodu botanicznego nie zwalnia od herbaryzowania. Zresztą, klinika ambulatoryjna może służyć jako dostarczycielka dla kliniki szpitalnej, przynajmniej ja zawsze wolałem brać dla mojej kliniki chorych z ich mieszkań, niż ze szpitala Sióstr Miłosiernych. Zadowolenie, jakie mi dawało rozporządzanie tak różnorodnymi sposobami niesienia pomocy i tylu środkami nauczania, z dniem każdym coraz bardziej przywiązywało mnie do Wilna.

Należy dodać, że i moje starania u kuratora nie były bezowocne. Właśnie hr. Zawadowski, minister oświaty, upoważnił go do urządzenia w ogrodzie botanicznym cieplarni i wydania sześciu tysięcy rubli na kupno przyrządów fizycznych. O nabycie tych ostatnich zwróciliśmy się do znakomitego Chales'a w Paryżu i ten wywiązał się z zadania doskonale. P. Stubielewicz, wybrany przez nas na profesora fizyki, przyjechał do Wilna prawie przed samem otrzymaniem tej wybornej kolekcji. Odbyta przez niego podróż naukowa, bardzo wzbogaciła zasób jego



wiadomości, pomimo nawet fenomenalnego jego roz-targnienia. Potrzebując podpisać jakiś list, p. Stubielewicz zapomniał własnego nazwiska i był zmuszony py-tać o nie gospodarza domu, w którym mieszkał. Niestety, wkrótce śmierć zabrała nam tego zacnego człowieka<sup>1)</sup>. Pozostała wdowa, również przez wszystkich szanowana, czyniła wszystko, aby w społeczeństwie nie wygasła cześć dla pamięci jej męża.

Jan Niszkowski, adjunkt profesora chirurgji, powrócił z podróży naukowej. W Paryżu przeszło rok pracował w największych szpitalach i przywiózł zaszczytne świadectwa od pierwszorzędných chirurgów paryskich. Te-raz można było pomyśleć o zastąpieniu starego Briôteta, który miał przejść na emeryturę. Ponieważ dotąd nie posiadaliśmy kliniki chirurgicznej, więc w miarę możności dostarczałem p. Niszkowskiemu sposobność operowania w naszym niewielkim szpitalu i w ten sposób wyrabiania sobie opinji. Niebawem zawiązała się między nami przy-jaźń serdeczna.

W liczbie nowoprzybyłych był profesor literatury łacińskiej T a r e n g h i, Rzymianin, człowiek uczony, ale bardzo niemoralny. Oprócz pewnej skłonności, którą za-ledwie można było wybaczyć heleniście, zdradzał on również skłonność do napojów wysokowych. Pewnego wieczora przyszedł do nas zupełnie pijany. Właśnie mie-liśmy u siebie małe zebranie, na którem znajdowały się bardzo młode osoby. Nie mogłem ukryć przykrości, jakiej doznałem na myśl, że w moim domu będą one miały wi-dowisko wstrętnego nałogu. Capelli starał się mnie prze-konać, zapewniając, że właśnie taki widok będzie poży-teczny dla młodzieży i że Spartanie umyślnie spajali nie-wolników, aby ich widok wzbudzał w dzieciach wstręt

<sup>1)</sup> Prof. Stefan Stubielewicz umarł 17 kwietnia 1814 r. mając 51 lat. Pochowany na cmentarzu Bernardyńskim w ka-takumbach około kaplicy, gdzie mu żona tablicę pomnikową z białego marmuru wmurowała. (W. Z.)

do nadużywania wina. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu na samą myśl o tem, że te małe, śliczne istotki, mogłyby potrzebować podobnej lekcji. Na kilka dni przed-tem również ubawiłem się z powodu Capellego. Podczas wizyty, którą on złożył profesorowi języka i literatury rosyjskiej, p. Czerniawskiemu, w nieobecności męża przyjęła go pani Czerniawska tak, jak się przyjmuje ko-legę męża. Capelli oczarowany tak uprzejmem zachowa-niem się pięknej kobiety, przy pożegnaniu pocałował go-spodynię w rękę, na co ona, według zwyczaju przyjętego w Rosji, odpowiedziała pocałunkiem w czoło. Capelli, nie wiedząc o tym zwyczaju, wyobraził sobie, że pani Czerniawska zakochała się w nim. Na myśl o tem, jego włoska krew wzburzyła się i nie namyślając się długo, porwał panią domu w objęcia i zaczął pokrywać ją po-całunkami. Na krzyk przerażonej kobiety zbiegła się służ-ba i ze wszech stron dało się słyszeć „won“ (precz). Ca-pelli zszedł ze schodów znacznie pośpieszniej, niż na nie wstępował.

Nareszcie przyjechał i p. Bojanus. Był u mnie z wi-zytą, a ja go rewizytowałem, alem żony jego nie widział. Niedługo potem spotkaliśmy się z nią w towarzystwie. Przemówiliśmy do siebie zaledwie słów parę, przyczem ona zbladła, a ja poczerwieniałem. Odtąd przestała by-wać w świecie i nie widziałem jej całe dziesięć lat. Do-wiedziałem się jednak, że postarano się donieść pani Bo-janusowej o mojej niedyskrecji i że zawdzięczałem to niezręczności Capellego. Co do p. Bojanusa, ten przystą-pił do stronnictwa profesorów Niemców i utrzymywał stosunki głównie z urzędnikami rosyjskimi. Nie miałem z nim tedy innych stosunków, jak tylko w sprawach uni-wersyteckich.

P. Stroynowski, wierny swemu systemowi zwiększa-nia liczby profesorów, pragnął powierzyć katedrę mine-ralogji swemu faworytowi, p. Symonowiczowi<sup>1)</sup>, który

<sup>1)</sup> Ob. rozdział I.



już od lat kilku jako adjunkt wykładał tę naukę i nawet posiadał wcale piękny, jak na prywatnego człowieka, gabinet mineralogiczny. Twierdzono, że nie zawsze był on bez zarzutu pod względem sposobów uzupełniania swej kolekcji. Nie był to jednak zarzut zbyt ciężki, zważywszy, że to samo opowiadano o sposobie wzbogacania swej biblioteki przez hr. T. Czackiego. P. Symonowicz, a także rektor mówili ze mną o ich zamiarze starania się o katedrę dla pierwszego i prosili o poparcie. Chcąc otrzymać katedrę, należało, aby kandydat przedstawił pracę konkursową wydziałowi fizycznemu, który następnie był obowiązany zdać z niej sprawę senatowi akademickiemu. Symonowicz, wiedząc, że większość członków wydziału fizycznego była nieprzychylnie dla niego usposobiona, wolał uniknąć oceny przez nich swej pracy i przedstawić ją wprost senatowi. W tym celu wydrukował swoją rozprawę i rozdał wszystkim profesorom. Tak postąpił p. Symonowicz za zgodą rektora, który wyznaczył nadzwyczajne posiedzenie dla dokonania wyboru swego protegowanego. Posiedzenie odbyło się d. 24 marca i pociągnęło za sobą niezmiernie ważne następstwa. Stawili się wszyscy profesorowie, z wyjątkiem Bogusławskiego, który był chory. Ślepi, głusi, paralitycy, wszyscy przybyli na zaproszenie i prośbę rektora i kandydata. Sesję rozpoczęto od odczytania licznych świadectw, które Symonowicz zdołał zdobyć podczas swojej podróży. Wraz potem miano już przystąpić do głosowania, gdy zabrał głos prof. Jundziłł, prosząc, by mu pozwolono wypowiedzieć kilka uwag o drukowanej rozprawie kandydata, który rozesłał ją na sześć dni przed sesją. W przemówieniu swoim prof. Jundziłł usiłował głównie obalić zdanie autora, który za swoim nauczycielem dowodził, że zewnętrzne cechy minerałów są wystarczające dla ich klasyfikacji i że można się obejść bez analizy chemicznej i co zatem idzie, należy odrzucić system Haii'a, który to system p. Symonowicz ostro krytykował. Jundziłł zaznaczył, że najwięksi mineralogowie, jak Bergman, Klap-

roth i inni zawdzięczają swe odkrycie właśnie chemji, której p. Symonowicz nie uznaje, ponieważ jej nie umie.

Podczas tego przemówienia rektor i ks. Poczubut wyrażali swe niezadowolenie, kilkakrotnie przerywali mówcy i wogóle zachowywali się niestosownie. Gdy Jundziłł skończył, przemówił p. Śniadecki z wielkim spokojem i godnością. Przedewszystkiem zrobił zarzut, że pogwałcono regulamin wyborów, przyznał się, że nie miał czasu przeczytać rozprawy, którą otrzymał na dni kilka przed sesją i zakończył propozycją, aby wybory odłożyć do d. 1 maja. P. Grodek poparł tę propozycję, to samo uczynił i p. Szulc. P. Stroynowski ostro odpowiedział na te uwagi i nastawał, aby wyborów nie odkładać. Wtedy ja poprosiłem o głos i rzekłem: — „Excelencjo! powinienem w panu widzieć sędziego kandydata, nie zaś jego adwokata. Panu, jako pierwszemu między nami i wszystkim członkom tego prześwietnego zgromadzenia, pozwalam sobie przedstawić swoje uwagi. Od czasu mego przybycia do Wilna, byłem obecny tylko na jednym konkursie, mianowicie p. Stubielewicz, na katedrę fizyki, które to wybory odbyły się ściśle według regulaminu, to też nie mogę nie przyznać, że wybory dzisiejsze są za pośpieszne i nieprawidłowe, i dlatego przyłączam się do zdania kolegów, którzy mówili przede mną“. Rektor odpowiedział mi z wyszukaną grzecznością, iż tylko on jeden jest odpowiedzialny za zachowanie formalności. Po tych słowach kazał on przystąpić do głosowania. Wówczas wybuchła burza: p. Grodek założył protest przeciwko pogwałceniu przez rektora regulaminu i zażądał, aby jego protest został wpisany do protokołu. Jundziłł, Śniadecki i ja uczyniliśmy to samo, ale rektor uporczywie odmawiał zaprotokulowania naszego protestu, aż gdy spór stawał się coraz gorętszy, wymknęło mu się pod naszym adresem słowo: „warchoły“. Wtedy zwróciłem jego uwagę, że żaden prezydujący na zebraniach, mających charakter narad, niema prawa odmawiać członkom prawa wpisywania do protokołu swego votum separatum i że rektor



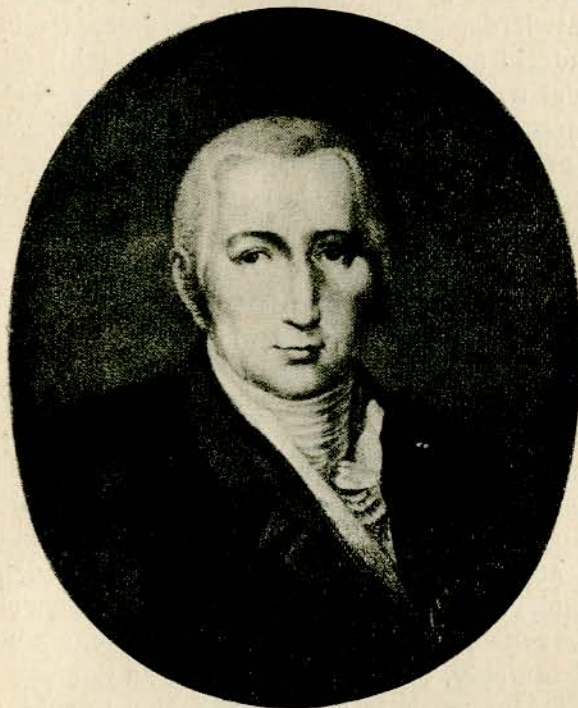
mógłby nam oszczędzić nazwy „warcholy“, poczem dodałem: „Pan jesteś Robespierem“.

— „Do wotów, do wotów!“ krzyknął p. Stroynowski.

Wziąwszy gałkę pomyślałem, że biorąc udział w głosowaniu, tem samem uznałbym prawidłowość wyborów kandydata i byłbym sam ze sobą w sprzeczności. Odłożyłem więc gałkę na stół i oświadczyłem, że głosować nie będę, ponieważ uznaję, że wybory są nieprawne. Za moim przykładem poszli profesorowie: Grodek, Śniadecki, Jundziłł, Szulc, Becu, Stubielewicz, Tarenghi i Capelli. Dziewięć złożonych na stole gałek, bynajmniej nie stropiły rektora, który rozkazał, aby pomimo to przystąpiono do głosowania, co też pozostali profesorowie wykonali. Kandydat otrzymał pięć gałek czarnych i czternaście białych. Rektor, nie biorąc w rachubę tych, którzy nie głosowali, oświadczył, że p. Symonowicz większością głosów został wybrany na profesora. Jeszcze raz napróżno usiłowaliśmy protestować. — Wobec tego, co zaszło, nazajutrz zebrałiśmy się u prof. Grodka i zredagowaliśmy protest motywowany, który przez kurjera posłałiśmy kuratorowi. Protest został uwzględniony i wyborów p. Symonowicza kurator nie zatwierdził. P. Stroynowski tak był pewny zwycięstwa, że wydał obiad dla profesorów, którzy popierali jego protegowanego, na którym to obiedzie nie zapomniano wnieść zdrowie nowego profesora. Po doznanej porażce p. Stroynowski zrozumiał, że nie może nadal pozostać na stanowisku rektora i zażądał dymisji, którą niebawem otrzymał. Było to wielką stratą dla Uniwersytetu, ponieważ, pomimo uprzedzeń i lekkomyślności, p. Stroynowski kochał Uniwersytet i bardzo wiele zrobił dla jego podniesienia, zaś jego godność biskupia również dodawała blasku ciążu uczonemu, do którego należał. Wyraziłem mu swoje ubolewanie z powodu jego ustąpienia, tem bardziej, iż pośrednio przyczyniłem się do tegoż. — „Wierzę w szczerść uczuć pańskich, powiedział mi p. Stroynowski, i wcale nie mam do pana żalu. Intencje pańskie zawsze były

uczciwe, ale dałeś się pan obalamucić moim wrogom, którzy są również pańskimi, jak i wszystkich cudzoziemców, zajmujących posady w Uniwersytecie“.

Ks. Stroynowski i nadal mieszkał w Wilnie, ponieważ był prekonizowany na biskupa wileńskiego. Utrzy-



August Becu

Profesor Fizjologii (ojczym Juljusza Słowackiego).  
(Ze zbiorów Wileńsk. Tow. Lekarskiego).

mywałem z nim bliższe stosunki, a on ze swej strony zawsze okazywał mi wiele przyjaźni.

Ks. Poczobutt również postanowił opuścić Uniwersytet, który po przekształceniu go z uczelni duchownej na



świecką zupełnie zmienił charakter. Poczobutt zamieszkał u Jezuitów w Połocku.

Na posadę astronoma - obserwatora, która zawakowała po ustąpieniu Poczobutta, wybraliśmy p. Jana Śniadeckiego, profesora-emeryta uniwersytetu krakowskiego, starszego brata profesora chemji. Nominacja jego wymagała zatwierdzenia przez samego cesarza, tembardziej, że Śniadecki postawił nadzwyczajne warunki; mianowicie, żądał trzech tys. rubli pensji i 8 tysięcy emerytury, jako odszkodowania za pobieraną w Krakowie, a którą stracił przenosząc się do Rosji. Poznałem tego uczonego jeszcze w Wiedniu, gdzie starał się o status quo dla Uniwersytetu krakowskiego, który dostał się pod panowanie Austrii. Uniwersytet ten był zreformowany na wzór innych, przez co wiele zyskał. Z tego widać, w jakim stanie upadku znajdował się za poprzedniego panowania.

Jan Śniadecki był wzrostu miernego, prawie kwadratowy, o białych zupełnie włosach, chociaż wcale nie był stary. Gdy wychodził z domu, zawsze szedł za nim służący, a z jego kieszeni zwykle wyglądał koniec chustki do nosa. Jakiś niepokój wewnętrzny nie pozwalał mu ani chwili pozostawać na miejscu. Mówił Śniadecki dobrze i lubił, aby go słuchano. Ugrzeczniony względem możnych (których znajomości szukał i o których genealogji lubił rozprawiać), był hardy z równymi sobie, a z niższymi wprost brutalny. Pomimo to uchodził za dobrego patriotę. Nie można ntu było odmówić rozumu i nauki, ale nad wszystkim górowała pycha. Wychowawszy własnym kosztem młodszego brata, Śniadecki nie przestawał despotycznie nim rządzić<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Cała ta charakterystyka, jako podyktowana przez osobistą niechęć Franka do Śniadeckiego, jest wysoce niesprawiedliwa. Według Balińskiego (Pamiętnki o Janie Śniadeckim. Wilno. 1865. 2 tomy) i innych biografów Śniadeckiego, był on człowiekiem, godnym najwyższego szacunku, szlachetnym, prawym, a jako idealny rektor i znakomity obywatel kraju zasługuje na wdzięczność najdalszych potomków. Nie-

Mianując p. Jana Śniadeckiego na posadę astronoma-obszawatora, kurator miał ukryty zamiar wpłynąć na profesorów, by go wybrali na rektora, którego obowiązki pełnił tymczasem zastępczo kanonik Mickiewicz.

Ponieważ nadeszły święta Wielkanocne, więc mogłem pojechać do Radziwiłmontów, dokąd zostałem wezwany do młodszego syna księcia. U tego młodzieńca rozwinęły się suchoty, jako następstwo ropienia gruczołów kreskowych, to też choroba rychło się zakończyła śmiercią. Za to miałem pociechę, widząc, że mój stary pacjent zupełnie wyzdrowiał. Księżniczka Anna i jej brat byli dla mnie niezwykle dobrzy i gorąco mi polecali pannę Gross, która jechała właśnie do Wilna, aby tam objąć posadę przełożonej instytutu pedagogicznego w celu kształcenia nauczycielek. Plan tego zakładu zaproponował hr. Czacki, na wzór założonego przez siebie w Krzemieńcu, ale odrzucili go księża, którzy wówczas rządzili w naszym Uniwersytecie. Panna Gross miała zamiar ubiegać się o katedrę historii, ale odradziłem jej to, pomnąc, co było, gdyśmy chcieli wybrać na członka honorowego hrabinę Mostowską. Nie pozostawało tedy interesującej córce Genewy nic innego, jak nadal trudnić się nauczycielstwem. W oczekiwaniu dobrej posady panna Gross uprzyjemniała nam wieczory swą wesołością. Dla pogawędek nawet muzykę zaniedbaliśmy.

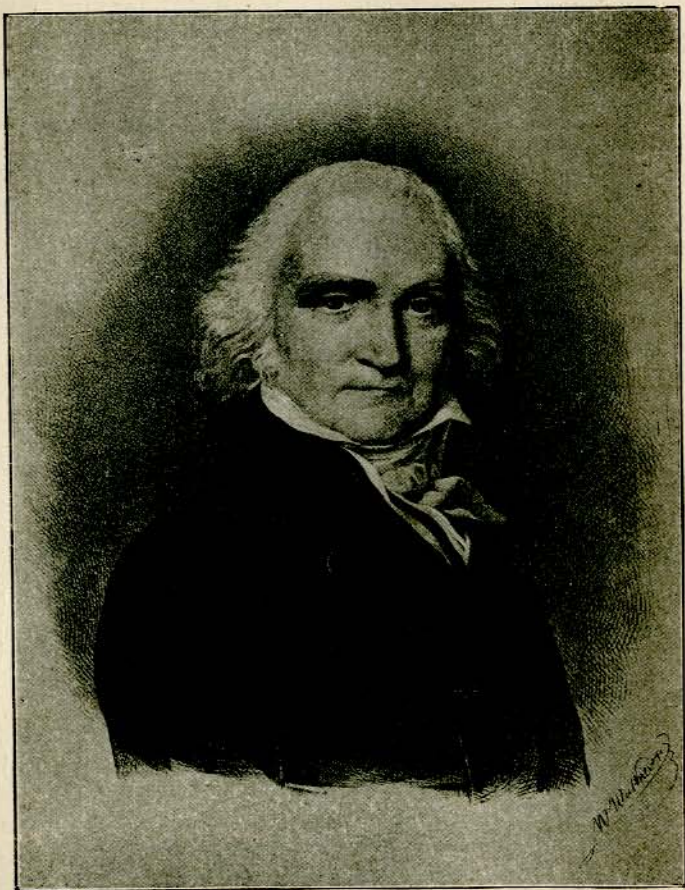
Ponieważ generał Kossakowski twierdził, że nikt nie jest w stanie dorównać stylowi pani de Genlis, z którą

---

prawdą jest, że Śniadecki zasługiwał się możliwym. Wiadomo, jak ostro stawił się on broniąc Uniwersytetu przeciw Bignonowi, Hogendorpowi, Ryskiemu-Korsakowowi i Czaplcowi. Nawet w najcięższych chwilach trzymał się z godnością wobec Napoleona i cesarza Aleksandra, którzy wysoce go cenili nie tyle za rozum i uczoność, co za prawość i nieskazitelność charakteru. On to właśnie doprowadził Uniwersytet Wileński do szczytu doskonałości. Ks. Adam Czartoryski i Tad. Czacki niezmiernie go poważali. Nie można Śniadeckiemu robić zarzutu z tego, że był patriotą i gorąco kochał ojczyznę. (W. Z.).



korespondował, przeto panna Gross, której styl w niczem nie ustępował stylowi znakomitej Francuzki, postanowiła zmusić generała do zmiany przekonania. Napisała do nie-



**Jan Śniadecki**

profesor i rektor Uniwersytetu wileńskiego.

go list anonimowy, w którym oświadczała się z miłością i wskazywała kamień, pod którym należało położyć odpowiedź, również jak następne listy. Generał Kossakow-

ski oświadczył, iż list ten był arcydziełem stylu romantycznego, i czynił, co tylko mógł dla wykrycia autorki, ale to mu się nie udało.

Gdy prof. Capelli poszukiwał dla siebie gospodyni, wtedy panna Gross i pani Frankowa namówiły pewną przystojną modystkę, by ta dla żartu ofiarowała Capellemu swoje usługi. Towarzyszyła jej panna Gross, przebrana za starą kobietę. Pocziwy profesor do tego stopnia był zachwycony spodziewanym nabytkiem, że w zapale nawet napomknął o możliwości małżeństwa. Opowiadając nam, jak mu się poszczęściło, Capelli dodał, że jednak mocno mu się nie podobał upór starej, która na chwilę nie odstępowała towarzyski i że nie wiele brakowało, aby ją za okno wyrzucił.

Capelli był niesłychanie ciekawy. Panna Gross postanowiła dać mu dobrą nauczkę i uprosiła panią Frankową, by jej w tem dopomogła. Ułożyły one plan następujący. Gdy przyjdzie do nas Capelli, panie miały go pozostawić samego w salonie i w nawpół wysuniętej szufladzie biurka położyć list odpieczętowany i zaadresowany do pani Frankowej, w którym to liście mniemany autor, książę Golicyn, niby przeproszał, że nie może jej często odwiedzać, ponieważ ma nieprzewyciężoną antypatję do tego wstrętnego profesora Włocha, który bywa w jej domu. Capelli ma się rozumieć list przeczytał i oczekując wejścia pań odłożył go na miejsce, ale przez cały wieczór był w okropnym humorze, który stawał się tem gorszy, im bardziej dopytywano się go o przyczynę. Dopiero po wyjściu Capellego dowiedziałem się o wszystkim i postanowiłem wyleczyć panie od tej manji mistyfikowania. Nazajutrz rano poszedłem do Capellego i opowiedziawszy, jak z nim postąpiono, prosiłem go, aby mi dał bruljon listu impertynenckiego i obelżywego, który niby napisał do księcia Golicyna. Potem udałem się do tego ostatniego i namówiłem go, aby mi dał bilet z wyzwaniem Capellego na pojedynek, który o godzinie oznaczonej miał się odbyć w Zakrecie. Z temi listami w rękę wpa-



dłem do moich pań i zawołałem: — „Oto są następstwa waszych mistyfikacji. Biedny Capelli, drząc cały oddał mi te listy i prosił mojej pomocy, twierdząc, że pojedynek nie da się pogodzić z jego stanowiskiem profesora prawa. Przekonałem go, iż musi się pojedykować, aby utrzymać honor Etrury — jego ojczyzny i Uniwersytetu. Da się tedy biedak zabić!”

Słyszając to, panna Gross wpadła w rozpacz i przyrzekła, że już nigdy nie pozwoli sobie na podobne żarty, ale pani Frankowa zanosila się od śmiechu na samą myśl o tem, jak to pokojowo usposobiony Capelli będzie się pojedykował.

Panna Gross podczas swego pobytu w Wilnie opisała jego okolice. Rosjanie, którzy umieją cenić piękność natury i bardzo lubią przechadzki, nie znajdowali słów na pochwałę tych opisów, przetłómaczyli je na język rosyjski i wydrukowali.

Na posiedzeniu Uniwersytetu d. 15 maja rektor wreczył mi wspaniały pierścień brylantowy, przysłany dla mnie przez cesarza za dwa tomy moich „Podróży po Francji i Anglii”. Nieco przedtem za tę samą pracę otrzymałem podobny dar od cesarzowej-matki, która zaszczycała mnie również poleceniem opracowania projektu instytutu głuchoniemych, który chciała założyć w Petersburgu. Cesarzowa prosiła mnie także o wyszukanie dla instytutu dyrektora. Wypełniając to polecenie, przyszedłem do przekonania, że tego rodzaju zakłady powinny należeć do zarządu oświaty publicznej, nie zaś dobroczynności. „Nie ma to być żaden szpital, pisałem, tylko szkoła dla głucho-niemych. Będzie ona wymagała mniejszych wydatków i będzie służyć zarówno bogatym, jak ubogim. Jeżeli ci ostatni mają prawo korzystać z dobroczynności publicznej, to niech umieszczą ich w zwykłych tego rodzaju zakładach”.

Ponieważ biskup wileński własnym kosztem wysłał misjonarza Sigismonda dla zaznajomienia się z nauczaniem głuchoniemych, przeto prosiłem go, by zechciał tego

misjonarza cesarzowej odstąpić, i zapewniłem, że Jej Ces. Mość zwróci mu wszystkie koszta. Biskup chętnie przystał na moją prośbę, ale ani słuchać nie chciał o zwróceniu mu kosztów. Cesarzowa z wdzięcznością przyjęła tę ofiarę i własnoręcznie napisała do biskupa list z podziękowaniem. Ojciec Sigismond był tem bardziej dla niej pożądany, że dobrze władał językiem rosyjskim, co było koniecznem w zakładzie petersburskim. Ten szanowny kapłan spędził w stolicy dziesięć lat, wykształcił nie tylko licznych uczniów, ale i nauczycieli. Wrócił do Wilna ozdobiony krzyżem św. Włodzimierza i pełen uwielbienia dla najbardziej dobroczynnej z księżniczek.

Według ustawy, kuratorowie byli obowiązani przynajmniej raz na 3 lata zwiedzać uniwersytety ich opiece powierzone. Ks. Czartoryski nie mając możności spełnić tego obowiązku, z powodu licznych zajęć ministerjalnych, wydelegował do Wilna swego przyjaciela hr. Ludwika Platera. Był to młody człowiek bardzo zdolny i wykształcony, ale zupełnie nie znający się na administracji uniwersytetu. P. Plater rozpoczął wizytację od wykazania szczególnych względów p. Jundziłłowi, swemu dawnemu nauczycielowi i p. Jędrzejowi Śniadeckiemu, lekarzowi swej rodziny. Tylko tych dwóch zaszczycił on wizytą. Zamiast przychodzić na wykłady znienacka, zwykł on zawiadamiać profesorów, że nazajutrz będzie obecny na ich lekcjach. P. Plater był bardzo zadowolony z mego wykładu klinicznego i z egzaminu studentów. Pomimo zatargu, jaki z nim miałem, a o którym opowiem poniżej, hrabia w swem sprawozdaniu dla ministra oświaty wyrażał się o moich wykładach z największą pochwałą. Nie mniej był on zachwycony dwiema mojami rozprawami: **O policji lekarskiej więzień** — wygłoszonej na sesji uniwersytetu na zakończenie roku szkolnego i **O obowiązkach lekarza**. Tę ostatnią rozprawę wygłosiłem z powodu uzyskania przez dwóch kandydatów stopnia doktora medycyny.



## ROZDZIAŁ X.

Podróż do Petersburga.—Wrażenia.—Audjencje.—Cesarzowa - matka. Cesarzowa - panująca.—Cesarz Aleksander I.—Zakłady dobroczynne i naukowe Petersburga.—Towarzystwo.—Dorpat.—Uniwersytet.

Po wykonaniu przysięgi ojciec mój, jako członek głównej Rady Szkolnej, poraz pierwszy był w końcu marca na sesji Rady, której przewodniczył hr. Zawadowski, minister oświaty. Tu poznał on hr. Bezborodkę, który ofiarował 400 tys. rubli na założenie gimnazjum.

Po śmierci d-ra Griff'a, lejbmedykiem cesarzowych został mianowany mój ojciec, który tak o tem pisał do mnie: „Co za dziwne jest moje przeznaczenie! Los rzuca mnie o sto mil od mojej ojczyzny, abym służył najświetniejszej gałęzi domu Badeńskiego!”

Na razie zdawało się, że nowy lekarz przyniósł szczęście ukoronowanej pacjentce, bo oto cesarz, który ją od lat kilkunastu zaniedbywał, teraz po powrocie z Austerlitz, zbliżył się do żony, a pani Naryszkinowa otrzymała rozkaz udania się w podróż. Nie długo potem cesarzowej wydało się, że ma zostać matką. W obawie, że może się myli, żądała, aby zachowano jaknajgłębszą tajemnicę co do jej stanu, a gdy już nie było najmniejszej wątpliwości, sama zawiadomiła o tem cesarzową-matkę. Ta, dotknięta, że nie powiedziano jej tego przedtem, wymawiała memu ojcu, że nie zawiadomił jej o ciąży synowej. — „Przypuszczałam, rzekła, że zasługuję na większe zaufanie z pańskiej strony”.

— „Najjaśniejsza Pani! obcą mi jest etykieta dworska, przeto postępowałem tak, jak tego wymaga obowiązek lekarza, który niema prawa przed nikim zdradzać tajemnic swoich chorych”.

Odtąd cesarzowa-matka, chociaż zawsze uprzejma, już nie była względem niego taką, jak dotąd, ale za to

znalazł on pociechę w coraz bardziej wzrastającym zaufaniu cesarzowej-panującej.

Chociaż przywiązany do osoby cesarzowej, mój ojciec mógł również zajmować się praktyką prywatną w mieście . . . . .

Powodzenie jego w praktyce było tak wielkie, iż niektórzy magnaci rosyjscy koniecznie chcieli mieć lekarzy z jego szkoły, co mu dało możliwość dostarczenia doskonałych posad kilku swoim uczniom. Cieszył się z tego, jak ojciec, kiedy jego dzieciom dobrze się w życiu powodzi.

Pomimo klimatu petersburskiego, zdrowie dopisywało ojcu wcale dobrze. W końcu czerwca Krystyna i ja otrzymaliśmy od ojca zaproszenie, byśmy spędzili z nim wakacje. Wyjechaliśmy 1-go lipca o północy i dzięki niedoświadczeniu młodego pocztyljona błakaliśmy całą, na szczęście niedługą, noc w lasach pod Wilnem, a gdy się rozedniało ujrzeliśmy przed sobą to miasto. Pomimo tego opóźnienia, w południe byliśmy w Kownie. Pięć czy sześć przejazdów pocztowych jechaliśmy przez dobra księcia Platona Zubowa. Wszystko tu wskazywało nietylko na dobrobyt, ale nawet na bogactwo włościan<sup>1)</sup>. Jeszcze lepiej działo się w Kurlandji i Liwonji. Dziwnego uczucia doznają cudzoziemcy podróżujący w Polsce i Litwie, gdy wciąż posuwając się ku północy, wjeżdżają do kraju, gdzie mówią najczystszą niemczyzną, znajdując się do-

<sup>1)</sup> Frank się myli. H. Mościcki (Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi, str. 335—336) powiada, że „w ekonomji szawelskiej, która w 1795 r. dostała się Platonowi Zubowowi, stosunki były fatalne”... „nie dbał on o swe włości szawelskie, chciał jeno największe ciągnąć z nich zyski. Pańszczyznę z dwóch dni podniesiono do sześciu; chłopci marli formalnie z głodu”... „z najwyższego rozkazu polecał Nowosilcow kijowskiemu i mińskiemu gubernatorowi wojennemu Tormasowowi „uczynić ks. Zubowowi odpowiednie napomnienie, gdyż w przeciwnym razie Jego Ces. Mość nie omieszka postąpić z nim (t. j. Zubowym) z całą surowością”. (W. Z.).



skonałe zajazdy i panuje wzorowa czystość i porządek. Ale wkrótce następuje rozczarowanie, gdy się jedzie dalej ku Petersburgowi, ponieważ trudno o smutniejszy widok, jak ten, który przedstawia droga, idąca wzdłuż brzegu jeziora Pejpus i przechodząca przez Narwę. Dopiero w Strelnie, ostatniej stacji przed Petersburgiem, widok się zmienia. Piękne wille, pobudowane obok siebie pośród wspaniałych ogrodów, przypominająby drogę z Trévise do Mestri, albo z Pulevera do Genui, gdyby elegancja i czystość pierwszych nie nadawała im wyglądu angielskiego i gdyby monotoność roślinności nie niweczyła podobieństwa z Włochami.

Cóż mam powiedzieć o Petersburgu, tem najpiękniejszym i najwspanialszym mieście? Jeżeli zachwycając się cudami natury wnosimy się duszą ku Bogu, to podziwiając arcydzieła i wielkie dzieła ludzi, składamy hołd ich twórcom. Tylko 80 lat dzieliło nas od założyciela Petersburga, Piotra I, słusznie przezwanego Wielkim, twórcy największego na ziemi imperjum, bohatera nieustraszonego, rządcy światłego i mądrego prawodawcy. Nie miał on przesądów, był religijny bez fanatyzmu, imponujący bez pychy, prawdomówny, wdzięczny, stanowczy, przewidyjący, protektor handlu, przemysłu, nauki i sztuki, dobroduszny, dobry, czuły, nawet wówczas, gdy w uniesieniu bywał okrutny; wreszcie najczulszy ojciec, który jednak przez miłość dla ojczyzny nie zawahał się poświęcić syna zbuntowanego<sup>1)</sup>, który zamierzał zburzyć to wszystko, co on z takim wysiłkiem zbudował. W starożytności z pewnością zaliczonoby Piotra do półbogów<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Aleksego, którego z rozkazu Piotra, rząd skazał na śmierć, który umarł d. 7 czerwca 1718 r.

<sup>2)</sup> Frank unosi się. Jego charakterystyka Piotra jest sprzeczną z tem, co o nim mówią rosyjscy historycy, którzy uznając w nim genjusz twórczy i wolę żelazną, stwierdzają, że był mściwy i niezmiernie okrutny. Takim go maluje pisarz rosyjski Mereczkowskij w swojej powieści p. t. „Antychryst“ (W. Z.).

Uściskawszy ojca i siostry, pobiegłem na plac, gdzie na skale granitowej wznosi się konny posąg tego nieśmiertelnego władcy, a pod nim jest wykuty napis: „Petro primo Catharina secunda. MDCCLXXXII“.

Stąd udałem się na drugi brzeg Newy, aby obejrzeć chatkę, z której Piotr kierował budową fortecy i zakładaniem Petersburga. Mój ojciec mieszkał na Wyspie Aptekarskiej, w niewielkim drewnianym domu skarbowym, w sąsiedztwie z ministrem spraw wewnętrznych hr. Wiktozem Koczubajem (tatarskie to nazwisko oznacza — mały książe).

Ponieważ cesarz i cesarzowa spędzali sześć miesięcy letnich w Kamienno-ostrowie, przeto lekarz przyboczny nie mógł w tym czasie mieszkać w mieście, a to dlatego, że most na Newie bywał w nocy na dwie godziny rozwodzony dla przepuszczenia statków. Gdyby w tych godzinach lekarz był potrzebny jego koronowanej pacjentce, nie mógłby stawić się na wezwanie.

Nie trudno domyślić się, jak bardzo mój ojciec i ja ucieszyliśmy się, zobaczywszy się po długiej rozłące. Ojciec dokonał rzeczy wprost nadzwyczajnych, aby nas godnie przyjąć. Oddał do naszego rozporządzenia powóz, czwórkę koni i służącego, a także upoważnił nas do zapraszania na obiady kogo tylko zechcemy. Często odbywaliśmy wspólne przejażdżki nad Newę, na której bardzo nas zajmowały statki ze śpiewakami. Niemniejszą przyjemnością sprawiało nam zarzucanie sieci. Płaciło się rubla rybakom, którzy zato oddawali wszystkie ryby, jakie się w sieci znalazły, z wyjątkiem sterletów, a to z powodu ich wysokiej ceny. Pewnego dnia dostał się nam łoś, ważący 8 funtów. Aby wynagrodzić rybakowi stratę, kazaliśmy zarzucić sieć jeszcze kilka razy i nic z niej nie wzięliśmy. Opowiadają, że rybacy często oszukują na tej loterii wodnej. Ta skłonność do oszukaństwa przypominała mi odpowiedź, którą dał Piotr Wielki burmistrzowi Amsterdamu, gdy ten prosił Cesarza, aby pozwolił Żydom holenderskim zamieszkać w Rosji. — „Powiedz im,



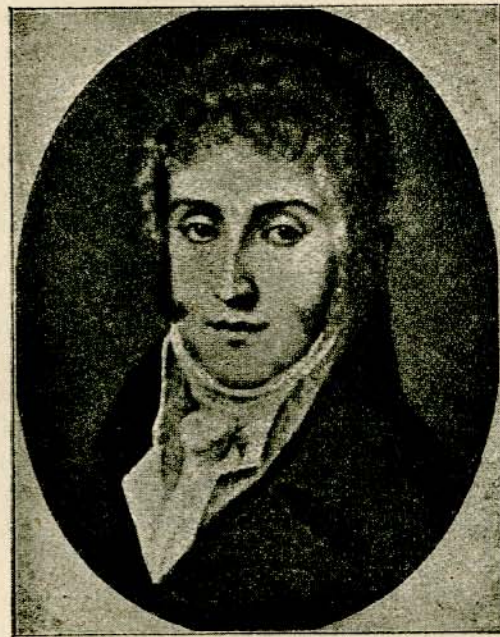
że dziękuję za propozycję, ale gdybym pozwolił im osiedlić się w Rosji, musiałbym litować się nad nimi, bo, chociaż żydzi słyną z tego, że w handlu oszukują świat cały, obawiam się, aby moi Rosjanie nie wystrychnęli ich na dudków“.

Spacerary nasze urozmaicaliśmy, zwiedzając ogrody: letni, taurydzki, Strogonowa na Wyspie Krestowskiej i inne. Bardzo nam się podobał strój narodowy, noszony przez kupców i ich żony (często wybielone i uróżowane) oraz przez mamki<sup>1)</sup>. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego Piotr W. wszelkimi sposobami starał się wprowadzić strój francuski i niemiecki w swoim państwie i wypowiedział wojnę brodzie, tej największej ozdobie męczyzny, która nadto w chłodnym klimacie jest niezmiernie pożyteczna, ponieważ konserwuje zęby.

D. 6 sierpnia odbyła się ciekawa uroczystość religijna, mianowicie święcenie jabłek, których lud rosyjski przed poświęceniem za żadne skarby świata nie zgodziłby się spożywać. Ten obyczaj miał również znaczenie dyetetyczne, ponieważ powstrzymywał pospólstwo od spożywania niedojrzałych owoców, albowiem sama ich niedojrzałość nie byłaby powstrzymała od ich zjadania. Widziałem ludzi z pospólstwa, gryzących surową cebulę, a nawet osoby należące do wyższych warstw narodu, które ze smakiem zjadały surowy groszek i bób. Co prawda nie dziwiło to mnie, bo już przedtem widywałem, jak na Litwie jedzą surowe ogórki z miodem. Gdy nie mieliśmy nic lepszego do roboty, spędzaliśmy wieczory w teatrze francuskim, w którym dawano *Ambrosine*, *Galnave*, *La belle Arbéne*, *Romeo et Juliette*—*Steybelt'a*, *Les deux journées*, *le Mariage secret*, *une Folie* i t. d. Co prawda było to z naszej strony niewybaczalnym zamy-

<sup>1)</sup> W Rosji mamki dotąd ubierają się w barwne sara-fany, kokoszniki, wstęgi, paciorki. Mamka, karmiąca chłopca, ma zwykle strój koloru niebieskiego, zaś dziewczynkę—czernego. (W. Z.).

kać się w teatrze w takie piękne i długie wieczory. D. 12 lipca o godzinie 10 wieczorem z łatwością mogłem czytać list, pisany drobnem pismem. Zwykle jadaliliśmy kolację o północy i zdarzało się, że wschód słońca zastawał nas jeszcze przy stole<sup>1)</sup>. Przywdziawszy mundur pro-



**Adam książę Czartoryski**

kurator Uniwersytetu wileńskiego.  
(Ze zbiorów d-ra Wl. Zahorskiego).

fesorski Uniwersytetu Wileńskiego, pojechałem z wizytą do ks. Czartoryskiego. Zastałem go konferującym z p. d'Oubril, który właśnie wrócił z Paryża, gdzie miał powierzoną sobie misję. Czekaając, zanim zostanie przez

<sup>1)</sup> W lipcu bywają w Petersburgu t. zw. białe noce i słońce wschodzi w godzinę po zachodzie. (W. Z.).



księcia przyjęty, poznałem się z jego osobistymi sekretarzami p.p. Anastasewiczem (osobistością nie znaczącą) i Kluczewskim (uosobieniem przebiegłości). Opowiadano, że ci panowie rządili księciem w sprawach uniwersytetu. Byli oni bardzo uprzejmi i poznałem mnie z księdzem Piattoli'im<sup>1)</sup>, starym Włochem, który mieszkał w Warszawie i brał udział w układaniu ustawy 3 maja 1791 r. Mieszkał on u ks. Czartoryskiego, na którego w sprawach dyplomatycznych miał wpływ nie mały. Czy cesarz Rosji mógł oddać ministerjum spraw zagranicznych w lepsze ręce? — Książę Czartoryski przyjął mnie uprzejmie, ale nie pozbywając się sztywności. Był to piękny mężczyzna o wschodnich rysach twarzy. Po udzieleniu odpowiedzi na kilka zapytań, dotyczących naszego Uniwersytetu, przedstawiłem księciu najbardziej palące tegoż potrzeby. Szczególnie zwracałem uwagę na konieczność dania uniwersytetowi szczegółowego regulaminu, ponieważ statut zawierał tylko ogólne wskazówki. Projekt mój został przyjęty i dla opracowania regulaminu książę wyznaczył komitet, złożony z profesorów: Małewskiego, Śniadeckiego, Grodka i mnie. Tyle tedy otrzymałem, że mogłem nie żałować podróży do Petersburga. Potem jeszcze razy kilka byłem u kuratora nie tyle dla tego, by mu swoje projekty przedstawić, ile by go zawiadamiać o moich dla Uniwersytetu zdobyczach.

<sup>1)</sup> Piattoli Sebastjan ksiądz ur. 1750 we Florencji. Jako nauczyciel syna księżnej Lubomirskiej przybył z nią do Warszawy. Blizki przyjaciel Kollataja i Ignacego Potockiego brał czynny udział w układzie konstytucji 3 maja 1791. Był doradcą króla Stanisława Augusta i miał na niego wielki wpływ. Dla uczoności i cnotliwości P. cieszył się ogólnym szacunkiem. Po drugim podziale Polski wyjechał ze Stan. Potockim, ale w Austrii był wraz z nim uwięziony do r. 1800. W r. 1805 wstąpił w Petersb. do służby rosyjskiej i został sekretarzem ks. Ad. Czartoryskiego. W r. 1806 ożenił się z Fillingotówną, umarł w Altenburgu 1809 r. (ob. M. Baliński. Pamiętniki o Janie Śniadeckim, t. II, str. 291, oraz Kalinki „Sejm czteroletni“).

(W. Z.).

Miałem zaszczyt być zaproszonym przez księcia na śniadanie, na którym znajdowała się znana z uprzejmości i dobroci księżna Dorota Kurlandzka. Księżna przyjechała do Petersburga, by żądać wypłacenia należnych jej znacznych sum za odstąpienie Rosji swego księstwa; ale niestety, wybrała chwilę nieodpowiednią. Ponieważ księżna życzyła sobie poznać panią Frankową, musiałem ją księżnie przedstawić. Byliśmy u niej na obiedzie razem z księdzem Piattolim, który zdawał się być z nią w bliskich stosunkach. U księżnej zachowywano etykietę, jak na dworze panującej. Służba jej pierwszej podawała dania, pomimo, że na obiedzie były również inne damy. Ale po skończonym obiedzie wszelka etykieta została odłożona na stronę, to też spędziliśmy wieczór bardzo przyjemnie, urozmaicając go muzyką. Sama księżna na klawikordzie akompanjowała nam do śpiewu.

Ojciec nie omieszczał przedstawić mnie księciu Koczubeyowi. Wiele już słyszałem o niezwykłej jego uprzejmości, ale przyjęcie, jakiego doznałem, przeszło moje oczekiwanie. Hrabia zaczął od przeproszenia, iż nie odpisał mi na list, który do niego wysłałem razem z ustawą założonego przeze mnie Towarzystwa lekarskiego w Wilnie. Tłómaczył się tem, że w kancelarji nie ma nikogo, znającego język francuski i dodał, że miał zamiar sam do mnie napisać, jak tylko otrzyma od cesarza zatwierdzenie ustawy. „Nieźmiernie się cieszę, że mogę osobiście zakomunikować Panu tę przyjemną wiadomość i jednocześnie poznać pana. Jesteśmy blizkimi sąsiadami i jeżeli pan i jego żona nie będziecie mieli nic lepszego do roboty, proszę o nas nie zapominać i spędzać wieczory w naszym kółku rodzinnem. Przypuszczam, że chciałbyś pan zobaczyć Cesarza. Postaram się wyjednać u niego audjencję dla pana, a także u cesarzowych, a tymczasem radzę panu poznać nasze szpitale, szczególnie szpital wojskowy, chociażby dlatego, abyś pan mógł odpowiedzieć cesarzowi, jeżeli nie pytać będzie“.

W kilka dni potem hr. Koczubey prosił mego ojca,



Krystynę i mnie, abyśmy spędzili dzień z nim i jego rodziną w Carskiem Siole, w pałacu, w którym część lata przemieszkiwał. Minister, po krótkiej nieobecności, wróciwszy do salonu, powiedział nam, iż tylko co udzielił audjencji królowej. Istotnie była u niego księżna Gruzji, której przysługiwał tytuł królowej, a która przyjeżdżała prosić ministra, by o coś wstawił się za nią do cesarza.

Pewnego razu hr. Koczubey uskarżał się przede mną, że petersburska akademja medyko-chirurgiczna i uniwersytet moskiewski dostarczają za mało lekarzy do armji, floty i służby cywilnej, zaś sprowadzanie z zagranicy jest zbyt kosztowne i bezcelowe, ponieważ cudzoziemcy nie znają języka rosyjskiego. Na to zaproponowałem, aby przy Uniwersytecie Wileńskim urządzić konwikt dla studentów-medyków, którzyby otrzymywali wychowanie na koszt skarbu. — „Wierzę, że projekt pański jest dobrym i nie pragnąłbym nic lepszego. Ale nigdy nie osiągnie pan tego, aby do konwiktu wstępowali Polacy, którzy mają wstręt do służby rosyjskiej“. — „Można spróbować, odparłem, nie należy tylko działać zbyt pośpiesznie“. — „Wątpię, by się to udało... zresztą, jeśli to ma panu sprawić przyjemność, proszę opracować projekt, a ja przedstawię go cesarzowi“.

Bardzo prędko załatwiłem się z projektem, w którym proponowałem:

1-o. Uniwersytet wileński ma polecić ośmiu zależnym od niego gimnazjom, by te przy końcu każdego roku szkolnego przedstawiały listę uczniów, którzy po ukończeniu kursu nauk życzyliby studjować medycynę, chirurgję i akuszerję na koszt skarbu.

2-o. Z pomiędzy tych kandydatów mają być w Wilnie wybrani do liczby 50 tacy, którzy dzięki zdolnościom, pilności, dobremu prowadzeniu się, oraz zdrowej i silnej budowie ciała szczególnie będą nadawać się do służby w armji i we flocie.

3-o. Wybranym kandydatom będą zwrócone koszta podróży do Wilna.

4-o. Będą oni umieszczani w klasztorach, które powinny dawać im pokój, łóżko, meble, opał i światło.

5-o. Tacy studenci mają otrzymywać pieniądze na stół, ubranie (uniform uniwersytecki), książki, papier i t. d.

6-o. Za to wszystko obowiązują się oni po ukończeniu nauk wstąpić do służby wojskowej na lat siedm.

7-o. Po tym terminie będą mieli do wyboru, albo nadal pozostać na służbie rządowej, albo ją opuścić z prawem zamieszkania gdzie zechcą.

8. Konwikt ma być zależny od wileńskiego gubernatora cywilnego.

9. Ma posiadać przełożonego, który pełni ten obowiązek bezpłatnie.

Projekt powyższy podobał się ministrowi. Nie zwlekając, przedstawił go cesarzowi, który projekt zatwierdził, po dodaniu jeszcze jednego paragrafu, mianowicie, że „uczniowie w każdym czasie mają prawo opuścić konwikt, po zwróceniu wydanych na ich wykształcenie pieniędzy“.

Książę Czartoryski na razie był zachwycony moim projektem, ale gdy dowiedział się, że konwikt ma zależeć od gubernatora cywilnego i, co zatem idzie, od ministra spraw wewnętrznych, wyraził swe niezadowolenie. Spodziewałem się tego, ale zbyt dobrze znałem nasz Uniwersytet, bym mógł mieć nadzieję, że zaprowadzi on w nowoutworzonym konwikcie porządek i konieczną dyscyplinę. Przewidywałem również, że niezbyt chętnie przygotowywanoby młodzież polską do służby rosyjskiej i nie zachęcanoby jej do nauki języka rosyjskiego. Prawie będąc pewnym, że zostanie przełożonym, unyślnie zaproponowałem, aby przełożony nie pobierał pensji.

W tym czasie p. Wolison z Wiednia ofiarował cesarzowi rosyjskiemu dwa ze swych wspaniałych przyrządów chirurgicznych, za co otrzymał od cesarza odpowiedni prezent. Gdy monarcha jeden z tych przyrządów darował petersburskiej akademji medyko-chirurgicznej,



wtedy prosiłem hr. Koczubeya, by zechciał wystarać się o darowiznę drugiego dla Uniwersytetu Wileńskiego, co też udało mu się z łatwością.

Mniej szczęśliwy byłem co do innej mojej propozycji, daleko ważniejszej. Wiedząc, że za czasów Suworowa zostały wywiezione z Warszawy do Petersburga biblioteki publiczne, szczególnie biblioteka Załuskich, próbowałem wybadać hr. Koczubeya, czy nie dałoby się wyjednać u cesarza pozwolenia na oddanie ich Uniwersytetowi Wileńskiemu. Minister uśmiechnął się na moją propozycję i rzekł, że „cesarz chętnieby to uczynił, gdyby podobnej darowiznie nie stawały na przeszkodzie niektóre okoliczności. Przedewszystkiem wiele osób, mających przy bibliotekach posady, szczególnie emigranci francuscy, zostaliby pozbawieni środków do życia, gdyby biblioteki przewieziono w inne miejsca. Wcześniej lub później dowiedzianoby się, kto jest autorem projektu i pan przyspożyłbyś sobie licznych wrogów“.

Na jednym z wieczorów u hr. Koczubeya, gdy zaprzestano gry w karty, usiadłem przy stoliku i wzięwszy do ręki kredę, machinalnie nakreśliłem na zielonem suknie plan więzienia według Howarda. Wtem zbliżył się minister i zapytał, co mój rysunek oznacza? Skorzystałem z zapytania, aby wyłożyć moje zapatrywanie na to, jak powinny być urządzone więzienia. Hr. Koczubey zgodził się ze mną. — „Więzienia są naszą hańbą i pan możesz się o tem przekonać, jeżeli zechcesz je zwiedzić. Dość cesarz nie mógł zwrócić uwagi na więzienia, a nawet powiem panu, iż zdaje się, że nawet nie domyśla się całej doniosłości tej sprawy“.

Wieczory u hr. Koczubeya zwykle kończyły się kolacją, przy której rozmawiano o wszystkim z zupełną swobodą. Często wspominając cesarza Pawła opowiadano, że ten nieszczęśliwy monarcha, pomimo rozmaitych dziwactw, posiadał również rzadkie zalety. On to właśnie dostarczył swej małżonce środków na założenie i utworzenie tylu zakładów dobroczynnych. Umiał hojnie

wynagradzać tych, co pracowali dla dobra ludzkości. Paweł odznaczał się żywym dowcipem. Podczas swej bytności w Wilnie, na początku panowania<sup>1)</sup>, gdy szlachta wydała bal, był tak zadowolony, że obiecał, iż wkrótce znowu to miasto odwiedzi. Hrabina Mostowska sądziła, iż będzie to bardzo ładnie, gdy zapyta cesarza: — „Słowo honoru, Najjaśniejszy Panie?“ Cesarz z uśmiechem zwrócił się do stojącego za nim wielkiego marszałka dworu i rzekł:

— „Poręcz pan za mnie“.

P. Carro opowiadał mi anegdotę następującą: „Gdy cesarz Paweł, jako Comte du Nord odwiedzał Genewę, postanowiono tam na cześć jego urządzać rewję wojskową. Brały w niej udział wszystkie korpusy, z których składała się armja miniaturowej republiki. Jakiś radca stanu był tak dalece naiwny, że zapytał wodza największego w Europie państwa, jaki korpus najbardziej się Jego Cesarskiej Mości podobał?“ — „Jeżeli mam prawdę powiedzieć, odparł cesarz, to najlepiej mi się podobało ci a ł o genewskich służących, które słyną ze świeżości i elegancji“<sup>2)</sup>.

W chwilach złego humoru Paweł bywał straszny i wtedy wszyscy przed nim drżeli. Marszałek dworu, podając pieczęć, był jak na szpilkach, zanim się przekonał, że potrawę przyrządzono według gustu cesarza. Sam widziałem w Wilnie na balu u gubernatora wojennego, pewnego generała, który, chociaż w kwiecie wieku, miał połowę głowy zupełnie siwą. Zjawisko to zainteresowało mnie pod względem lekarskim, to też wyraziłem moje zdziwienie generałowi Bennigsenowi, który mi na to powiedział:

1) Paweł I przyjechał do Wilna d. 16 maja 1797 r. i był witalny mową przez rektora Marcina Poczobutta, który go oprowadzał po gabinetach akademickich i pokazał obserwatorjum.

(W. Z.).

2) Gra słów. Corps — oddział wojska i corps — ciało.

(W. Z.).



— „Zdziwisz się pan jeszcze więcej, gdy mu powiem, że to się stało w ciągu jednej nocy. General służył w garnizonie w znacznej od Petersburga odległości. Tam dowiedział się, że Paweł kazał aresztować i osadzić w więzieniu jego ojca. Otrzymawszy tę smutną wiadomość, generał nie zwlekając ani chwili pojechał do stolicy. Tu się rzucił do stóp cesarza, błagając, jeżeli nie o uwolnienie ojca, to przynajmniej o łaskę, by go razem z ojcem zamknięto. Cesarz rzekł mu na to: — „Dobrze, ponieważ chcesz iść do więzienia, każę cię zamknąć, ale osobno“. Jakoż kazał zamknąć nieszczęśliwego w więzieniu, położonem daleko od tego, w którym znajdował się jego ojciec. Wtedy to przez jedną noc włosy jego posiwiały“.

Gdy w końcu 1804 r. byłem na wielkim obiedzie u p. Bennigsen, oznajmiono mu o przybyciu feldjegra (kurjer dworski). General spokojnie skończył jeść potrawę, poczem wstając od stołu powiedział mi na ucho: — „Gdyby to było za Pawła, na wieść o przybyciu feldjegra zdrżałoby całe tu zebrane Towarzystwo, a ja byłbym bardziej od innych zaniepokojony. Dzięki Bogu, że wszystko się zmieniło!“ — Wróciwszy z poczekalni p. Bennigsen opowiedział mi, że kurjer przebył drogę z Petersburga do Wilna (937 wiorst) w dwa z połową dni. Chociaż o tej porze sanna była wyśmienita, to jednak podobna szybkość jazdy była zadziwiająca.

D. 30 lipca mój ojciec otrzymał list następujący:

„Marszałek Dworu Łanskoy z rozkazu Jej Ces. Mości Cesarzowej-Matki ma honor zawiadomić p. Franka, iż Jej Ces. Mość zaprasza go w przyszłą środę do Pawłowska razem z synem, który dostąpi zaszczytu być przedstawionym Najjaśniejszej Pani pomiędzy 2 a 3 godziną po południu“.

Cesarzowa jeszcze piękna, o majestatycznej postawie, była mocno wydekoltowana, a szyję jej i piersi pokrywały w kilkanaście rzędów sznury olbrzymich pereł. Zostałem przyjęty w jej prywatnym salonie, w którym W. Księżniczka Katarzyna była zajęta haftowaniem na

krosnach. Jej Ces. Mość podziękowała mi za projekt instytutu głuchoniemych, który to projekt na jej rozkaz opracowałem, poczem dodała, że czytanie mojej „Podróży“ sprawiło jej wielką przyjemność. — „Skorzystałem pod wielu względami, a nawet czerpałem z książki pańskiej pociechę. Właśnie niedawno założyłam szpital, który starałam się uczynić wzorowym. Łudziłam się nadzieją, że śmiertelność w nim będzie mniejsza, niż w zwykłych szpitalach, ale stało się wręcz przeciwnie. Napróżno usiłowałam znaleźć tego przyczynę. Otóż wyjaśnienie znalazłam w pańskiej „Podróży“, w której pan pisze, że w szpitalu, w którym leczą chorych, najbardziej tego potrzebujących, śmiertelność z konieczności będzie większa, aniżeli w szpitalach, przeznaczonych dla wszystkich chorych bez wyjątku“.

Po skończonej audjencji otrzymaliśmy z ojcem przez Marszałka Dworu zaproszenie na obiad, na którym byli obecni: Cesarzowa-matka, wielcy książęta Mikołaj i Michał, oraz księżniczki Katarzyna i Anna. Siedziałem naprzeciw pierwszej i jej piękność, niebiańskie wejście, gracia i żywość wzbudziły we mnie uwielbienie. Zdawało mi się, że to jakaś istota nadziemna znalazła się przy stole cesarskim. Miałem wtedy rangę tylko radcy dworu, to też przypomniałem sobie, ile trudności musiałem nie tak dawno pokonać, aby być przedstawionym pierwszemu konsulowi, który wtedy był osobą nie więcej ode mnie znaczną. Jej Ces. Mość kilka razy zwracała się do mnie z zapytaniem o moich podróżach i o wileńskich zakładach dobroczynnych. Wiedziała już o stworzonej przeze mnie pomocy lekarskiej w mieszkaniach niezamożnych chorych, jak również o moim zatargu z Siostrami Miłosiernymi.

— „Mówiono mi, że pan ma wiele do zarzucenia tym zakonnicom?“

Wiedząc, że i cesarzowa nie bardzo była z nich zadowolona, odrzekłem: — „To bardzo naturalne, Najjaś-



niejsza Pani, ponieważ najlepsze z nich wybrano dla szpitala przez Waszą Cesarską Mość założonego“.

Słowa te zdziwiły wszystkich współbiedników. Jedna cesarzowa zrozumiała, co przez to chciałem powiedzieć.

— „Jeżeli przysłane mi mają być najlepsze, to wyobrażam sobie, jak są nieznośne te, które pozostały w Wilnie, bo mogę pana zapewnić, że moje są do niczego. Te kobiety są zdolne tylko do jedzenia, picia i spania, zaś pojęcia nie mają o pielęgnowaniu chorych. To też mam wielką ochotę odesłać je z powrotem“.

Obiad był wesoły, szczególnie dzięki margrabiemu Castel-Ciccala, posłowi neapolitańskiemu, który bawił wszystkich. Przyznaję, że trudno było wstrzymać się od śmiechu, gdy mówił po francusku. Po wstaniu od stołu cesarzowa raczyła jeszcze pół godziny rozmawiać ze mną o swoich zakładach dobroczynnych, których dotąd nie zwiedziłem, ponieważ chciałem przedtem otrzymać na to jej pozwolenie. Gdy powiedziałem to cesarzowej— odrzekła: — „Wydałam już rozkaz, aby panu pokazano w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co tylko go zainteresować może. Mam nadzieję, że będziesz pan zadowolony z tego, co zobaczysz. Dawno już nie byłam w nowym szpitalu, ponieważ tam panuje odra, a moje dzieci jej nie przebywały. Poleciłam dr. Crichtonowi, aby towarzyszył panu do tego szpitala, jak również do innych zakładów. Po obejrzeniu ich powiesz mi pan swoje zdanie, ale tylko zupełnie szczerze, bez komplementów“.

Gdy rodzina cesarska udała się do swoich apartamentów, miałem szczęście być przedstawiony wielkim księżniczkom, które biorąc przykład z matki, uprzejmie rozpytywały mnie o panią Frankową. Marszałek dworu kazał obwieźć nas w powozie po ogrodach i po parku. Wszędzie podziwiałem przepych, połączony z dobrym smakiem. To samo muszę powiedzieć o sali jadalnej, ozdobionej malowidłami Gonzagí, którego przepięknymi dekoracjami już przedtem zachwyciałem się w Medjo-

lanie w teatrze la Scala. Na jednej ze ścian wspomnianej sali była wymalowana w perspektywie kolumnada, która robiła wrażenie naturalnej.

Po powrocie do Petersburga, przygotowałem się do zwiedzenia zakładów dobroczynnych, wychowawczych i naukowych, zostających pod bezpośrednim kierownictwem cesarzowej-matki. Oto ich przegląd:

1-o. Nowy Szpital, urządzony na 200 łóżek. Przewyciężono w nim tak wielką na północy trudność— odświeżania w zimie powietrza bez oziębiania sal.

2-o. Dom podrzutków. Jest to największy w Europie zakład tego rodzaju, utrzymywany z dochodu, jaki daje monopol fabrykacji kart do gry (26 tysięcy rubli rocznie), oraz podatku od biletów teatralnych i lombardu.

3-o. Instytut Maryjski dla 60 dziewczynek sierot mieszczańskich, utrzymywany kosztem cesarzowej-matki (15 tysięcy rubli rocznie).

4-o. Instytut św. Katarzyny, w którym otrzymuje wychowanie około 200 pańien szlachcianek. Część z nich płaci, zaś reszta wychowuje się bezpłatnie.

5-o. Przytułek dla wdów, urządzony na 200 osób, nie młodszych nad 40 lat.

6-o. Klasztor, albo zgromadzenie dla edukacji pańien szlachcianek i 200 mieszczanek, które są utrzymywane na koszt skarbu (200 tys. rs. rocznie).

7-o. Instytut akuszerok, w którym 22 dziewczyny uczą się sztuki położniczej. Zakład utrzymywany jest kosztem cesarzowej (20 tys. rs. rocznie).

Wszyscy stojący na czele tych zakładów nie znajdowali słów dla wyrażenia zachwytu dla cesarzowej, nie tyle z powodu wydanych przez nią na te zakłady miljonów, ile z powodu starań i opieki, jaką je otaczała. Szczególnie wiele pracy poświęcała cesarzowa domowi podrzutków. Interesowała się ona i wiedziała o każdym dziecku, chociażby znajdowało się o sto wiorst od stolicy, oddane na wychowanie ostatniemu z włóścian.

— „Trzeba widzieć, mówiono mi, naszą dobrą cesa-



rzowę pośród panien, których wychowaniem ona kieruje, trzeba widzieć, jak one ją otaczają, pieścżą, całują w oczekiwaniu cukierków, a niekiedy i reprimand. Ale najbardziej godną uwagi jest chwila, gdy panny opuszczają instytut. Cesarzowa daje im rady i wskazówki, dodając przytem, że nigdy ich z oczu nie straci i że zawsze będzie wiedziała o ich postępowaniu“. Wpływ moralny, jaki cesarzowa w Rosji wywiera, jest bezgraniczny. Wykryłem w Nowym Szpitalu kilkoro niemowląt, o czem postanowiłem zawiadomić cesarzową, co zaś do domu wychowawczego—wszystko w nim wydało mi się doskonałem. Gdy wieszowałem przełożonej, pani Adelsberg, która osobiście miała rangę generał-majora, ta mi odpowiedziała, że się mylę, ponieważ domu wychowawczego nie można nazwać doskonałym, skoro młodzież nie otrzymuje w nim dostatecznego pożywienia. Chodzi tu nie tyle o obiad, ile o śniadanie, na które dają tylko napar z kwiatu lipowego. — „Czy pani pozwoli mi zrobić użytek z tego, com od pani słyszał?“ — „O, tak, bardzo proszę!“

Wkrótce znowu otrzymałem zaproszenie na obiad do Pawłowska, ale obiad był mniej wesoły, niż poprzedni i dopiero po wstaniu od stołu cesarzowa zadała mi pytania, na które miałem przygotowane odpowiedzi. Złożywszy dowody, że obejrzałem wszystko ze znajomością rzeczy, pozwoliłem sobie zrobić kilka uwag o niedostatecznym, jak mi się zdawało, pożywieniu panien w instytucie św. Katarzyny i w klasztorze. Cesarzowa odzwała mi z uśmiechem:

— „Ach, co to jest niemieckie łakomstwo! Pan nie zna Rosjan. Pomiedzy ich zaletami nie poślednie miejsce zajmuje wstrzemięźliwość w jedzeniu. Nie chciałabym przykładać ręki do pozbawienia ich tej cnoty“.

Na to rzekłem: — „Być może, że źle zrozumiałem, ale mówiono mi, że śniadanie składa się tylko z naparu kwiatu lipowego i to ma wystarczać od 7-jej rano, aż do obiadu?“

— Pana dobrze poinformowano. Napój z kwiatów

lipowych jest wyborny i jestem przekonana, że, gdyby ten kwiat pochodził z Chin, wolelibyśmy go od herbaty“.

Nie śmiałem dłużej obstawać przy swoim zdaniu, ale nigdy potem nie żałowałem, że mówiłem otwarcie. Spotykałem potem panie, które otrzymały wychowanie w instytucie św. Katarzyny i wszystkie przyznały mi się, że marły tam z głodu.

Czułem się w obowiązku pochwalenia przed Cesarzową pięknych manier panien w domu wychowawczym; chciałem jednak powiedzieć, że byłem zdziwiony zbyt wielkiem decolté panien, ale obawiałem się, iż taka uwaga mogłaby się nie podobać.

Ponieważ nie wiele zostawało czasu do mojej audjencji u cesarza, przeto pośpieszyłem zwiedzić zakłady, o których sądziłem, że mogę być zapytany, mianowicie:

1-o. Szpitale wojskowy i morski, założone w r. 1715 przez Piotra W. W tych szpitalach po nabożeństwie cesarz powiedział: „Tu wielu dzielnych ludzi otrzyma pomoc i pociechę, których byli pozbawieni. Daj Boże, aby jaknajmniejsza ich liczba tego potrzebowała!“

2-o. Szpital koszar preobrażeńskich dla gwardji, w którym łóżka wydały mi się nieodpowiednie do wzrostu gwardzistów, ale w którym za to bardzo mi się podobało, że chorzy bywali na lato przenoszeni do baraków, co dawało możność doskonale w tym czasie oczyszczać szpital.

3-o. Szpital korpusu kadetów.

4-o. Szpital nadworny.

5-o. Skład medykamentów dla armji. Instytucja, jakiej dotąd nigdzie nie widziałem, a która wprawiła mnie w zdumienie.

W sobotę d. 25 sierpnia mój ojciec otrzymał od hr. Koczubeya następującą kartkę:

„Z prawdziwą przyjemnością zawiadamiam p. Franka, że Jego Cesarska Mość zezwolił raczył, aby syn pański był mu przedstawiony jutro o godz. 1-jej po południu w Kamiennostrowie. Uprzedziłem już o tej audjencji W.



Marszałka dworu, który mi powiedział, że p. Frank może przyjechać do niego o wpół do pierwszej i że on sam go wprowadzi. Cesarzowa Elżbieta wyraziła chęć przyjęcia p. Franka tego samego dnia. Hr. Tołstoj przedstawi go Najjaśniejszej Pani przed, lub po audjencji u Cesarza“.

Uderzył mnie przepych, panujący w pałacu. Szczególnie byłem zdumiony, widząc mnóstwo różnego wieku murzynów, ubranych w stroje teatralne. Cesarz był jeszcze na nabożeństwie w cerkwi. Po wyjściu z niej zbliżył się do mnie marszałek dworu, hr. Tołstoj, i z grzecznością, cechującą dworaków, powiedział: — „Cesarz przeprasza, że go dziś przyjąć nie może, ponieważ prosił o audjencję arcybiskup. Zostanie pan przyjęty w przyszły czwartek, o tej samej godzinie, a tymczasem pójdziemy do cesarzowej“.

Przekonałem się, iż cesarzowa panująca jest znacznie piękniejsza, niż sobie wyobrażałem. Prawdopodobnie w oczach osób, które mi o niej opowiadały, jej piękność zaćmiewały inne zalety. Jej płeć wydała mi się ołśniewającą, na twarzy był wyraz anielskiej słodyczy. Cesarzowa rozpoczęła rozmowę od pochwał dla pani Frankowej, jej głosu i metody śpiewu. — „Wiem, że jest ona obecnie w Petersburgu; czy mnie nie odwiedzi? Sprawiłaby mi tem wielką przyjemność“.— „Żona moja oczekuje rozkazu Waszej Cesarskiej Mości“.— „Jak pan znalazł swego ojca?“ — „Odmłodzonym o lat dziesięć, tak jest zadowolony ze swego losu“.— „Mam nadzieję, że będzie dobrze znosił klimat petersburski, który jednak jest surowy“.— „Gdy dusza jest zadowolona, Najjaśniejsza Pani, wtedy ciało może znieść wiele“.— „To prawda. Wiem, że pan robi dużo dobrego dla biednych chorych w Wilnie“.— „Lekarz zawsze ma do tego sposobność, bo częściej od innych widzi nędzę i biedę ludzką“.

— „Czy do tego można przywyknąć?“ — „Nie sądzę, Najjaśniejsza Pani; im bardziej człowiek się starzeje, tem lepiej uczy się poznawać ciężar nędzy“.

Gdy we czwartek znowu przyjechałem do pałacu, adjutant już był o mojem przybyciu uprzedzony. — Wskazał mi długi szereg pokoiów i powiedział: — „Proszę iść wciąż przed siebie, w końcu dojdzie pan do gabinetu cesarza“.

Jakoż zobaczyłem go siedzącego przy stole i zajętego pisaniem. Spostrzegłszy mnie, Jego Ces. Mość niebawem wstał i postąpiwszy ku mnie kilka kroków, rzekł: — „Niezmiernie się cieszę z poznania Pana. W ojcu pańskim i panu zrobiłem doskonały nabytek. Mam nadzieję, że będziesz pan zadowolony z Wilna, którego klimat jest łagodniejszy od petersburskiego i spodziewam się, że wilnianie dołożą wszelkich starań, aby panu pobyt w tem mieście uprzyjemnić. Czy pan już choć trochę umie mówić po rosyjsku?“ — „Dotąd, Najjaśniejszy Panie, uczyłem się wyłącznie języka polskiego, który mi jest niezbędny w rozmowie z chorymi w klinice. Zamierzam jednak uczyć się języka rosyjskiego, co mi przyjdzie z łatwością“.

— „Nie bądź pan tak pewny siebie: Pomiędzy temi dwoma językami jest różnica większa, niż to się zdaje na razie“.

— „Przypuszczam, że nie większa, jak pomiędzy francuskim a włoskim?“

— „Czyś pan widział który z moich szpitali? Proszę mi powiedzieć otwarcie, czy wytrzymują one porównanie ze szpitalami austriackimi?“

— „Jeżeli można porównywać dzień z nocą. Mógłbym chyba porównać je ze szpitalami angielskimi, ale muszę zaznaczyć, że te ostatnie, jako zazwyczaj nie duże, dają się łatwo doprowadzić do doskonałości, jaką winniem przyznać petersburskim szpitalom wojskowym, pomimo ich wielkich rozmiarów“.

— „Czy istotnie nic pan nie masz im do zarzucenia?“

— „Pragnąłbym tylko, Najjaśniejszy Panie, aby chory byli mniej wysokiego wzrostu, ponieważ widziałem, jak ich nogi wystają z łóżek“.



— „Zrozumiałem pana i zwrócę na to uwagę“.

Przyznaję, gdy poraz pierwszy znalazłem się w małym gabinecie sam na sam z największym na ziemi monarchą, poczułem się bardzo nie swojsko, ale prędko odzyskałem równowagę, a to dzięki niezrównanej łaskawości cesarza.

Odważyłem się nawet z największą czcią podnieść oczy, aby zachować w pamięci jego rysy, ale potem wyrzucałem sobie, że otrzymane wrażenie nie było zgodne z wdzięcznością, jaką mu byłem winien za tak łaskawe przyjęcie. Szczególnie wyraz oczu wydał mi się nieszczerym<sup>1)</sup>.

W piątek d. 31 sierpnia mój ojciec został zaszczycony następującym bilecikiem od księżnej Amelji Badeńskiej:

„Moja siostra<sup>2)</sup>, która dziś nie mogła widzieć się z panem, pamiętając, że synowa pańska wkrótce wyjeżdża, poleciła mi prosić ją, za pośrednictwem pana, o przybycie jutro o godzinie drugiej, ponieważ siostra moja chciałaby zobaczyć się z panią Frankową przed jej wyjazdem. Korzystam ze sposobności, by wyrazić uczucia szacunku i poważania, jakie mam dla pana“. Amelie de B.

<sup>1)</sup> Cesarzowa Katarzyna II tak się o wnuku odzywała: „Ten chłopak jest utkany z samych przeciwieństw“. Puszkina nazywał go arlekinem. Cesarz Napoleon I w swoich: „Memorial de Sainte-Helène“ wypowiedział o Aleksandrze takie zdanie: „Cesarz rosyjski jest niewątpliwie człowiekiem wybitnym. Posiada on rozum, grację i wykształcenie, z łatwością wkrada się do duszy, ale nie można mu ufać; nie ma w nim szczerości. Jest on prawdziwym grekiem dawnego Bizancjum. Poza to Aleksander nie jest pozbawiony ideologii prawdziwej, lub udanej co zresztą jest następstwem wpływu jego wychowawcy (Laharpe)“. Ale jak powiadają Karcew i Wojenski (Przyczyny wojny 1812 goda. Petersb. 1911 r.) po grubijańskim i gwałtownym Pawle uprzejmy i delikatny w obejściu Aleksander wydawał się wszystkim aniołem w ludzkim cielem“.

(W. Z.).

<sup>2)</sup> Cesarzowa. żona Aleksandra I.

Nazajutrz o oznaczonej godzinie pani Frankowa udała się do cesarzowej, która po rozmaitych zwrotach w rozmowie, poprosiła ją o śpiew. Pani Frankowa zaśpiewała arję, akompaniując sobie na bardzo złym klawikordzie i wraz potem wstała, obawiając się znudzić cesarzową, która po zadaniu jeszcze kilku pytań, uprzejmie ją pożegnała. Gdy nazajutrz ojciec mój, jak zwykle, odwiedził cesarzową, ta mu powiedziała, iż miała przyjemność poznać panią Frankową, która śpiewała... „ale mało, bardzo mało... tylko jedną arję...“ — „Dlaczego Najjaśniejsza Pani nie kazała jej śpiewać więcej?“ — „Obawiałam się popełnić niedelikatność“. — „Czy Wasza Cesarska Mość pozwoli mojej synowej naprawić swój błąd?“ — „Zrobiłaby mi wielką przyjemność, jeżeli to ją nie skrupuje w czemkolwiek“.

Krystyna tedy poraz drugi, raczej poraz trzeci, śpiewała przed cesarzową i tym razem wykonała kilka ary, romansów, piosnek i t. d.

W tym czasie wszedł do pokoju cesarz i Krystyna pozwoliła sobie wstąpić z nim w spór co do tego, jaki język, rosyjski, czy polski, bardziej do śpiewu się nadaje. Cesarz oddawał pierwszeństwo swemu rodowitemu językowi, a Krystyna broniła polskiego. Zdanie swoje opierała na tem (i jak mi się zdaje nie bez słuszności), że w języku rosyjskim większość wyrazów ma akcent na ostatniej sylabie, co czyni go podobnym do francuskiego, który tak mało nadaje się do śpiewu, gdy wyrazy polskie są zwykle akcentowane na sylabie przedostatniej i pod tym względem język polski jest podobny do włoskiego, który jest jakby stworzony dla śpiewu. Aby poprzeć swe zdanie przykładami, Krystyna zaśpiewała początek pierwszego duetu z opery Axur Salievi'ego, przełożonej z włoskiego na język polski przez Bogusławskiego. Pomimo to cesarz został przy swoim zdaniu i zakończył spór, z właściwą mu galanterją, słowami: — „W ustach pani każdy język staje się harmonijnym“. Dodał jeszcze, że to bardzo smutno, iż jest zmuszona miesz-



kać w mieście prowincjonalnem, gdzie nie ma pola dla wykazania swego talentu.

We wszystkich państwach osoby dobrze widziane u dworu są przyjmowane w towarzystwie z otwartymi rękami, ale nigdzie do tego stopnia, jak w Petersburgu, gdzie wystarcza kilku łaskawych słów cesarza, aby osoba, do której zostały zwrócone, była rozrywana. Tej okoliczności, jak również powszechnemu poważaniu, jakim się cieszył mój ojciec, przypisuję względy, których doznałem od pani Zakrewskiej, Tamara, kuzynek hr. Koczubeya, p. Murawjewa, kuratora cesarskiego uniwersytetu moskiewskiego, któremu mógłbym zarzucić chyba zbytek uprzejmości, generała Klingera, kuratora ces. uniwersytetu w Dorpacie, człowieka bardzo zasłużonego i dobrego Niemca, którego chętniebym widział na czele naszej Akademji, generała Wiazmitinowa, komendanta Petersburga, hrabiów Strogonowych, ojca i syna, generała Askowa, szwagra w. marszałka dworu hr. Tołstoja, księcia Wołkońskiego, prezydenta departamentu intendentury, pani Uwarowej polki, żony adjutanta cesarza, pięknej jak anioł, pani Paszkowej i Niłowej, senatora Tiepłowa, zawołanego melomana, który miał własną orkiestrę, złożoną z jego poddanych, którzy grali wcale nieźle, tylko zbyt głośno, co wywołało ze strony sławnego skrzypka Frenzela uwagę, zrobioną gospodyni domu: — „Pani, ci ludzie muszą być doskonale żywieni, skoro mogą grać z taką siłą“.

Ten artysta grywał naprzemian z p. Rode, największym skrzypkiem swego czasu, ja zaś najbardziej zachwycałem się grą p. Mario Clementi i jego ucznia Klen-gela, pierwszorzędných pianistów.

Hr. Iliński<sup>1)</sup> często mi mówił o projekcie założenia

<sup>1)</sup> Iliński Józef August, generał inspektor kawalerji wojsk koronnych i marszałek szlachty wołyńskiej, otrzymał od cesarzowej Katarzyny godność szambelana. Doznawał względów cesarza Pawła i przyczynił się do uwolnienia więźniów

w swoich dobrach (Romanów) instytutu głuchoniemych pod kierownictwem sławnego Eichne z Berlina. Niezmiernie zainteresował mnie gruntowną znajomością urzędzeń dobroczynnych p. Witowtow, szambelan, prezes Towarzystwa Dobroczynności, którego miałem zaszczyt zostać członkiem.

Właśnie w tym czasie powrócił hr. Jan Potocki po niefortunnym poselstwie do Chin. Był to oryginał, jakich mało, ale towarzystwo jego było bardzo przyjemne. Napisał powieść i rękopis dał do przeczytania memu ojcu, który był oszołomiony. Niezwykłość tego utworu stanowiło to, że nie miał on ani tytułu, ani końca.

Hr. Michał Plater podobał mi się nieskończenie więcej od swego brata Ludwika. Był rozumniejszy od niego i nie tak zarozumiały.

Bardzo żałowałem, że nie mogłem korzystać ze znajomości z kilku wybitnymi uczonymi, np. p. Fussém, członkiem Rady Szkolnej, Storch'em, nauczycielem wielkich książąt i wydawcą *Annales statistiques de Russie*, p. Engelhardt'em, jego współpracownikiem, p. Adelungiem, adjunktem p. Witowtowa, p. Faberem, redaktorem czasopisma w rodzaju *Monitora*, które właśnie zamierzano wydawać i t. d., ale tyle zakładów miałem do obejrzenia, że brakło mi czasu na wizyty. Oto krótki przegląd instytucji, które zwiedziłem.

Szpital obuchowski, na którego czele stał d-r Ellisen, człowiek wielkich zasług, chociaż nieco gburowaty. W tym czasie pracował nad fizyczno-medyczną topografią Petersburga, w której to pracy obliczał ludność stolicy na 250 tysięcy mieszkańców. Szpital założony przez Katarzynę II miał 400 chorych, licząc w to 100 obłąkanych. Ci ostatni najczęściej zawdzięczały chorobę

z r. 1794. Kościuszki, Niemcewicza, Wawrzeckiego i innych. W r. 1797 był mianowany radcą tajnym i senatorem. Mieszkał w miasteczku Romanowie, które doprowadził do stanu kwitnącego, umarł w Petersburgu r. 1844, mając lat 78. (W. Z.).



nadmiernemu używaniu wódki, to też nic dziwnego, że procent wyzdrowień był tu znacznie większy, aniżeli w innych zakładach, gdzie ta przyczyna nie gra takiej roli w powstaniu chorób umysłowych. Gdyśmy rozmawiali z d-rem Ellisenem o samobójstwach, nadzwyczaj rzadkich w Rosji, ten mnie upewniał, że za panowania Pawła było wcale inaczej.

Szpital dla chorych wenerycznych urządzony na 150 łóżek, był wcale dobrze utrzymany.

Szpital dla chorych nieuleczalnych na 1200 osób, jednocześnie służył jako przytułek dla starców. Podziwiałem piękne brody tych ostatnich.

Więzienie dla 200 przeszło dłużników i oszustów. Pomiędzy tymi ostatnimi było dwóch, którzy siedzieli w więzieniu od lat czterech, a procesy ich jeszcze nie były skończone. Wogóle wszyscy więźniowie narzekali na niedbałość ministra sprawiedliwości—Łopuchina.

Przytułek dla sierot na wyspie Petersburskiej, zbudowany na 150 osób.

Instytut pedagogiczny dla 100 uczniów.

Gimnazjum dla 250 uczniów pod dyрекcją p. Engelbacha, człowieka zasłużonego i rzadkiej uprzejmości.

Szkoła handlowa na stu uczniów, synów kupieckich i mieszczańskich, z których 60 było utrzymywanych kosztem instytucji, założonej przez p. Demidowa. Uczniowie miejscowi płacili po 400 rubli od osoby.

Akademia Nauk została założona przez Piotra Wielkiego. Nie wiem, kto miał rację, ten monarcha, czy też jego doradca, gdy wiedli następującą rozmowę:

Doradca: „Wątpię, by naród mógł mieć jaką korzyść z akademji, złożonej wyłącznie z pierwszorzędných uczonych, którzy bardzo mało, albo wcale nie będą się zajmowali wychowaniem młodzieży“.

Cesarz: Dlaczego? Mam swój cel w tem, co robię. Postaram się to wytłómaczyć. Uczeni będą pisali książki elementarne, z dziedziny rozmaitych nauk, a ja każę je tłómaczyć na język rosyjski. Będą oni objaśniać

treść książek powierzonym im młodzieńcom, którzy potem to samo będą robili dla innych. W Europie przekonają się, że i my również uprawiamy nauki, a nie gardzimy niemi, jak barbarzyńcy. Wszyscy urzędnicy w Cesarstwie, czy to rozmaitych kolegów, kancelarji, czy też gabinetów będą podtrzymywali stosunki z akademją, a w wypadkach trudniejszych będą zasięgałi u niej porad“.

Bądź, jak bądź, ale oglądałem w Akademji bogatą kolekcję potworów ludzkich, niezrównane iniekcje Ruyself'a, gabinet zoologiczny, piękny zbiór muszli, ogród botaniczny, ubiory chińskie i t. d.

Akademia medyczo - chirurgiczna powinna była interesować mnie tem bardziej, że mój ojciec pełnił w niej podwójny obowiązek: rektora i profesora. Ta akademja, raczej szkoła główna nauk lekarskich, mieściła się we wspaniałym gmachu. Miała 200 uczniów, przeważnie synów popów, ponieważ duchowieństwo rosyjskie obowiązane było dostarczać corocznie do tego zakładu 150 młodych ludzi, którzy otrzymywali naukę w ciągu lat czterech na koszt skarbu, za co potem musieli odsłużyć 6—7 lat w armji, we flocie, lub w służbie cywilnej. Akademja miała kilku bardzo wybitnych profesorów, np. Szerer — prof. chemji, Rudolf — botaniki, Pietrow — fizyki, Zahorski — anatomji, Śmiałowski — fizjologii, Busch — chirurgji. Biblioteka liczyła 23 tys. tomów; gabinet anatomiczny posiadał niezmiernie cenne preparaty Lieberkühn'a i Cruikslank'a.

Czułem się również w obowiązku poskładać wizyty najbardziej znanym w Petersburgu lekarzom. Starsi z nich, jak np. Asch, Blok i Rogerson bardzo mi się podobali. Odnowiłem znajomość z Aleksandrem Crichtonem. Przekonałem się, że p.p. Weickand i Uden w zupełności zasługiwali na sławę, jaką się cieszyli. Szczególnie ostatni posiadał wielką naukę.

Byłem wprost zachwycony p. Sutthofem, pierwszorzędnym akuszerem i człowiekiem niezwykle miłym. Nie mogę pominąć milczeniem p.p. Noelner'a, Reinbott'a,



Freyganga, Welzina i Lindströma, bardzo zasłużonych lekarzy. Za to p. Wylie nie odpowiedział moim oczekiwaniom. Jak to się stać mogło, myślałem, że taki monarcha, jak Aleksander obdarzył zaufaniem podobnego człowieka? Co prawda, Józef II miał swego Brambilla, a Franciszek I—swego Stiffa, ale przynajmniej ci lekarze posiadali choć jakiś tytuł do zaufania, którem się cieszyli, gdy tymczasem Wylie był to głupiec, pozbawiony godności.

Nigdzie nie spotykałem takiego przepychu, jak u bankierów petersburskich. Na jednym z lukulusowych obiadów u p. Sewerina, poznałem p. Lessepsa, konsula francuskiego w Petersburgu i sławnego towarzysza Lapeyrouse'a. Był on powszechnie lubiany. P. Lesseps opowiedział, jak mój ojciec wyleczył mu dziecko od gorączki i wzdęcia brzuszka okładami lodowemi. U p. Bergien'a spędziłem świetny wieczór, zakończony wspaniałą kolacją i ogniami sztucznymi, za którymi Rosjanie przepadają. Nabrali oni do tej zabawy zamiłowania jeszcze za Piotra W. Zdaje się, że ten monarcha mniej się mylił co do fejerwerków, aniżeli co do wpływu akademii nauk na naród rosyjski. Pewnego razu powiedział staremu baronowi Harfeldt'owi, posłowi pruskiemu: „Chcę za pomocą tego wesołego i przyjemnego środka przyzwyczaić ludność do morderczego ognia karabinów i armat. Doświadczenie nauczyło mnie, że ludzie, którzy przywykli do tego ognia, służącego dla zabawy, mniej się obawiają ognia innego — niebezpiecznego“.

P. Bacherut urządził zabawę, która rozpoczęła się obiadem i przeciągnęła się późno w noc, kiedy puszczone balon. Na tej zabawie znajdowała się pani Kussowa, kobieta niezwykle urodziwa, co w Petersburgu jest wielką rzadkością. Szeptano sobie do ucha, że cesarz jest nią zajęty. Dom p. Ralla, nadwornego bankiera, być może trzymałby prym, gdyby nie to, że ten pan swoją gwałtownością uniemożliwiał wszelką zabawę. Jak tylko coś mu się nie podobało, ciskał w żonę i służących butelka-

mi, talerzami i wszystkim, co tylko miał pod ręką. Pewnego dnia siedziałem między nim a p. Rode, który poprosił o ocet (po rosyjsku — uksus) do pieczonego zająca. Gdy lokaj nie podał go w tej chwili, Rall poczerwieniał jak kogut i oczy jego zapalały wściekłością. Wołając raz po raz coraz bardziej podniesionym głosem „u k s u s“, już wyciągał rękę, by czemkolwiek cisnąć w głowę słuzącemu. Na szczęście ocet został podany i tym razem skończyło się tylko na kilku przekleństwach. Przed tym niemiłym obiadem wykonano „Stworzenie światła“ Haydna. Przy tej sposobności przekonałem się, że to arcydzieło może być należycie wykonane tylko w obszernej sali, oraz przy udziale bardzo licznej orkiestry i chóru. Pani Frankowa, która nie była w liczbie wykonawców tego oratorjum, zaśpiewała potem arję z Gryzeldy Paër'a. Akompanjował jej p. Rode. Wrażenie było nadzwyczajne. Na koncercie był obecny młody Rosjanin, urodzony z rodziców Francuzów, nazwiskiem Fiedor. Ten posłyszawszy śpiew Krystyny, rzekł do niej: — „Ach, wielebym dał, aby móżdż śpiewać tak, jak Pani!“ Był to ten sam Fiodor, który potem stał się znakomitym. — Na tym obiedzie spotkałem p. Schroedera, starca 92-letniego, który wybornie pamiętał Piotra W. Opowiadał, iż wielki monarcha bawił się z nim, jako 8—10-letnim chłopcem.

Dn. 14 września, t. j. tego samego dnia, w którym Dwór powrócił z Kamiennoostrowska do pałacu, pożegnałem mego ojca i wyjechałem z Krystyną do Wilna. Poleciłem ojca szczególnej opiece księżnej Golicynnej z domu Wsiewołodzkiej z Moskwy, ponieważ łączyły go z nią bliskie stosunki, również jak z jej serdeczną przyjaciółką, panią Katarzyną Czernyszową, siostrą generała tegoż nazwiska. W jego domu od ciotek generała, pań Kuszelewowej i Macniewowej, doznałem najlepszego przyjęcia. Powiedziałbym, że księżna Golicyna była zakochana w moim ojcu, gdyby to było możliwe, aby kobieta jaśniejąca urodą, młodością i rozumem, mogła zakochać się w przeszło 60-letnim starcu. Zachwycałem się



jej siostrą księżną Zofją Mieszczerską, nie tak piękną, mniej błyszcząca, ale za to bardziej inteligentną. Pani Golicyn była nie bardzo dobrze widziana przy dworze, może dla tego, iż żyła w separacji z mężem, który mieszkał w Wilnie, a o którym już wspominałem w poprzednim rozdziale.

W Dorpacie zatrzymałem się parę dni, chcąc zwiedzić Uniwersytet i poznać kilku bardziej mnie interesujących profesorów. Do nich zaliczam Isenflamma, Balka, zaś przedewszystkiem Pawot'a, profesora fizyki. Uczony ten potrafił pozyskać zupełne zaufanie cesarza Aleksandra, który upoważnił go, aby w sprawach Uniwersytetu, którego Pawot był rektorem, pisał wprost do cesarza. Z wyjątkiem klinik, dla których właśnie budowano gmach, przekonałem się, że w Dorpacie wszystko było lepiej, niż w Wilnie urządzone. Ze środkami znacznie od naszych skromniejszymi potrafiono tam zaopatrzyć Uniwersytet we wszystko, co jest dla nauczania najbardziej potrzebne. Wszędzie znać było staranność i porządek. Ostatecznie był to Uniwersytet czysto niemiecki, z rektorem i profesorami Niemcami.

## ROZDZIAŁ XI.

Rok 1806.—Gubernator Rückman.—Tyfus w klasztorze Mariawitek.—Uroczyste otwarcie Towarzystwa lekarskiego.—Wyrodna matka.

Profesorowie medycyny, którzy obowiązani byli rozpocząć kursa przynajmniej w połowie września, przystępowali do wykładów dopiero 1-go października. Wyprzedziłem ich o całe pięć dni, pomimo, że byłem jeszcze zmęczony podróżą. Profesor Bojanus pod pretekstem podróży odciągał rozpoczęcie wykładów aż do Nowego Roku i nic nie robiąc pobierał pensję w ciągu dziesięciu miesięcy. W bieżącym roku szkolnym liczba studentów

medycyny znacznie się zwiększyła. Kilkunastu z nich oczekiwało z niecierpliwością otwarcia konwiktów, aby być przyjętymi na koszt skarbowy. Słusznie tedy przewidywałem, że taki konwikt będzie miał zapewnione powodzenie.

Przeciw własnemu przekonaniu musiałem spełnić polecenie kuratora Uniwersytetu Kazańskiego, p. Rumowskiego, i zaproponować p. Braunowi, adjunktowi prof. Lobenweina, katedrę anatomji w Kazaniu. Wyjazd tego doskonałego prosektora był śmiertelnym ciosem dla prac anatomicznych w naszym Uniwersytecie.

Chociaż mieliśmy własną aptekę, nad którą dozór mnie był powierzony, ale dotkliwie odczuwaliśmy brak szkoły farmaceutycznej. Bardzo ceniąc p. Wolfganga, jako człowieka wielkich zasług, przedstawiłem go na profesora Farmacji i Farmakologii, a to w celu wykształcenia dla kraju dobrych farmaceutów.

Wreszcie przybył do Wilna nowy gubernator cywilny p. Rückman. Był to człowiek 50-letni, wyniosłej postawy, stanowczy, szczery, prawy i wyborny administrator. Jedyłą jego stroną ujemną była zbyt gorliwość, która go zmuszała do pełnienia samemu czynności, będących obowiązkiem niższych funkcjonariuszów policji. Sam widziałem przy wyjściu z teatru, jak sam zaprowadzał porządek pomiędzy woźnicami za pomocą pałki. P. Rückman pierwszy pomyślał o oczyszczeniu z brudów Wilna, które było istną stajnią Augjusza. On to właśnie zabronił świniom spacerować po ulicach, co dało powód do zjadliwych satyr<sup>1)</sup>. Publiczność nie umiała również ocenić innych rozumnych i pożytecznych zarządzeń policji. Ostatecznie uznanoby zasługi tego wybit-

<sup>1)</sup> Prof. M. Homolicki („Na dziś“. 1872 r., t. II, str. 24) opowiada, że „ulicznicy wileńscy znieważyli pogrzeb gubernatora Rückmana, za to, że kazał był sługom policyjnym zabierać wieprze, swobodnie wałęsające się wtędy po celniejszych nawet ulicach miasta“. (W. Z.).



nego gubernatora, gdyby żył dłużej i gdyby jego zięć, naczelnik policji, nie dręczył obywateli miasta. P. Rückman zdrowy i silny człowiek w połowie listopada zachorował na ostre zapalenie pęcherza, wskutek przeziębienia. Zapalenie to wkrótce przeszło w ropienie, którego następstwem było zakażenie tkanek. Po kilku dniach walki z chorobą nastąpiła śmierć. Nieraz w życiu bywałem świadkiem rozpaczki rodzin z powodu śmierci ich głowy, ale nigdy serce mi się tak nie ścisnęło, jak w tym wypadku. Bolesć pani Rückmanowej sprawiała tem okropniejsze wrażenie, że była niema. Wreszcie po kilkunastu godzinach milczenia, wyraziła chęć zobaczenia nieboszczyka. Rodzina i przyjaciele oparli się temu, to też wszyscy oni byli bardzo zdziwieni, gdy podszedłem do nieszczęśliwej kobiety i powiedziałem: — „Pójdźmy, ja panią zaprowadzę“.

Prawdę mówiąc, musiałem ją raczej nieść, niż prowadzić. Biedna wdowa, jak martwa padła na ciało męża. Nakazałem wszystkim milczenie. Po kilku chwilach posłyszeliśmy łkanie, poczem nastąpił potok łez. Tego właśnie pragnąłem. Dawszy jej popłakać, rzekłem tonem uroczystym. — „A teraz proszę pożegnać się z tym, którego pani będziesz wiecznie oplakiwać, ale z którym pani niezadługo się połączy... Proszę iść za mną i nie narażać mnie na odpowiedzialność, którą wziąłem na siebie, pozwalając pani na to, czego jej inni odmówili“. — Pani Rückmanowa posłusznie dała się wyprowadzić z pokoju.

Pan Ławiński, pragnąc otrzymać posadę po zmarłym Rückmanie, prosił mnie o wstawienie się do mego ojca, by ten go polecił hr. Koczubeyowi. List mój, napisany w tej sprawie, został wysłany jednocześnie z depeszą, zawiadamiającą o śmierci p. Rückmana, ale tym razem nie odniósł on pożądanego skutku <sup>1)</sup>, ponieważ generał-gubernator Korsakow był przeciwny tej nominacji.

<sup>1)</sup> P. Ławiński otrzymał posadę gubernatora w kilka lat potem.

P. Korsakow nie przestawał obdarzać mnie zaufaniem. Gdy jego siostrzenica pani Knorring dostała po połogu ropnia w piersi i bardzo cierpiała, chcąc ulżyć boleściom, dodałem do kataplazmu pół uncji liści blekotu. W nocy przysłano po mnie z prośbą, abym przyjechał jak najprędzej, ponieważ chora jest umierająca. Istotnie omdlenia następowały jedno po drugim, kończyny były zimne, a puls prawie nie wyczuwalny. Podejrzewając, że przyczyną takiego stanu jest zastosowanie chociaż zewnętrzne blekotu, usunąłem kataplazm, dałem chorej eteru i kazałem przenieść ją do innego pokoju. Niebawem groźne objawy ustąpiły, a że jednocześnie i ropień pękł, przeto radość była ogólna.

Ponieważ przez Wilno przechodziło coraz to więcej wojsk, postanowiono wybudować tu jeszcze jeden szpital wojskowy. Co prawda, obeerzano się trochę za późno. P. Korsakow prosił mnie, abym wspólnie z architektem opracował plan szpitala. Praca nasza była już prawie na ukończeniu, gdy nagle zaniechano projektu.

Dzięki zaufaniu generał-gubernatora, miałem od niego najświeższe wiadomości o wojnie, której teren posuwał się ku granicy Litwy, co jaknajstaranniej ukrywano przed jej mieszkańcami. Byłem przygnębiony wieścią o przegranych bitwach pod Jeną i Austerlitzem, gdy przeciwnie, p. Korsakow widział w tych porażkach usprawiedliwienie tego, co go pod Zurychem od Masseny spotkało. Był on dotknięty tem, że Bennigsenowi oddano korpus armji, której naczelnym wodzem był mianowany stary Kamienskoj, niedołączna kopja Suworowa. O zajęciu Berlina (d. 25 paźdz. n. st.) dowiedzieliśmy się dopiero po sześciu dniach. Z chwilą wejścia Napoleona do Warszawy nasza pozycja stawała się coraz bardziej krytyczną. Bitwa pod Pułtuskim przekonała, że jednak w mniejszym lub większym stopniu można było stawić opór Francuzom. Generał Bennigsen wziął do niewoli sporo jeńców, w liczbie których było nie mało markietanek. Przysyłając te ostatnie do Wilna, p. Bennigsen napisał



do p. Korsakowa, iż posyła transport guwernantek dla panien rosyjskich. Serca Litwinów były radośnie na wieść o zbliżaniu się Francuzów, gdyż budziła się w nich nadzieja na połączenie się z Królestwem Polskim, o którego odbudowaniu nikt nie wątpił, od chwili, gdy nadeszła wiadomość, że Napoleon jest w Warszawie. Ale ta radość nie wyrażała się w sposób manifestacyjny, któryby mógł zaniepokoić rząd rosyjski, a postępowanie uczącej się młodzieży było bez zarzutu. Profesorowie Uniwersytetu zgodnie postanowili naśladować swych kolegów z Getyngi, którzy będąc posłuszni nowemu rządowi, wcale nie ukrywali swej wdzięczności dla poprzedniego władcy. Co do mnie, to sam nie wiedziałem, czy w razie przejścia Francuzów przez Niemen, mam jechać do ojca do Petersburga, czy też pozostać na stanowisku. Przypuszczając możliwość pozostania w Wilnie, zaopatrzyłem swój dom w prowizję, uwolniłem część służby i sprzedałem kilka koni. Nieprzewidziana okoliczność zwiększyła moją troskę. Jeszcze przed moją wycieczką do Petersburga, p. Jędrzej Śniadecki mówił mi, że księżę Konstanty Lubomirski (właściciel 10 tysięcy poddanych), prosił go o znalezienie dla niego praktycznego lekarza. Ponieważ nie można go było znaleźć pomiędzy naszymi uczniami, więc musieliśmy zwrócić się do cudzoziemców. Zaproponowałem d-ra Fliesa, którego poznałem w Berlinie podczas mojej w tem mieście bytności i powziąłem dla niego rzetelny szacunek. Studjował on w Leyde i Getyndze i dał się poznać z kilku prac drukowanych w „Journal de medecine pratique“ Huffelanda, a ponieważ d-r Flies dobrze władał kilku językami, przeto był najzupełniej odpowiedni dla księcia. Napisaliśmy tedy do niego, zapytując o warunki. D-r Flies podał bardzo przystępne, a p. Śniadecki zawiadomił p. Czorbę, szwagra i pełnomocnika księcia Lubomirskiego, i po wymianie kilku listów nastąpiło porozumienie. List oficjalny p. Czorby opiewał, że p. Flies ma przyjechać do Wilna, gdzie znajdzie kontrakt formalny, podpisany przez księcia, oraz pieniądze na

drogę. P. Śniadecki, posyłając ten list d-rowi Fliesowi, dodał od siebie, by pośpieszył z wyjazdem z Berlina. Ale oto, co z tego wszystkiego wynikło. P. Śniadecki jednocześnie otrzymał dwa listy, jeden od d-ra Fliesa, który donosił, iż niebawem wyjeżdża do Wilna, a drugi od księcia z zawiadomieniem, że nie może zawrzeć umowy z tym lekarzem. Byliśmy tedy w przeddzień przyjazdu biednego człowieka z żoną i pięciorgiem dzieci i sami nie wiedzieliśmy, co mu powiemy. Chociaż nie brałem udziału w pertraktacjach, prowadzonych przez p. Śniadeckiego, bardzo lekkomyślnie, to jednak poczuwałem się w pewnym stopniu do odpowiedzialności za nieszczęście mego przyjaciela i jego rodziny. W czasie pokoju z łatwością znalazłbym dla niego jakąś posadę, ale w obecnych okolicznościach nikt nie myślał o powiększeniu wydatków i szczególnie o obarczaniu siebie lekarzem, któremu towarzyszyło sześć osób. Nie było również mowy o ulokowaniu go w armji. Ostatecznie możnaby znaleźć jaką posadę w służbie cywilnej, ale tam pensje były zbyt małe, aby mogły wystarczyć na zaspokojenie licznych jego potrzeb. Nie pozostawało dla mnie innego wyjścia, jak szukać dlań posadę w jednym z Uniwersytetów, szczególnie w Kazańskim, w którym wakowały niektóre katedry, ale było do przewidzenia, że nawet w najlepszym razie dla załatwienia sprawy potrzeba będzie kilka miesięcy czasu. Napisałem jednak do mego ojca, prosząc, by poczynił starania u rektora wspomnianego uniwersytetu. Jednocześnie zwróciłem się do hr. Czackiego i Ilińskiego, zaklinając ich, by mi przyszli z pomocą. Tymczasem otrzymaliśmy list od Fliesa z Grodna, gdzie był zmuszony zatrzymać się z powodu choroby dzieci, z których już dwoje zmarło mu w drodze. Opisując uciążliwość podróży, okropne drogi, mrozy, już bardzo dotkliwe (było to w grudniu), brak noclegów, koni i niedalekie już wyczerpanie zasobów pieniężnych, kończył list słowami: „Podtrzymuje mnie jeszcze tylko nadzieja, że w Wilnie nastąpi już koniec moim udręczeniom“.



— „Nieszczęśliwy, myślałem, czytając powyższe słowa, ani przeczuwa, jaki nowy cios czeka go w Wilnie“. Ponieważ Wilno wcale nie posiadało hoteli, jako tako urządzonych, i była tylko bardzo niewielka liczba mieszkań do wynajęcia, które już były pozajmowane przez rodziny, napływające na zimę ze wsi do miasta, przeto miałem zamiar prosić p. Śniadeckiego, byśmy wspólnie okazali gościnność naszym podróżnym, ale przyszło mi na myśl, że mogę ulokować ich w klinice, w której miałem wolne trzy pokoje. Potrzebne jednak było pozwolenie komitetu administracyjnego Uniwersytetu, które z łatwością otrzymałem, również jak prawo korzystania z należących do kliniki łóżek, bielizny i t. d. Zrobiłem też dobry zapas drew, kawy, cukru. Wreszcie państwo Flies przyjechali. Nie będę opisywał jego rozpaczy, gdy się o wszystkim dowiedział. Biedak nie zniósłby tego ciosu, gdybyśmy go nie pocieszali, jak mogli i gdyby Śniadecki pod pozorem pożyczki nie dał mu 250 dukatów holenderskich. Ja ze swojej strony dostarczałem pożywienie dla rodziny, zmniejszonej do pięciu osób. Namówiłem p. Fliesa, aby tymczasem złożył egzamin, potrzebny dla pozyskania prawa praktyki w Rosji. Zdał je świetnie i zyskał uznanie wszystkich profesorów. Wreszcie nadeszły odpowiedzi na moje listy. Najmniej pocieszającym był list mego ojca, który z powodu nieobecności w stolicy rektora uniwersytetu Kazańskiego, nie mógł porozumieć się z nim ustnie. Hr. Czacki ofiarował posadę lekarza przy gimnazjum w Krzemieńcu z pensją roczną 500 rubli, a p. Iliński zaproponował 300 rs. rocznie i lokal z opałem. Flies zgodził się na ostatnią propozycję, chociaż jabym na jego miejscu był przyjął posadę w Krzemieńcu, gdzie mógł on zrobić świetną karierę i gdzie nie byłby narażony na intrygi tak pospolite w małych dworach, a które były tem prawdopodobniejsze u hr. Ilińskiego, że rządziła tam pani Crac. Pani Flies, która też miała pretensję do piękności i istotnie była kobietą urodziwą, dała mężowi powód do podejrzeń, które stały się

źródłem częstych kłótni i wreszcie doprowadziły do rozstania się małżonków. Nie wiem, co się potem stało z Fliesami, ponieważ tak byłem zadowolony, pozbywszy się kłopotu, że mało się nimi interesowałem. Ostatecznie całe to zdarzenie było dla mnie dobrą na przyszłość nauką, z której korzystałem, gdy zwracano się do mnie z prośbą o sprowadzeniu na Litwę lekarza z zagranicy. A na podobną okazję nie potrzebowiałem długo czekać.

Czytelnicy moi zapewne przypominają sobie młodego obywatela p. Karpia<sup>1)</sup>, któremu doradzałem, by się poddał operacji. P. Karp' zwrócił się z prośbą o wskazanie operatora do Hufelanda, który na nieszczęście zarekomendował mu p. Lodera, profesora uniwersytetu w Jenie, znakomitego anatoma, ale mało znanego chirurga. Zdaje się, że w tym wypadku Hufeland powodował się tylko przyjaźnią. P. Loder przyjechał do majątku p. Karpia i niebawem naznaczył dzień operacji. Chory miał dość odwagi, by się położyć na stole operacyjnym, ale, gdy zamierzano związać mu ręce i nogi<sup>2)</sup>, zaprotęstował energicznie, obiecując, że wytrzyma największy ból i nie będzie się ruszał. Loder był na tyle naiwny, że powierzył obietnicy, której nie byliby w stanie dotrzymać ludzie nawet o wiele od p. Karpia mężniejsi. Przy pierwszym cięciu chory nie tylko wydał krzyk nie ludzki i zerwał się jak opętany, ale nadto kazał służbie wyrzucić pana operatora za drzwi. Ci, jako poddani uważali sobie za obowiązek ściśle wykonać rozkaz pana, co porządnie nastraszyło p. Lodera. Operując, otworzył pęcherz i chory pozostał z fistułą. Zrażeni wzajemnie, rozstali się jaknajprędzej. Loder, otrzymawszy za nieudaną próbę operacji 2000 dukatów, nabrał gustu do praktyki na Północy i za-

<sup>1)</sup> Ignacy Karp', chorążyc Upicki, zwany Krezusem żmudzkiem, mieszkał w swoim majątku Johaniszkiele na Żmudzi. (M. Homulicki. „Na dziś“, t. III, str. 23). (W. Z.).

<sup>2)</sup> W owym czasie stosowanie chloroformu jeszcze nie było znane i w czasie operacji zajmowano chorego „przyjemną rozmową“, albo po prostu zwiazywano go. (W. Z.).



mieszkał w Petersburgu <sup>1)</sup>, zaś p. Karp' zwrócił się do mnie z prośbą, bym mu sprowadził dobrego operatora. Wybór mój nie mógł paść na nikogo innego, jak tylko na Pajolę z Wenecji. Ponieważ nie miałem przedtem możności napisać do niego, więc wręczyłem plenipotentowi p. Karpia, który jako kurjer miał udać się na poszukiwanie Pajoli, list, w którym, chwalać charakter i zalety p. Karpia, radziłem jednak zrobić p a t t i c h i a r i i i zażądać pięć tysięcy dukatów, z których dwa tysiące przed wyjazdem. Kurjer pojechał. O dalszym ciągu tej sprawy opowiem niżej.

Mój ojciec, którego zawiadomiłem o tem wszystkim, z zadowoleniem przekonał się, iż potrafiłem skorzystać z otrzymanych nauczek. Pochwalił również mój zamiar nie opuszczania Wilna, nawet w razie zbliżenia się Francuzów, czem dał dowód nieznamomości rządu rosyjskiego. Przynajmniej nie ulega wątpliwości, że w lat kilka potem, wszyscy profesorowie, którzy pozostali na stanowiskach podczas zajęcia Wilna przez nieprzyjaciół, byli bardzo źle widziani, gdy przeciwnie ci, którzy uciekli w głąb Rosji, otrzymali nagrody za ten dowód wierności. Faktem jest, że mój ojciec wciąż się obawiał, aby mi nie przyszła chętć zamieszkania w Petersburgu. — „Im bardziej posuwam się w lata, pisał do mnie, tem więcej cierpię nad rozłączeniem z dziećmi. Widzenie się z wami tego roku było dla mnie wielką pociechą i z całego serca dziękuję wam za to szczęście. Gdybym nie był głęboko przekonany, że Petersburg, pomimo całego blasku zewnętrznego, nie jest miejscem, w którym mogą żyć szczęśliwi ludzie, wzrosli w innym klimacie, i gdybym nie poznał dobrze istotnego stanu rzeczy w tej stolicy, nie pragnąłbym niczego bardziej, jakbyście tu zamieszkali, ale za t a k ą c e n ę nie chcę sobie kupować radości i jestem przekonany, że Wilno jest dla was bardziej odpowiednie“.

<sup>1)</sup> J. C. Loder z Petersburga został wezwany do Moskwy na profesora anatomji. (W. Z.).

Niechęć mego ojca do Petersburga zależną była od rozmaitych przyczyn. Niewątpliwie nie małą w tem grał rolę klimat, o wiele gorszy, niż można było przypuszczać. Tego roku już d. 28 września spadł śnieg, a Newa, która w r. 1805 stanęła d. 14 października, ruszyła dopiero d. 14 kwietnia roku następnego. Była tedy rzeka pod lodem równo pół roku. Następnie napłynęła kra z jeziora Ładogi i w ciągu dwóch tygodni uniemożliwiała nawigację. Kanały Mojka i Jekaterineński były nawpół zamrożnięte do d. 19 kwietnia. Zima następna była łagodniejsza, nawet wcale lekka, ale połączona z niedogodnościami jeszcze dotkliwyszemi. Przedewszystkiem ulice stały się nie do przebycia i żaden powóz nie mógł na nich wytrzymać. Jednocześnie zabrakło na targach żywności i produktów przywożonych zwykle do stolicy z odległych stron; sanna w tym roku zupełnie nie dopisała; wreszcie pomimo łagodnej zimy, szalały wiatry, wiejące od morza Lodo-watego. Mój ojciec na sobie doznał ich fatalnego wpływu, gdy jechał na obiad do cesarzowej matki.

Podczas rozmowy o piękności stolicy, cesarzowa chciała usłyszeć zdanie mego ojca. — „Sądzę, powiedział ojciec, że Petersburg można porównać z piękną kobietą, która jednak ma sapkę“.

Ale najbardziej uciążliwym czyniło dla mego ojca pobyt w stolicy przekonanie, iż nie jest tu tak pożytecznym, jak mu to obiecywano. Akademia medyczno-chirurgiczna nie tylko znajdowała się w znacznej od miasta odległości, ale nadto była od niego oddzielona Newą. To też gdy rzeka zaczynała zamarzać i zdejmowano most, a potem na wiosnę, gdy lód ruszał (co razem trwało od 1½ do 2 miesięcy w roku), przez cały ten czas nie można było dostać się do Akademji, w której znowu z powodu braku odpowiednich mieszkań nie można było mieszkać. W liczbie profesorów byli tacy, których pensja była zbyt mała, aby mogli mieszkać za miastem i wyrzec się dochodu z praktyki. Akademia nie miała własnego ogrodu botanicznego i studenci korzystali z ogrodu Akademji



Nauk, który znajdował się w znacznej odległości, to też uczęszczanie do niego zabierało wiele czasu. Szpitale miejscowe dostarczały klinikom dostateczną ilość chorych, ale że byli to sami mężczyźni, trzeba było, albo wyrzec się wykładów praktycznych o chorobach kobiet, albo przewozić te ostatnie ze szpitali cywilnych, odległych o cztery wiorsty i więcej. Wszystkie powyższe niedogodności dałyby się usunąć przez zamianę gmachu Akademii medyko-chirurgicznej na takiż dom sierot, który znajdował się w środku miasta obok ogrodu botanicznego i szpitala cywilnego, ale minister spraw wewnętrznych, jakkolwiek pochwalił ten projekt, uważał go jednak za niemożliwy do wykonania.

Chociaż pięćdziesięciu synów duchownych prawosławnych, dostarczanych corocznie przez Świętobliwy Synod dla Akademii med.-chirurg. miało pewne wykształcenie gimnazjalne, to jednak wiele im brakowało, aby mogli odrazu przejść do nauk fizyczno-medycznych. Na przygotowanie ich do tego trzeba było poświęcić jeszcze rok czasu, to też dla nauk lekarskich pozostawało właściwie tylko lat trzy. Uważając, iż w tak krótkim czasie niepodobna przejść kursu nauk lekarskich, mój ojciec zaproponował, aby takowe były wykładane w ciągu lat pięciu. Projekt ten został odrzucony, a to z powodu naglącej potrzeby lekarzy w armji. Jedyne ustępstwem, na jakie się zgodzono, było uwolnienie studentów czwartego kursu od obsługiwania szpitala wojskowego

Hr. Koczubey nie ukrywał przed autorem projektu reformy Akademii medyczno-chirurg., iż przesłał go d-r. Aleksandrowi Crichtonowi. Cenzor w zupełności pochwalił projekt, z wyjątkiem paru ustępów mniejszego znaczenia, jak np. sposób egzaminowania. Projekt tedy został przedstawiony cesarzowi, który naiwnie sądząc, że nie szkodziłoby wysłuchać zdania jeszcze kilku osób o tak ważnym przedmiocie, przesłał go p. Wylie. Ten, mając głowę nabitą filozofją Kanta i Schellinga, i pragnąc dać posadę profesora jednej ze swoich kreatur—d-rowi Wo-

łańskiemu, dodał do nauk przedwstępnych katedrę filozofji natury.

Mój ojciec był oburzony i nawet zatwierdzenie przez cesarza jego projektu w ten sposób wykoszlawionego, nie sprawiło mu żadnej przyjemności. Zniechęciłby się nawet do wykładów, gdyby go nie podtrzymywało przywiązanie studentów.

Jakkolwiek nie trudno było domyślić się, że Świętobliwy Synod dostarczał Akademii medyczno-chirurg. nie najlepszych z młodzieńców, którymi rozporządzał, i że wykładowy język łaciński przedstawiał nie małą trudność dla większej części audytorjum, to jednak trzeba przyznać, że studenci Rosjanie i Polacy pod tym względem wcale nie ustępowali studentom włoskim i niemieckim. Ojciec mój z wielką przykrością był zmuszony przerwać wykłady i polecić zastępstwo d-rowi Gajewskiemu, ale obowiązek wzywał go do cesarzowej, której czas rozwiązania ciąży już się zbliżał. D. 2 października udał się do pałacu zimowego, który opuścił dopiero po sześciu tygodniach, gdy cesarzowa zupełnie do zdrowia wróciła. „Jak tylko wstąpiłem do tego cesarskiego więzienia, pisał ojciec do mnie, Wielki Marszałek Dworu, hr. Tołstoj, oświadczył mi, iż na niczem nie powinno mi zbywać, że mam prawo dysponować obiady dla siebie i 3—4 moich przyjaciół i że mogę żądać wszelkich win. Najjaśniejsza Pani już kilka razy dowiadywała się, czy mi czego nie brakuje“.

Pomimo to wszystko z listów sióstr moich wiedziałem, że ojciec źle wygląda i wzdycha do swojej kuchni. W jednym z listów ojca zawierał się ustęp, który tem chętniej przytaczam, że dotyczy osoby wysoko urodzonej, o której dotąd nie miałem sposobności mówić. „Wczoraj Jego Cesarska Wysokość W. Księżę Konstanty, który już przedtem polecił mojej opiece chorego oficera, kazał mi powiedzieć, iż przyjmie mnie w południu, ale dopiero o godz. 2-iej powrócił ze swoim regimentem ze Strelny. W. Księżę przyjął mnie z wielką uprzejmością, po



dwa kroć podając mi rękę i polecił mi jednego z obecnych oficerów ze słowami: „Wychowywał się on razem ze mną i od lat szesnastu jesteśmy kolegami“.

Cesarzowa powiła wielką księżniczkę 3 (15) listopada o godzinie 4-ej nad ranem. Wszystko odbyło się pomysłnie. Jej Cesarska Mość chciała sama karmić dziecko, ale mój ojciec stanowczo temu się oparł. To się bardzo nie podobało Cesarzowej, która była głuchą na wszystkie perswazje. Jedno tylko trafiło jej do przekonania i zmusiło ją przyznać rację memu ojcu. Zapytał on cesarzową: „Czy Najjaśniejsza Pani jest pewną, że nie zakłóci spokoju jej ducha, który to spokój jest nieodzownym warunkiem w czasie karmienia niemowlęcia? Czy obecny stan polityczny Europy nie narazi Waszą Cesarską Mość na niepokoje, które mogą zaszkodzić jej zdrowiu?“ Nie śmiał ojciec zwrócić uwagę cesarzowej, iż miała wiele do zniesienia od teściowej, z powodu małżeństwa jej brata w. księcia Badeńskiego z osobą z rodziny Bonaparte (Stefanja, Ludwika, Adryana, Napoleona), jakgdyby to było w jej mocy przeszkodzić temu mezaljansowi.

Gdy ostatecznie postanowiono przyjąć karmicielkę, mój ojciec był wielce zdziwiony, dowiedziawszy się, że kazano ją szukać pomiędzy włościankami. Sądził, że każda z pań uważałaby sobie za zaszczyt pełnić ten obowiązek i wydawało mu się wielce niestosownem, aby wielka księżniczka ssała pierś niewolnicy. Poza tem pozostawiono mu zupełną swobodę w wyborze karmicielki, to też znalazł taką, która pod względem zdrowia i innych zalet mogła być uważana za królowę między mamkami. Obrzęd chrztu odbył się z niezwykłą pompą. Prezenty, jakie mój ojciec, stosownie do zwyczaju, otrzymał, jakkolwiek wspaniałe, nie wynagradzały jednak strat wskutek zaniechania praktyki przez czas jego zamknięcia w pałacu. Ale wkrótce je sobie powetował, otrzymawszy np. od hr. Szeremietjewa 400 dukatów. W tym czasie ojciec został wybrany na członka Towarzystwa

filantropijnego petersburskiego, Uniwersytetu Moskiewskiego i petersb. Towarzystwa przyrodników. Zdrowie jednak nie zupełnie mu dopisywało, ponieważ nie mógł pozbyć się kaszlu, od czasu do czasu zjawiała się gorączka, a nawet zaniepokoiły go stale występujące poty nocne. Moja siostra Lizeta również zachorowała na gorączkę kataralną, od której ledwie się wyleczyła, co było tem trudniejsze, że wadliwa budowa jej ciała ujemnie wpływała na przebieg choroby. Troski nie opuszczały mego ojca, który, straciwszy już jednego syna od gorączki szpitalnej, teraz drżał o mnie, gdy się dowiedział, że w Wilnie z dnia na dzień rozwija się złośliwa epidemia tyfusu.

Wojska, powracające z pod Austerlitzu zawlekły zarazę do południowej Litwy i na Wołyń na początku 1806 roku. Gdy z głębi Rosji przyszły inne pułki, dotąd zupełnie zdrowe, zaczęły one również chorować, zawlekły zarazę do Wilna i udzieliły choroby mieszkańcom miasta. Szczególnie znaczna liczba chorych była w marcu i kwietniu. W maju, dzięki chłodom, jakie nastąpiły, klęska ustała, ale epidemia wybuchła z nową siłą w listopadzie. W końcu tego miesiąca prof. Spitznagel prosił mnie, abym zwrócił uwagę na klasztor zakonnicy przy kościele św. Stefana<sup>1)</sup>, przy którym klasztorze był on lekarzem.

— „Zrób pan łaskę i pojedź tam, by się przekonać do czego może dojść nędza“.

Klasztor znajdował się za miastem. Od południa z dwóch stron otaczał go cmentarz, na którym grzebano zmarłych w szpitalach i więzieniach, niekiedy tak nie dbale, że psy wygrzebywały ciała. Obowiązkiem zakonnicy, zwanych Marjawitkami, było wychowanie neofitek. Były one bardzo ubogie. Jedna z neofitek, będąc

<sup>1)</sup> Zgromadzenie Marjawitek zostało założone przy kościele św. Stefana w Wilnie przez księdza Jana Turezynowicza w r. 1737. Panny Marjawitki nauczały żydówki-neofitki i opiekowały się niemi. (W. Z.).



obecną przy grzebaniu bez trumny więźnia, pierwsza w klasztorze zachorowała na tyfus. Niewiadomo, czy przyczyną choroby był przestrah, czy też zarażenie się. Zarazek mógł także dostać się do klasztoru z odzieżą i bielizną po zmarłym na tyfus mieszczaninie, którego wdowa przysłała te przedmioty w darze klasztorowi. Gdy przyjechałem do klasztoru, zastałem już wszystkie zakonnice, z wyjątkiem przełożonej, chore obłącznie; również były chore prawie wszystkie neofitki, a te, które jeszcze trzymały się, literalnie padały ze znużenia wskutek czuwania przy chorych. W klasztorze nie było ani żywności, ani drzew, ani lekarstw. Te ostatnie mogłem dostarczyć za pieniądze, które miałem na ten cel zebrane, ale nie było żadnych środków na zaopatrzenie zakonnice w najniezbędniejsze rzeczy. Zwróciłem się tedy do biskupa, prosząc o pielęgniarki, a także o żywność i drwa. Z rozmowy z biskupem przekonałem się, iż nie miał on pojęcia o rozpaczliwym położeniu zakonnice, chociaż wspomniany klasztor znajdował się w środku jego diecezji. Moje opowiadanie nie bardzo go nawet wzruszyło, to też wysłuchał moją prośbę o pomoc niezbyt chętnie. Obiecał mi tylko, iż poszle kilka siostr miłosiernych dla dozoru chorych. Gdy co do wszystkiego innego biskup zaczął wymawiać się i przedstawiać rozmaite przeszkody, powiedziałem mu:

— „Jeżeli Eksceleńcja nie może dopomóc nieszczęśliwym zakonnicom, w takim razie jadę stąd wprost do generał-gubernatora i zaproponuję mu, by opodatkował bogate klasztory wileńskie na rzecz klasztoru św. Stefana“.

To moje oświadczenie osiągnęło skutek pożądany.— Przewidując jednak, że zdobyta tym sposobem zapomoga będzie bardzo nieznaczna, postarałem się, aby wiadomość o nieszczęśliwym położeniu zakonnice jak najszerzej rozeszła się po mieście, w nadziei, że Wilnianie pośpieszą z pomocą. Jakoż niebawem dzięki ich wspaniałomyślności i ofiarności klasztor został obficie we wszystko za-

patrzone. Pozostawało mi jeszcze zorganizować opiekę nad choremi. Dodałem kilka służących dwóm siostram miłosiernym, które tym razem chętnie wypełniały moje rozporządzenia. Ponieważ do klasztoru św. Stefana było zbyt daleko, abyśmy z d-rem Szpitznaglem mogli tam jeździć na każde wezwanie, przeto nieodbycie był nam potrzebny pomocnik. Nie mając prawa wymagać od moich uczniów, aby narażali się na niebezpieczeństwo związane z doglądaniem trzydziestu chorych na tyfus, opowiedziałem im tylko o moim kłopotcie. Tego wystarczyło, aby dwóch studentów ofiarowało mi swoje usługi. Przyjąłem propozycję p. Stanisława Kossowskiego, ponieważ znane mi już były jego zaradność i inteligencja. Przewszystkiem oddzielił on zdrowe od chorych, kazał okurzać pokoje kwasem azotowym, słowem urządził mały szpital, z którego mogły brać przykład inne szpitale wileńskie. Straciliśmy tylko jedną chorą, jeśli nie liczyć 76-letniej zakonnicy, która umarła raczej na uwiąd starczy, niż na tyfus.

W klinice miałem sporo pracy nietylko z powodu tyfusu, ale także odry i szkarlatyny, które równocześnie panowały. Ta ostatnia choroba zaczęła grasować nawet w wyższych klasach ludności.

Na dzień 12 grudnia, jako dzień urodzin cesarza Aleksandra, naznaczyliśmy uroczyste otwarcie Towarzystwa lekarskiego. Tymczasem dowiedziałem się, że wszyscy członkowie postanowili wybrać mnie na prezesa. Energicznie zaprotestowałem, nie chcąc, aby mnie posądzano, że założyłem Towarzystwo dla tego, by stać na jego czele. Prosiłem, by pozwolono mi pełnić skromne i trudne obowiązki sekretarza, na co chętnie się zgodzono. Na prezesa został wybrany p. Śniadecki, a na wice-prezesa p. Lobenwein. Tym sposobem lekarze Polacy i Niemcy byli reprezentowani w zarządzie Towarzystwa w równej mierze. Ułożyłem program otwarcia Towarzystwa i nie zaniedbałem niczego, aby to otwarcie wypadło jaknajuroczyściej. Oprócz generał-gubernatora,



wyższego duchowieństwa, arystokracji, zaprosiliśmy także panie, a że z powodu przypadającej tego dnia rocznicy urodzin cesarza wszyscy przybyli w ubiorach galowych, przeto zebranie było niezwykle świetne. Zagałem posiedzenie odczytując ukaz cesarski, potwierdzający ustawy Towarzystwa<sup>1)</sup>, który to ukaz obecni wysłuchali stojąc. Szczególny nacisk położyłem na ustęp ukazu, w którym cesarz nakazuje władzom okazywać Towarzystwu wszelką pomoc prawną. Następnie odczytałem ustawę Towarzystwa, zaś prezes<sup>2)</sup> wygłosił po polsku mowę „O pożyteczności Towarzystw lekarskich“, którą to mowę nagrodzono oklaskami. Za to nie miało powodzenia przemówienie francuskie wiceprezesa<sup>3)</sup> „O wakcynie“. Rozprawa ta nieudolna i przeczytana w niemożliwie nudny sposób, byłaby w stanie uspić obecnych, gdyby nie pobudzał ich do wesołości powtarzany co słów kilka wyraz „nowonarodzone“ (tak nazywał mówca nasze Towarzystwo). Przy tej sposobności przekonałem się, że regulamin Uniwersytetu

1) Ukaz z d. 26 maja 1806 na imię wojennego gubernatora litewskiego:

„Panu Generalowi Kawalerji, Wojennemu Gubernatorowi Litewskiemu Baronowi Bennigsenowi. Minister Spraw Wewnętrznych podał Nam przyłączone tu ustawy uczonego Towarzystwa, które się uformowało w Wilnie w celu doskonalenia różnych części nauk lekarskich. Chcąc oddać wszelką sprawiedliwość, jaka się należy chwalebny zamiarom, dla których Towarzystwo to jest ustanowione, uznając ustawy jego za zgodne z celem, który sobie zamierza, potwierdzamy je w całej ich obszerności. Obowiązujemy W. M. Pana oświadczyć Naszą szczególną łaskę członkom, które założyli to Towarzystwo. I wola jest Naszą, aby we wszystkich wydarzeniach, gdzie mu wypadnie potrzeba udać się do zwierzchności miejscowej, wszelką opieką prawną i pomoc dana mu była. Dano w St. Petersburgu d. 26 maja 1806 r. Aleksander“. (Pamiętnik Tow. lek. wil., t. I, str. IV). (W. Z.).

2) Jędrzej Śniadecki. (W. Z.).

3) Prof. Jan Lobenwein. (W. Z.).

Wileńskiego, nakazujący, aby żadna mowa nie była wygłaszana na posiedzeniach publicznych, zanim nie zostanie przeczytana i przyjęta na sesji prywatnej, nie był tak zły, jak się to mogło wydawać na razie. Sądziłem przedtem, że upokarza to autora i dla tego właśnie, układając ustawę Towarzystwa punkt ten pomiąłem. Ale źle się stało i dla mnie nie było innego wyjścia, jak je naprawić, wygłaszając własną mowę „O z a k ł a d a c h n a u k o w y c h w W i l n i e“. Wybrałem ten dość niebezpieczny dla cudzoziemca temat, pragnąc wykazać stosunek medycyny do innych nauk i zainteresować ogół pracami „nowonarodzonego“.

Mówiąc o astronomji, oddałem hołd zasługom ks. Poczobutta, który opuszczając stanowisko astronoma-observatora, by odpocząć po 42-letniej pracy, osiągnął najwyższy szczyt sławy, wyznaczając godnego siebie zastępcę w osobie p. Jana Śniadeckiego. „Pochodnia tedy, zakończyłem, zapalona przez Kopernika, nie zgaśnie w jego Ojczyźnie“. Słowa te zostały spotkane grzmo-tem oklasków, a po skończonej uroczystości nie mówiono o niczem innem, jak tylko o p a t r j o t y c z n e j p r z e m o w i e sekretarza Towarzystwa lekarskiego. Hr. Ludwik Plater dotąd bawiący w Wilnie, jako wizytator szkół, podbiegł do mnie i publicznie mnie uściskał<sup>1)</sup>.

W kwietniu pewien oficer wyższej rangi rodem z Korsyki, niegdyś będący na służbie Anglji, a obecnie mieszkający w Wiedniu, gdzie go właśnie poznałem, przejeżdżał przez Wilno, z misją od dworu austriackiego do rosyjskiego. Będąc zdrożony i potrzebując wypoczynku, zwrócił się do mnie z prośbą o gościnność. Z największą przyjemnością zaprosiłem go do siebie. Tym ofi-

1) Bliższe szczegóły o Wileńsk. Towarz. lekarskiem znajdują się w mojej pracy, p. t. „Zarys dziejów Cesarsk. Towarz. lekarskiego w Wilnie“. Warsz. 1898, oraz w dziele dr. J. Bielińskiego: Stan nauk lekarskich za czasów Wil. Akademji Medyko-chir. Warsz. 1889. (W. Z.).



cerem był nie kto inny, jak Pozzo di Borgo, który później zyskał rozgłosną sławę jako dyplomata<sup>1)</sup>.

W tym czasie sprzedawałem korzystnie na rachunek ojca naszą wилę na Antokolu, z którą miałem nie małe kłopoty. Nie umiałem jeszcze wtedy cenić rozkoszy pobytu na wsi. Inaczej postąpił p. Śniadecki, który za 14500 dukatów nabył majątek. Gdy jednak to kupno wciągnęło go w kilka procesów i było przyczyną, iż zaczął zaniedbywać swych pacjentów, wtedy przestałem mu zazdrościć i wieszowałem sobie, że nie byłem bogaty.

D-r Arejula z Madrytu przysłał mi swoje dzieło hiszpańskie o żółtej febrze. Doznałem prawdziwej przyjemności, gdy się przekonałem, że znajomość języka włoskiego dopomogła mi do zrozumienia tej pracy. Ale najbardziej wzruszyła mnie pamięć niezrównanego Jennera, który polecając mi pewnego Anglika, jadącego na Litwę dla zakupu drzewa budulcowego, opisał mi szczegółowo zaciętą walkę, jaką toczono w Anglii z jego wynalazkiem, oraz dawał wskazówki, jakie należy zachowywać ostrożności, aby szczepienie krowianki dawało pomyślne wyniki.

Ten Anglik p. Levy był człowiekiem bardzo wykształconym i miłym w towarzystwie. Miał on w Wilnie dziwną przygodę, o której tu wspominam, ponieważ świadczy ona, jak dziwne pojęcie mają niektóre osoby

1) Pozzo di Borgo Karol Andrzej, znakomity dyplomata rosyjski, ur. w r. 1768 na Korsycie. W r. 1791 należał w Paryżu do żyrondyistów, a w r. 1799 brał udział w wyprawie Suworowa przeciw Francji. W r. 1802 P. di Borgo wstąpił do służby rosyjskiej i był komisarzem przy armii angielsko-neapolitańskiej, a w r. 1806 przy armii praskiej, poczem przeszedł na służbę Austrii i następnie Anglii. W r. 1813 wzywał on Aleksandra I do dalszego prowadzenia walki. Jako dyplomata P. di Borgo zawsze zwalczał wszelkie zamiary zgody i porozumienia z Napoleonem. Po restauracji był posłem rosyjskim w Paryżu, a od r. 1834 do r. 1839 posłem w Londynie, poczem wzięwszy dymisję zamieszkał w Paryżu, gdzie umarł r. 1842. (Encykl. pow. Orgelbranda). (W. Z.).

o wychowaniu. Nudząc się pewnego wieczora, p. Levy polecił numerowemu, by ten mu sprowadził jaką pannę. Oczekiwał on miłego sam na sam, to też był mocno zdziwiony, gdy do jego pokoju weszła młodzianka panienka w towarzystwie matki. Bardziej oburzony postępkami tej ostatniej, niż zahwycony wdziękami córki, p. Levy zaczął czynić wyrzuty starej, która najspokojniej w świecie rzekła: — „Co pan chce? Pragnęłabym dać mojej córce dobre wykształcenie, uczyć ją francuskiego, angielskiego, muzyki, tańców... Nauczyciele drogo kosztują, a moje środki są bardzo ograniczone... tedy... widzi pan..

## ROZDZIAŁ XII.

Rok 1807.—Koncert amatorski.—Założenie Towarzystw Dobroczyńności i przeciwwębraczego.—Choroba biskupa Kosakowskiego. — Wybranie Jana Śniadeckiego na rektora Uniwersytetu Wileńskiego.—Szpitale wojenne.

Rok 1807 rozpocząłem, będąc chory na gorączkę kataralną, której nabawiłem się, umieszczając swoje łóżko przy ścianie zewnętrznej, wystawionej na wpływy powietrza, czego należy unikać zawsze i wszędzie, a szczególnie zimą w krajach północnych. Rekonwalescencja była przewlekła i zakończyła się przy mocnym kaszlu krwotokiem z gardła. Skorzystałem z tego przymusowego zamknięcia w pokoju, by załatwić korespondencję Towarzystwa lekarskiego. Po wydrukowaniu 2-go tomu moich podróży i kilku rozpraw akademickich, nie posiadałem nic do druku. Obawiałem się jednak, aby o mnie nie zapomniano, a ponieważ klinika dostarczała mi sporo interesujących spostrzeżeń, więc zacząłem drukować roczniki p. t. „Acta Instituti clinici Cesareae Universitatis Vilmensis<sup>1)</sup>, które dedykowałem

1) Lipsiae. 1808. Annus I.



kuratorowi naszego Uniwersytetu. We wstępie umieściłem swoje wyznanie wiary (i co za tem idzie wyrzekłem się systemu Browna)<sup>1)</sup>, opis mego szpitala klinicznego, oraz przyjętego przeze mnie sposobu nauczania, a także próbę fizyczno-medycznej topografii Wilna. Na stronach następnych znajdowały się postrzeżenia chorób, panujących w Wilnie w roku szkolnym 1805—1806 i krótkie sprawozdanie o przypadkach najbardziej interesujących.

Praca ta została przyjęta bardzo dobrze, szczególnie we Francji, a d-r Meger z Berlina przetłómaczył ją w r. 1810 na język niemiecki.

Instytucja pomocy lekarskiej w mieszkaniach od d. 15 kwietnia 1806 do d. 15 kwietnia 1807 r. miała pod swoją opieką 369 chorych i chociaż kasa nie była jeszcze zupełnie wyczerpana, to jednak d. 1 marca urządziłem w Kasynie na rzecz jej koncert, na którym wykonano „Ło-

1) John Brown znakomity lekarz szkocki ur. 1735 r. um. 1788 r. Stworzył teorię, nazwaną od jego imienia Brownjanizmem. System Browna, który długie lata wszechwładnie panował w Europie, zamiast starannego studjowania fizjologii i anatomji patologicznej, sprowadzał całą medycynę do leczenia kilku pobudzającymi lekami (stimulantia). Uważając podrażnienie, jako główną podstawę życia i dzieląc wszystkie choroby istniejące na steniczne i asteniczne, należało według metody Browna, trzymać system nerwowy w stanie ciągłego podniecenia, przechodząc od jednych pobudzających środków do innych. Za najskuteczniejsze uważano wyskok i makowiec (opium), które jednak nie mogły podniecić samego Browna, pomimo iż ciągle powtarzał: „Opium me hercule, no sedat”. Obalenie tego szkodliwego systemu nauka zawdzięcza Wileńskiemu Tow. lekarskiemu, którego członkowie pierwsi oparli się mu i zaprotestowali. Józef Frank przez długi czas, szczególnie podczas pobytu we Włoszech, był zwolennikiem tej teorii, ale po przybyciu do Wilna publicznie na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego wyrzekł się jej i wykazał jej błędny drogę. Frank nigdy nie przestał żałować, że tak długo był na błędnej drodze. Szkoła przez niego w Wilnie stworzona ostatecznie porzuciła system Browna, którego nawet Śniadecki przez czas niejaki był zwolennikiem. (W. Z.).

wy“ z opery Młody Henryk Méhul'a, arcydzieło godne, aby przeszło do potomności. Pani Frankowa śpiewała arję z opery Aloizy i Kora, oraz polonez, którego muzykę i słowa skomponował umyślnie dla niej książę Michał Ogiński. Publiczność była przyjemnie zdziwiona słysząc niedawno przybyłą cudzoziemkę, śpiewającą po polsku i przytem wymawiającą wyrazy lepiej od śpiewaków krajowych. „Oto, mówiono słusznie, szkoła włoska, która wówczas tylko uznaje śpiew za dobry, gdy można rozumieć każde słowo“. Hrabina Wiktorja Choiseul de Gouffier, z domu Potocka, również uczestniczyła w koncercie i zaśpiewała z panią Frankową duet z Artemizyi Cimarosa, zaś hr. Stanisław Tyszkiewicz, posiadający piękny tenor, wykonał znakomitą arję: „Pria che spunti in Ciel l'aurora“, z Matrimonio Segrato tegoż kompozytora. Hr. Antoni Plater zagrał koncert na klawercie, a p. Kriukow na pianinie. Cena biletu była jeden dukat holenderski, ale wiele osób płaciło więcej. Hrabina de Choiseul i ks. Ogiński dali każdy po 50 dukatów. Dochód z tego świetnego koncertu wynosił 1812 r. sr. Towarzystwo było wyborowe, tak, że hrabina de Meerveldt z domu hr. Kińska, która w tym czasie bawiła w Wilnie (mieszkała ona u nas), przejazdem do męża ambasadora austriackiego w Petersburgu, była zdumiona przepychem i dobrym tonem, jaki w sali panował.

Jeszcze przed tym koncertem biskup Kossakowski zwierzył się mnie, iż powodzenie mojej „Clinicum ambulatorium“ podało mu myśl wprowadzenia w czyn innego projektu, o którym mówiliśmy z nim wkrótce po moim do Wilna przybyciu, ale który biskup pragnął wykonać w większych rozmiarach. Mianowicie myślał on o założeniu Towarzystwa Dobroczynności. Zadaniem tej instytucji miało być nie tylko leczenie chorych, ale także wykorzenienie żebractwa, dostarczanie pracy ludziom, którzy napróżno jej poszukują, opieka nad dziećmi, starcami i t. d. „Młody książę Dominik Rądziwiłł, mó-



wił biskup, wyraża chęć darowania obszernego placu ze starym pałacem (stare mury Radziwiłłowskie)<sup>1)</sup>, na urządzenie domu pracy i miłosierdzia. Ale ja nie przyłożę ręki do tej sprawy, dopóki nie otrzymam od pana obietnicy, że weźmiesz pan udział w założeniu nowego Towarzystwa i połączysz z niem stworzoną przez siebie instytucję. Może ona stanowić osobny wydział, którego pan będziesz prezesem. Będąc pewny pańskiej zgody, opracowałem już tę oto ustawę Towarzystwa Dobroczynności. Proszę ją przejrzeć i poprawić, poczem ja przedstawię ją cesarzowi do zatwierdzenia.

Chociaż w zupełności pochylałem projekt biskupa i współczując walce z żebractwem przyrzekłem, że zostanę członkiem Towarzystwa i będę opłacał składkę 12 dukatów holenderskich rocznie, to jednak niezbyt mi się uśmiechała myśl połączenia z Towarzystwem mojej instytucji. Jako motyw podawałem obawę, aby Towarzystwo Dobroczynności nie spotkał los kasyna, w którym wraz po jego założeniu zakradła się niezgoda, bo w takim razie moja instytucja mogłaby paść jej ofiarą. Biskup starał się rozproszyć moje obawy, nie dowodzenia jednak jego, lecz własne sumienie kazało mi przyjąć propozycję. Powiedziałem sobie: „Jesteś przeciwny połączeniu, ponieważ wolisz, aby instytucja nosiła twoje imię. Jesteś tedy dobroczynny tylko przez próżność“. Wstydząc się sam siebie, pośpieszyłem przystać na proponowane połączenie, ale pod warunkiem, że dochód z urządzanych przeze mnie koncertów i przedstawień teatralnych będzie zachowany wyłącznie dla mego oddziału, który będzie miał własną oddzielną kasę. Biskup był zachwycony i kilkakrotnie uściskał mnie. Wraz potem przedstawił ustawę cesarzowi, który nie kazał długo czekać na jej zatwierdzenie. Dołączono do niego reskrypt cesarski bardzo pe-

<sup>1)</sup> Przy ulicy Wileńskiej i zaułku Dobroczynnym. Te place i domy dotąd stanowią własność Towarzystwa Dobroczynności. (W. Z.).

chlebny dla wszystkich członków. Biskupowi cesarz przysłał order św. Aleksandra Newskiego, ozdobiony brylantami<sup>1)</sup>. Wybrano mnie na członka komitetu, który powinien był zrobić przegląd wszystkich żebraków wileńskich. Nie potrafię opisać tego, co widziałem i co przy tej okoliczności wycierpiałem. Policja otrzymała rozkaz, by nam energicznie pomogła, to też zbierała ona tłumy tych istot okropnych dla przedstawienia ich komitetowi. Czynność naszą rozpoczęliśmy od oddzielenia żebraków poddanych od wolnych. Pierwszych odesłaliśmy do ich panów, którzy byli obowiązani ich żywić. Co do żebraków wolnych, to tych, którzy z powodu choroby lub słabości nie mogli zarabiać na życie, skierowaliśmy do szpitali, zaś nie chcących pracować oddaliśmy do domu dobroczynności, jeżeli nikt za nich nie poręczył, że przestaną trudnić się żebranią. Kilkunastu jednak znalazło takich poręczycieli. Następujący przykład służy za dowód, że *ż e b r a k i u b o g i* nie są to synonimy. Pewien starzec z długą białą brodą, który od wielu lat żebrał przy bramie południowej z cudownym obrazem (Ostra brama), okazał się właścicielem dwóch tysięcy dukatów holenderskich, które przechowywał w łóżku.

Miłą nagrodą za moją pracę było to, że już po tygodniu ulice wileńskie zostały oczyszczone od żebraków, grasujących na nich od niepamiętnych czasów. Publiczność potrafiła ocenić to dobrodziejstwo, ale, by uczynić je zupełnem, należało zapewnić żebrakom w domu dobroczynności dobre obchodzenie się. Niestety, działo się tam inaczej, szczególnie pod względem czystości.

Biskup, wybrany na prezesa Towarzystwa, chciał, abym wziął na siebie zarządzanie infirmerją, urządzoną w domu dobroczynności, dla licznych chorych — ofiar

<sup>1)</sup> Bliższe szczegóły o Wileńsk. Towarzystwie Dobroczynności znajdują się w ilustrowanej książeczce Kazimierza Rawicza (K. Podernia) p. t. „Wileńskie Towarzystwo Dobroczynności w setną rocznicę założenia“. Warszawa. 1907. (W. Z.).



złego powietrza. Ale tym razem stanowczo odmówiłem, ponieważ byłem przekonany, że nie uda mi się zaprowadzić tam porządku. Zgodziłem się tylko doglądać składu lekarstw. To ustępstwo uczyniło szczerbę w kasie mego wydziału, tem znacznieszą, że nie mogłem ograniczać lekarzy miejskich p.p. Barankiewicza i Reykowskiego, którzy zgodzili się leczyć bezpłatnie chorych w domu dobroczynności. Tem bardziej żałowałem wydatków na lekarstwa, iż byłem przekonany o ich bezużyteczności w infirmerji, w której brakowało bielizny, a pożywienie było nieodpowiednie dla chorych. Napróżno domagałem się ulepszeń pod tym względem — nie usłuchano mnie. Sprawy poszły lepiej, gdy na czele administracji stanęli Dominikanin Korzeniewski<sup>1)</sup> i p. Rudomina<sup>2)</sup>, młody, bardzo inteligentny i gorliwy człowiek. Inni członkowie wcale się nie wtrącali do spraw dobroczynności, albo patrzali na nie, jako na zabawę. Do takich należał Józef hr. Mostowski. Gdy pewna przystojna osoba zwróciła się do niego z prośbą o protekcję, by mogła otrzymać od Towarzystwa posag, hrabia dał jej napisaną przez siebie kartkę, zawierającą następującą grę słów: „Je declare la demoiselle digne de la tention (l'attention) des membres“<sup>3)</sup>.

1) Korzeniewski Aloizy, kaznodzieja i fizyk ze zgromadzenia Dominikanów, um. w r. 1826. Był to jeden z najbardziej wybitnych ludzi w Wilnie na pocz. XIX wieku i słynął jako filantrop. Był czynnym członkiem założonego przez J. Franka Instytutu macierzyństwa. Oprócz kazań ogłosił drukiem „Traktat początkowy fizyki“ (Wilno, 1806. 2 t.). (W. Z.)

2) Rudomina Jan Gwalbert był sekretarzem Tow. Dobroczynności i wielce się przyczynił do jego podniesienia. R. skończył Uniw. Wil. ze stopniem dr. filozofji, potem był członkiem komisji do urządzenia funduszów pojezuickich, dozorcą honorowym, a następnie wizytatorem szkół powiatowych wileńskich. Umarł w r. 1849. Wydał: „Żywot Hieronima Stroynowskiego“ (Wilno, 1839). W wizerunkach i rozstrzygnięciach naukowych (t. XV, str. 148) umieścił odpowiedź na recenzję powyższej pracy. (W. Z.)

3) Tension—znaczy „rozciąganie, rozpięcie“, zaś „l'atten-

Pomimo, że składki roczne i ofiary nadzwyczajne dawały wcale pokaźny dochód, to jednak Towarzystwo Dobroczynności, wbrew memu zdaniu uważało za potrzebne uciekać się do kwestowania, t. j. do swego rodzaju żebrania. Podzielono miasto na cyrkuły i na każdy wyznaczono po dwie panie i dwóch panów. Ci, podczas Wielkiego tygodnia byli obowiązani chodzić od domu do domu i wypraszać jałmużnę od mieszkańców, chociaż z tych ostatnich niektórzy bardziej nadawali się do otrzymywania, aniżeli do dawania. Czy przynajmniej kwestarki i kwestarze istotnie służyli dziełu miłosierdzia? Niestety, działo się przeciwnie. Z małemi wyjątkami wpadali do domów z hałasem, często zanosząc się od śmiechu. Szczególnie panie wyglądały tak, jak gdyby wybrały się na bal, to też niejednokrotnie spotykały się z uwagą, że jeżeli koniecznie chcą służyć dziełu miłosierdzia, to lepiejby zrobiły, gdyby zamiast wspinania się na poddasza, sprzedawały na ten cel swoje kosztowne szale i okrycia.

Żołnierz, stojący na warcie przy drzwiach pałacu generał-gubernatora i mający rozkaz nie wpuszczania nikogo w pewnych godzinach, zagroził kwestarzom drogę. Gdy jednak powiedziały mu, z czem przychodzą, ten pozostając wierny obowiązkowi, wyjął z kieszeni jedną kopiejkę i prosił te panie o jej przyjęcie, co też one bez zarumienienia uczyniły.

Prawdopodobnie działalność Towarzystwa Dobroczynności z czasem zmieniłaby się na lepsze i odpowiedziałaby moim wymaganiom, gdyby na nieszczęście zdrowie jej prezesa nie pogorszyło się znacznie. Biskup od dłuższego czasu cierpiał na zanik i rozszerzenie żył w oku, w którym rozwinął się rak, zaś ten dał przerzuty w wą-

tion“ — uwaga. Frazes tedy można przetłumaczyć dwojako:  
1) Świadcze, że panienka zasługuje na uwagę członków“ i  
2) Świadcze, że panienka zasługuje na to, by jej rozciągnąć członki“.



trobie. Lecząc biskupa wystrzegałem się, aby mu nie sprawić przykrości skargami na instytucję, która mu była drogą i z której pomyślnego rozwoju niezmiernie się cieszył. Przychylności biskupa zawdzięczam również zaufanie jego krewnej wdowy Hetmana Kossakowskiego, powieszono go przez naród podczas rewolucji 1794 r., jako stronnika Rosji. Ośmdziesięcioletnia hetmanowa miała wcale piękny dochód ze swego starostwa. W młodości leczyła się u znakomitego Trallesa i jak relikwie chowała jego recepty, które musiałem wszystkie przeczytać. Pomimo kołtuna żyła jeszcze lat piętnaście.

Towarzystwo wileńskie poniosło bolesną stratę ze śmiercią wojewodziny Chomińskiej, która cieszyła się powszechną miłością i szacunkiem. Padła ona ofiarą trzech jednocześnie chorób, z których każda była śmiertelną, mianowicie suchot płucnych, suchot wątroby<sup>1)</sup> i wodnej puchliny. Widziałem chorą kilka razy na konsultacjach z prof. Jędrzejem Śniadeckim.

Brat tego profesora, astronom<sup>2)</sup> na początku roku został wybrany na rektora. Wraz potem wyjechał z Wilna hr. Ludwik Plater, co było dowodem, że siedział tu dla przeprowadzenia wyborów rektora, od którego bardzo wiele oczekiwano. Hr. Plater proponował mi, abym wziął czynny udział w administracji uniwersytetu i zgodził się zostać dziekanem wydziału lekarskiego, ale stanowczo odmówiłem, ponieważ za mało jeszcze znałem język polski i nie chciałem pozbawić moich kolegów dochodu (300 rs.) do tej posady przywiązanego. Dziekanem został prof. Spitznagel.

Za to przyjąłem, jak już o tem wspominałem, ale bez pensji posadę dyrektora konwiktów dla studentów medy-

<sup>1)</sup> Dzisiejsza medycyna nie zna takiej choroby. Prawdopodobnie była to marskość wątroby, której jednym z objawów jest wodna puchlina (mogły być również porażone nerki), uważana przez Franka za samodzielną chorobę. (W. Z.).

<sup>2)</sup> Jan Śniadecki. (W. Z.).

cyny, kształcących się na koszt skarbowy. Rozkaz otwarcia konwiktów nadszedł nie prędko po rozpoczęciu roku szkolnego, to też przyjęcie pensjonariuszów zostało odłożone do d. 1 września roku przyszłego. Ale ile do tego czasu mogło zajść zdarzeń politycznych, które wszystko w niwecz obrócić mogły!

Bitwa pod Preusisch-Eylau d. 26 stycznia (8 lutego) 1807 r., wygrana, czy też przegrana (jak kto woli) przez Rosjan, miała przynajmniej ten dobry skutek, że armia Napoleona podczas zimy nie mogła zająć Królewca<sup>1)</sup>.

Do Wilna napływało takie mnóstwo chorych i rannych żołnierzy, że sam zrozumiałem, iż w tak ciężkich okolicznościach nie należało korzystać z ulg, przyznanych domom uniwersyteckim, które były wolne od postojów żołnierzy. Praktyczniej tedy było poświęcić jeden dom w całości, aniżeli dopuścić, by korzystano częściowo ze wszystkich. Dom byłego korpusu kadetów był najodpowiedniejszy na urządzenie w nim szpitala. Był on duży, otoczony obszernym dziedzińcem i znajdował się w pewnym oddaleniu od budynków zamieszkałych, co zabezpieczało przed rozpowszechnieniem zarazków. Mojem zdaniem należało, aby Uniwersytet zaproponował ten gmach generał-gubernatorowi. Nie zrobiono tego i p. Korsaków z właściwą mu brutalnością sam zagarnął ten dom, a gdy prof. Malewski nie dość prędko usunął z niego mieszkańców, wojenny gubernator zagroził mu Sybirem. P. Korsakow również zajmował na szpitala wojskowe klasztory, znajdujące się w mieście, chociaż na krańcach tegoż, było kilka, które bardziej do tego się nadawały. Obawiając się, że takie urządzenie szpitali w środku miasta może grozić mieszkańcom zarażeniem się, zaproponowałem Towarzystwu lekarskiemu, aby przed-

<sup>1)</sup> Jeżeli to prawda, że Napoleon był nierad, że zwycięstwo nad Austriakami tak mało go kosztowało, to obecnie powinien być zadowolonym z armji rosyjskiej. (Memoires de Bourienne, t. 7. p. 21).

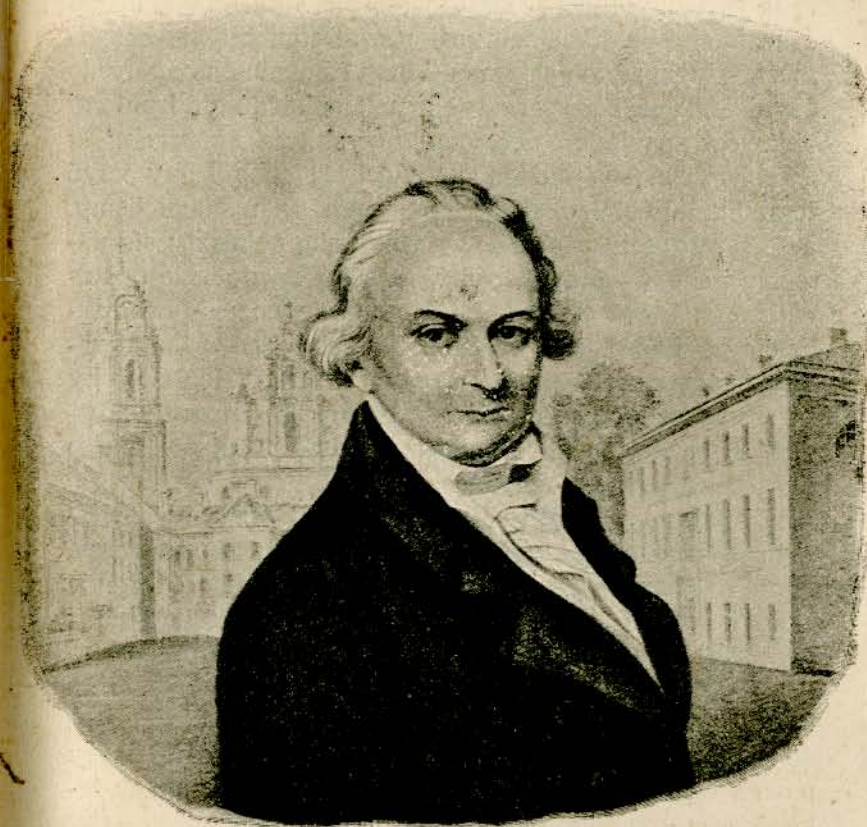


stawilo wojennemu gubernatorowi niebezpieczeństwo takiego urządzania szpitali. Lobenwein był przeciwny mojej propozycji, ze względu na to, że u władz rosyjskich podobne odezwy zwykle są źle widziane. Ale wszyscy inni członkowie i szczególnie p. Śniadecki, byli po mojej stronie. To też on, jako prezes Towarzystwa, a ja jako sekretarz, podpisaliśmy podanie, zredagowane po francusku, w wyrazach jasnych i energicznych. Sądząc, że według reguł gramatyki, rzeczownik użyty w przypadku pierwszym, powinien znajdować się przed rzeczownikami w przypadku trzecim, napisaliśmy: „Towarzystwo lekarskie wileńskie Jego Ekscelencji Panu Generałowi Gubernatorowi Wojennemu Litewskiemu“.

Ekscelencja, zobaczywszy, że jego nazwisko znajduje się w drugim wierszu, wpadł we wściekłość. A jednak już nieraz tak pisaliśmy do ministra spraw wewnętrznych i do kuratora uniwersytetu, i żaden z nich nie uważał tego sobie za uchybienie. Zresztą, ileż to razy czytaliśmy w Monitorze: „Generał brygady do generała dywizji“, albo generał dywizji do głównodowodzącego“. Treść naszego podania doprowadziła p. Korsakowa do ostatecznej wściekłości. Zwrócił nam nasze pismo, jako wysoce nieprzyzwoite i bez daty (którą wystawić na nieszczęście zapomniałem) i oświadczył, że pomimo nieprzyzwoitości, jakiej się dopuściło Towarzystwo, przypuszcza, iż członkowie tegoż będą zdolni obsługiwać szpitale wojskowe, do czego ma zamiar ich użyć<sup>1)</sup>. P. Rimskij-Korsakow, pragnąc jeszcze bardziej poniżyć Towarzystwo, założone na mocy ukazu Cesarza, który nakazał władzom, by się niem opiekowały, nie poprzestał na wspomnianym liście.

<sup>1)</sup> Oryginal tego wysoce charakterystycznego swoją brutalnością listu Korsakowa znajduje się w archiwum wil. Tow. lekarsk. Dosłowną tegoż kopję podałem w mojej książce: „Zarys dziejów Tow. lekarsk.“ Warsz. 1896, str. 297. (W. Z.).

Wezwał do siebie prezesa Towarzystwa, by mu zmyć głowę, a gdy p. Śniadecki próbował tłumaczyć się, Korsakow zagroził mu kibitką, która go na Sybir wywiezie.



**Jędrzej Śniadecki**

profesor chemji.

(Z albumu wileńskiego).

Nie znajdując odpowiedzi na taki argument, p. Śniadecki zamilkł. Wtedy p. wojenny gubernator oświadczył, że przeznaczą go, jako zwykłego lekarza do jednego ze



szpitali wojskowych, urządzonych w mieście. Zaledwie jednak prof. Śniadecki wszedł do szpitala, jak zachorował na tyfus i oddał się pod moją opiekę. Było to w marcu, kiedy zaczynała grasować febra, a że choroba p. Śniadeckiego jeszcze się nie wyklarowała i po znacznych obostrzeniach następował stan prawie bezgorączkowy, zdawało się mnie i jemu samemu, że mamy do czynienia z jedną z form malaryi. Ponieważ nie było ani objawów zapalnych, ani żółdkowych, przy których jest przeciwwskazana quinquina, więc postanowiliśmy użyć tego lekarstwa. Jednak dobrego skutku nie osiągnęliśmy, a że tymczasem choroba wyjaśniła się, pokazały się petechje i chory zaczął bredzić, przeto niezwłocznie odsta- wiłem quinquinę i poprzestałem na łagodzeniu najbar- dziej uciążliwych objawów, pozostawiając poza tem prze- bieg choroby naturze. Był to dopiero 4-ty dzień choroby i byliśmy przygotowani, iż ona będzie się jeszcze wzma- gać. To zwiększanie się gorączki było w planie mego wyczekującego sposobu leczenia.

Zwolennicy metody Browna głośno krzyczeli i obu- rzali się na mnie, że nie daję choremu kamfory, moszusu, eteru i wina. Na czele tych krzykaczy stali doktorowie Becu i Szymkiewicz. Ci panowie zwracali się ze swemi uwagami przedewszystkiem do brata chorego, Jana Śnia- deckiego, który poprosił mnie, abym kurację jego brata prowadził wspólnie z nimi. Zgodziłem się na to w nadziei, że ich przekonam i że w późniejszym stadium choroby można będzie pozwolić na niektóre z ich ulubionych le- ków. Ale zawiodłem się. Ci panowie domagali się, aby natychmiast zastosować środki podniecające, szczególnie wino, a mając przewagę głosów, postawili na swoim. Gdy jednak stan chorego z dniem każdym się pogarszał i wystąpiły utrata świadomości i delirium, wtedy zażą- dałem, aby wezwano na konsylium d-ra Liboszyca. Ten oświadczył, że p. Śniadecki jest nie tylko chory na tyfus, ale także — pijany. Zalecił on zupełnie usunąć wino i znacznie zmniejszyć dawki środków ekscytujących. Na

czternasty dzień nastąpił zbawienny kryzys i niebezpie- czeństwo minęło. Zaszczyt uratowania chorego był przez jego brata przypisany p.p. Becu i Szymkiewiczowi, któ- rzy chwalili się, gdzie tylko mogli, że nie słuchali rad mo- ich i Liboszyca. Co do chorego, ten nie dał się oszukać i był przekonany, że powrót do zdrowia zawdzięcza swe- mu silnemu organizmowi, który skutecznie się oparł i cho- robie i metodzie leczenia.

Gdy podczas rekonwalescencji choremu zechciało się czytać, ja, znając jego upodobanie do poezji włoskiej, posłałem mu „*Novelle galanti dell'abbate Casti*“. Oburzyło to wielce jego brata, który wyrwał książkę z rąk chorego i ogromnie się na mnie rozgniewał.

Ponieważ na podaniu do wojennego gubernatora, o którym wyżej mówiłem, znajdował się także mój podpis, przeto oczekiwałem z jego strony jakiegokolwiek objawu niezadowolenia, tem bardziej, że nie mógł nie wiedzieć, że to ja właśnie byłem autorem podania. Ale omyliłem się. P. Korsaków zbyt dobrze znał dwór, aby miał szu- kać kłótni z synem nadwornego lekarza monarchy. Ukrył on urazę w głębi serca do bardziej odpowiedniego czasu, a tymczasem używał członków Towarzystwa Lekarskie- go, jako lekarzy w szpitalach wojskowych i nawet za- żądał, aby studenci pełnili w tych szpitalach obowiązki felczerów. To rozporządzenie pozbawiło mnie znacznej części uczniów i wpłynęło ujemnie na działalność kliniki. Zresztą i bez tego znaczenie jej zmniejszyło się, ponieważ zwykłe choroby, jakie w niej studentom pokazywałem, nie mogły wytrzymać porównania z niezwyklej przy- padkami, które można było obserwować w szpitalach wojskowych. Wobec tego zaproponowałem Uniwersyte- towi, aby klinikę czasowo zmienić na szpital wojskowy. „Ponieważ, mówiłem, takie szpitale są utrzymywane przez rząd, przeto Uniwersytet tymczasem zaoszczędzi pieniądze, przeznaczone na utrzymanie kliniki, a studenci więcej korzystają pracując pod moim kierownictwem, ani- żeli pod dozorem innych lekarzy, których mało obchodzą



ich postępy w nauce. Uniwersytet przyjął moją propozycję i zawiadomił o tem wojennego gubernatora, który był zachwycony i polecił d-rowi Walzinowi, naczelnemu lekarzowi wojsk litewskich, aby mój projekt jaknajśpieszniej w życie wprowadził. Znając d-ra Walzina, jako człowieka światłego, byłem zadowolony z jego współpracownictwa. Jakoż w prędkim czasie stworzyliśmy wzorowy szpital wojskowy na stu chorych. Podzieliłem mój nowy zakład leczniczy na cztery oddziały i do każdego z nich wyznaczyłem po dwóch najlepszych studentów, którzy byli obowiązani pisać historję choroby, doglądać niższego personelu szpitalnego i pilnować, aby nie było nadużyć ze strony chciwych dostawców. Chorzy niebawem ocenili nasze starania i ich wdzięczność była bezgraniczna. Nieraz podziwiałem, ile serdecznego ciepła kryje się pod szorstką powłoką zewnętrzną tych dzielnych wojaków, których większość była chora na tyfus, na krwawkę i na gorączki przewlekłe, połączone z nieżytem oskrzeli i kiszek. Na te ostatnie choroby szczególnie często zapadali nowozaciężeni, przybyli z głębi Rosji, osłabieni, wyczerpani od zmęczenia i wychudzeni jak szkielety, a niekiedy bardziej podobni do trupów, niż do żywych istot. Ze zdziwieniem uważałem, że żołnierze pułku tatarskiego pokazywali język, gdy mówiłem „lingua“, rozumiejąc to słowo lepiej od rosyjskiego „j a z y k“ (które to słowo oznaczają język).

Jakkolwiek nie mogłem pochwalić się mniejszą, niż w innych szpitalach śmiertelnością, to jednak moja klinika wojskowa wkrótce zyskała tak wielkie uznanie, iż umieszczano w niej przeważnie chorych z gwardji cesarskiej. Nie mogłem na nich narzekać, ale wołałem mieć do czynienia z żołnierzami oddziałów mniej uprzywilejowanych. Nie byli oni, że tak powiem, psuci w petersburskich szpitalach wojskowych, zostających pod opieką samego cesarza, który interesował się losem każdego żołnierza.

Opracowałem dla mego szpitala osobną farmakopeę, bardzo prostą, która tak się podobała p. Walzinowi, iż

wprowadził on ją również do innych szpitalów. Pomimo jednak tej prostoty, ekspedycja lekarska stale ulegała niewybaczalnemu opóźnieniu. Niejednokrotnie skarżyłem się na to p. Walzinowi, który sam nie wiedział, jak na to poradzić. Pewnego razu po wieczornej wizycie w klinice, do której teraz dopiero przyniesiono dla chorych lekarstwa, które powinny były być dostarczone o godz. 9-ej rano, wróciwszy do domu, zastałem p. Korsakowa, ponieważ od czasu do czasu składał on wizyty pani Frankowej. Skorzystałem z tej sposobności, aby pozyskać jego poparcie w usunięciu oburzającego nieporządku. Tak samo postąpiłbym z cesarzem, który z pewnością nie uważałby dla siebie za poniżenie, wtrącenie się do takiej sprawy. Wcale inaczej zapatrywał się na to p. Korsakow, który na moje przedstawienie odpowiedział, że nie może wtrącać się w sprawy, leżące w obowiązku naczelných lekarzy szpitalów.

Dotknięty taką odpowiedzią, odrzekłem:—„Ponieważ moje przedstawienie p. Wilzinowi nie odniosło skutku, nie pozostaje mi tedy nic innego, jak zwrócić się ze skargą do Petersburga“. Słyszając to, generał poczerwieniał i nagle opuścił nas, widocznie rozgniewany. Niewątpliwie przypomniał sobie, że właśnie moim stosunkom w stolicy zawdzięczał list od ministra oświaty, który zalecał mu grzeczne obchodzenie się z członkami Uniwersytetu, ponieważ taką jest wola cesarza.

Z nastaniem wiosny rozeszła się nagle wiadomość, iż na nowo rozpoczęła się akcja wojenna, a wkrótce nadeszła wieść, że Francuzi zajęli Królewiec. Mówił mi o tem hr. Józef Mostowski, jako o rzeczy pewnej.

Około Nowego Roku (1807) hr. Oktawjusz de Choiseul, człowiek 34-letni, przedtem wojskowy, udekorowany krzyżem św. Jerzego<sup>1)</sup>, bardzo bogaty, ale niesłychanie zazdrośny i niespokojnego charakteru, będąc zmu-

<sup>1)</sup> Jest to w Rosji order wojennej zasługi, jak w Polsce krzyż „Virtuti militari“. (W. Z.).



szony dla spraw osobistych wyjechać do Petersburga, polecił mojej opiece żonę i dzieci. — „Bądź Pan nie tylko naszym lekarzem domowym, ale i przyjacielem. Nie opuszczaj Pan mojej rodziny w ciężkich okolicznościach, w jakich może się ona znaleźć, w razie, jeżeli w czasie mojej nieobecności, Litwa stanie się teatrem wojny“. Żona hrabiego, pochodząca ze znakomitego rodu, była kobietą w kwiecie wieku, pięknie zbudowana. Mówiła po francusku, jak rodowita francuska, nawet ładnie śpiewała, posiadała rozum wrodzony, wiele uroku i była udekorowana cyfrą cesarską. Miała jednak hrabina przyzwyczajenie ciągłego narzekania na rozmaite dolegliwości. Cierpiała na migreny za każdym razem, gdy się zagniewała lub rozbawiła. Taki stan jej zdrowia, wymagał częstych moich wizyt, częstszych, niżbym sobie życzył. Bezustannie domagała się lekarstw, ale uważałem je za niepotrzebne. Zaproponowałem jej, by raczej starała się o rozrywkę i zajęła się muzyką. Miało to ten skutek, iż ja i żona moja bardzo często otrzymywaliśmy od hrabiny zaproszenia spędzenia u niej wieczoru. Hrabina Choiseul kilka razy wyrażała przede mną chęć być obecną na jednej z prywatnych sesji Uniwersytetu. D. 1 kwietnia zawiadomiłem ją, że takie posiedzenie odbędzie się w moim mieszkaniu i że ona może być na niem obecną. Hrabina przyrzekła przyjechać, nie podejrzewając, że to zaproszenie było żartem na Prima Aprilis. Urządziłem salon, jak na posiedzenie akademickie. Na fotelu prezesowskim posadziłem kirgiza, służącego hrabiny, prawie dzikiego, o idyotycznym wyrazie twarzy. Ubrałem mego prezesa w piękną togę szkarłatną, obramowaną złotem, taką samą, jakie podczas uroczystości wdziewiają profesorowie Uniwersytetu wileńskiego. Rolę sekretarza pełnił syn pani Choiseul, chłopak ośmioletni, w wielkiej peruce i z piórem za uchem. Tak przybrany ten śliczny chłopaczek wyglądał przepysznie. Akademikami byli dwaj służący, każdy z nich miał wygłosić mowę z zakresu nauki, którą niby wykladał, w których to przemówie-

niach miały być pochwały dla ofiary całej tej mistyfikacji. Posiedzenie jednak zostało przerwane przez napad szału, płaczu i wycia prezydującego. Na razie nikt nie mógł domyślić się przyczyny tej niespodziewanej sceny. Wreszcie zrozumieliśmy, że biedny Mahometanin wyobraził sobie, iż zebraliśmy się, aby zrobić z niego chrześcijanina. Przy kolacji, podczas której panowała szczerza wesołość, zapomnieliśmy o tem zdarzeniu.

### ROZDZIAŁ XIII.

Rok 1807.—Wilno.—Bandy zbójckie.—P. Karp' i chirurg Pajola.—Oblakana hr. Platerowa.—Skapcy.—Topielec.—Dysenterja w Słonimskim i postępek p. Korsakowa.—Poczty litewskie, otwieranie listów.—Jan Śniadecki.—Skandaliczne zachowanie się prof. Tarenghi.—Urządzenie duchownego seminarjum.—Prof. Szule.—Zawalenie się domu.—Wieści z Petersburga.—Śmierć matki i siostry.—Lekarz Tybetańczyk.—Niańka W. księżniczki.

Radość moja, z powodu zwycięstwa, odniesionego d. 29 maja (10 czerwca) przez gen. Bennigseną nad armją nieprzyjacielską, która atakowała Heilsberg, była, niestety, krótkotrwała. Wiadomość o bitwie pod Friedlandem 2 (14) czerwca zniszczyła moje nadzieje, pomimo nawet zwycięstwa kawalerji rosyjskiej nad kawalerją generała de Lasnes.

D. 6 (18) czerwca armja Napoleona stanęła nad Niemnem, a w pięć dni potem nastąpiło zawieszenie broni, właśnie w chwili, gdy Schill i Blücher niepokoiili tyły armji nieprzyjacielskiej i kiedy od Austrii spodziewano się wystąpienia na korzyść Rosji. D. 13 (25) tegoż miesiąca odbyło się historyczne spotkanie dwóch cesarzów, poczem Aleksander podpisał traktat, którym nie tylko uznawał Napoleona za cesarza Francuzów, ale i braci jego Ludwika, Hieronima i Józefa królami Holandji, Westfalji i Nea-



polu. Zgodził się również na utworzenie Księstwa Warszawskiego, na wycofanie swych wojsk z Catarro, z wysp Jońskich i z Wałachji, oraz na zamknięcie dla Anglii rosyjskich portów handlowych. Za tyle ustępstw zwycięzca oddał zwyciężonemu część spuścizny po królu pruskim, swoim najwierniejszym sprzymierzeńcu (Obwód Białostocki).

Bennigsen, który w tym czasie przyjechał do Wilna, aby tu zażyć spokoju, powiedział mi pewnego razu, podczas przechadzki nad Wilją, w jego uroczym Zakrecie: — „Gdybym mógł przewidzieć podobne postąpienie cesarza, z pewnością nie starałbym się utorować mu drogi do tronu; alboż nie pozostawało mu.... w razie, gdyby nieprzyjaciel nadszarpnął jego i zagroził stolicom“.

Uspokojenie Litwinów w końcu roku przeszłego nie uległo zmianie i w roku bieżącym i nawet obecność w Wilnie jeńców francuskich, w których liczbie był niezwykle miły p. de Marboeuf, potomek sławnego gubernatora Korsyki, nie wywołało żadnych zamieszek. Wpłynęło na to przekonanie, że Napoleon sam, bez ich pomocy odbuduje Królestwo Polskie i chociaż zawiedli się, gdy zamiast królestwa utworzono Księstwo Warszawskie, to jednak pocieszali się nadzieją, iż to jądro Ojczyzny z czasem się rozrośnie. Ludzie rozsądni czekali cierpliwie, uważając, że los nowego księstwa warszawskiego wcale nie jest godny zazdrości.

Zupełne zburzenie mądrej gospodarki pruskiej<sup>1)</sup>, na-

<sup>1)</sup> Departament medycyny nie stanowił wyjątku. D-r G. Ch. Arnold z Warszawy w swoich komentarzach do publikacji (*Directio suprema medica Ducatus Varsaviensis medicus hujus provinciae incitat ad alacriter peragenda munera Varsaviae MDCCCVII*), przyznając, że od czasów Zygmunta Augusta w Polsce zapomniano o kwestji medycznej (*a morte enim hujus ultimi hereditarii regis, res medica videbatur oblivioni tradita*), wieszował sobie, że po zrzuceniu jarzma cudzoziemskiego (*jugo hoc peregrino rejecto*), kraj ten przestanie wzorować się na urządzeniach obcej narodowości o od-

głe usunięcie wszystkich urzędników Niemców, bez możliwości ich zastąpienia, oddanie najlepszych majątków skarbowych marszałkowi Davoust (który był faktycznym królem, gdy król saski był w gruncie rzeczy tylko manekinem), liczba wojska nie odpowiednia do sił kraju, i t. d., oto, co się oczom Litwinów przedstawiało. Gdyby nie zerwali oni stosunków handlowych z Anglią, mogliby z politowaniem patrzeć na swych sąsiadów, ale obecne położenie Litwy było prawie również złe, jak i Księstwo Warszawskie. Pieniądz z dniem każdym stawał się coraz rzadszy, a upadłości coraz częstsze. Obywatele ziemscy częstokroć oddawali swe posiadłości na eksdywizję, t. j. swoim wierzycielom, a produkty wiejskie sprzedawano na targach za pół ceny. Na drogach publicznych, niegdyś zupełnie bezpiecznych, teraz grasowali złodzieje. Jedna podobna banda, złożona ze zbiegów wojskowych, żydów i hultajów rozmaitej narodowości, operowała w okolicach Wilna w górach Antokolskich, porośniętych lasami sosnowymi<sup>1)</sup>. Bandyci posunęli śmiałość do tego stopnia, że w biały dzień przeciągali ulicami miasta z bronią w rękę i łupem. Był to długi szereg wozów, eskortowanych przez dwustu bandytów dobrze uzbrojonych. Żołnierze, stojący na warcie przy bramie miejskiej, pozwolili bandzie przejść ulicami miasta, sądząc, że to jeden z oddziałów armji. Przedefilowała ona nawet przed odwachem i nie wiele brakowało, aby jej oddano honory wojskowe. Dopiero w parę godzin po tym przemarszu, dowiedziano się, co to byli za ludzie. W obawie, aby

miennym języku i obyczajach (*ad modum aliaegentis quacum in more loquendi et vivendi differemus*) i że nakoniec zostanie on urządzony według praw odpowiednich dla Polaków (*patriae nostrae sub legibus reviviscentis ut Polonorum res medica ordinaretur legibus Polono necessariis*). Czy naprawdę było możliwe, aby Prusacy nie pomyśleli o rozporządzeniach lekarskich, o czystości i trzeźwości?

<sup>1)</sup> Banda ta ukrywała się w górach Ponarskich, a nie Antokolskich, jak mylnie podaje Frank. (W. Z.).



bandyci nie napadli w nocy na miasto, zdwojono warty, a właścicielom domów rozkazano, aby przy bramach do rana stali na warcie stróże, którzy powinni byli zatrzymywać przechodniów okrzykami: „kto idzie?“ Ostatecznie usiłowaniam naszego policmajstra, Piotra Szłykowa, udało się jeżeli nie wyłowić bandytów, to przynajmniej ich rozproszyć, za co otrzymał krzyż św. Włodzimierza 4-tej klasy. A tymczasem kurjerzy austriaccy, jadąc z Wiednia do Petersburga, wybierali inną drogę, mianowicie na Mińsk i Białoruś. Ta zmiana była dla mnie bardzo przykra, ponieważ ci panowie, mając zwyczaj zatrzymywać się u mnie dla wypoczynku, chętnie podejmowali się doręczania moich listów i posyłek w obu stolicach.

Znakomity Hufeland znajdował się w Memlu<sup>1)</sup>, razem z panującą rodziną pruską, której był lekarzem nadwornym. To sąsiedztwo zachęciło mnie do napisania do niego listu, na który otrzymałem bardzo serdeczną odpowiedź<sup>2)</sup>.

Otrzymane przeze mnie w tym czasie dyplomy na członka Towarzystwa badaczy przyrody w Moskwie i wydziału Medyko-chirurgicznego w Lucja, były dowodem, że pamiętano o mnie w dwóch, daleko od siebie leżących krajach. W Wilnie tem łatwiej można było być zapomnianym, iż przez to miasto bardzo rzadko przejeżdżali uczeni. Odwiedził je jednak d-r Labaud, człowiek wybitny i znany ze swych podróży z p. Kruzensternem naokoło świata. Spędziłem w jego towarzystwie dni kilka, które mi na zawsze pozostaną w pamięci.

Przybył również do Wilna Pajola dla dokonania operacji litotomji<sup>3)</sup> u p. Karpia. Zmartwiony zgubieniem w

<sup>1)</sup> Klajpeda nad morzem Bałtyckim nad granicą rosyjską.

<sup>2)</sup> Nie podaję tego listu, cytowanego w pamiętnikach, jako nie zawierającego nic interesującego. (W. Z.).

<sup>3)</sup> Litotomia jest to usunięcie kamienia z pęcherza przez cięcie, litotripsia przez skruszenie kamienia wewnątrz pęcherza. (W. Z.).

drodze jednego buta, wezwał on szewca nie dla zrobienia nowej pary, ale dla dania towarzysza pozostałemu butowi. Pajola postąpił tak wcale nie dla braku pieniędzy, ponieważ posłuchał mojej rady i przed wyjazdem z Włoch kazał sobie wypłacić dwa tysiące dukatów. Pan Karp' nie uszanował tajemnicy mego listu, który oddałem jego plenipotentowi dla wręczenia d-rowi Pajoli; otworzył kopertę i dowiedział się o mojej radzie, co go tak rozgniewało, iż oświadczył chirurgowi, że ja już nie jestem jego lekarzem. — „W takim razie nie mógłbym dokonać operacji bez d-ra Franka“. Wobec tego p. Karp' spuścił z tonu i przysłał mi 300 dukatów, prosząc o przyjechanie. Dzień operacji został wyznaczony, ale, gdy chcieliśmy związać pacjenta, odwaga opuściła go i błagał on o odłożenie operacji. Pajola przystał na to nie tylko teraz, ale jeszcze trzy razy potem, gdy chory nie mógł się zdecydować na operację, zapowiedział jednak profesor, że, jeżeli i poraz czwarty operacja nie dojdzie do skutku, wtedy wyjedzie niezwłocznie, ale zażąda, aby mu zapłacono umówione trzy tysiące dukatów, ponieważ termin oznaczony w umowie już upłynął. Przy czwartej próbie p. Karp'owi znowu zabrakło odwagi i żądał on odłożenia operacji jeszcze na miesiąc, za co proponował 400 dukatów ponad umówione honorarium. P. Pajola nie odmówił przyjęcia tego wynagrodzenia, również, jak następnych (z powodu ciągłego przedłużania jego pobytu), które dosięgły pokaźnej sumy 4 tys. dukatów. Przystał również na pensję dożywotnią w razie, gdyby utracił posiadłość w Wenecji. To znaczy, że p. Pajola wynalazł kamień filozoficzny. Dwa lata spędzone w Wilnie przez znakomitego chirurga, pozwoliły mi korzystać z jego wiedzy, szczególnie chorób dróg moczowych, które wystudjował gruntownie. Ze swej strony przekonałem go, że i mnie nie były one obce, dzięki lekcjom mego ojca . . .

W tym czasie zostałem wezwany przez hr. Platę do jego żony, z domu Karp'ówny, która dostała obłąd.



Już od dziewięciu dni odmawiała przyjmowania pokarmu i nawet napojów. Tylko w chwilach omdleń, które były następstwem zupełnego wyczerpania, udało mi się zmusić ją do przełknięcia kilku łyżek buljonu. Wkrótce chora odzyskała apetyt, ale inne objawy trwały w dalszym ciągu. Pewnej nocy wstałem i udałem się do pokoju hr. Platerowej, aby się przekonać, czy dobrze jest obsługiwana. Zastałem obie dozorcynie śpiące, zaś chorą spokojniejszą, niż zwykle. Hrabina, ujrawszy mnie, rzekła tonem błagalnym: — „Niech mi pan rozwiąże ręce“. Zamiast odpowiedzi, spełniłem jej prośbę i usiadłem przy łóżku. Po jakimś czasie chora serdecznie poprosiła mnie, bym się do niej przybliżył, co też uczyniłem. — „Jeszcze troszkę“. Ale jak tylko schyliłem się ku niej, podniosła rękę, chcąc mi wymierzyć policzek. Na szczęście udało mi się odparować uderzenie. Wówczas hrabina spoglądając na mnie podejrzliwie, zapytała: — „Cobyś pan zrobił, gdyby mi się udało uderzyć pana w twarz?“ — „Odwzajemniłbym się, i to nawet z naddatkiem“. Chora posmutniała i wreszcie płacząc rzewnie, rzekła: — „O, nie, znana jest pańska ludzkość, aby kobieta tak nieszczęśliwa, jaką ja jestem, miała obawiać się z pańskiej strony podobnego postępu“.

Podczas mego powtórnego przyjazdu do hrabiostwa Platerów, spotkałem tam siostrę chorej, hr. Tyszkiewiczową, żonę bogacza. Małżeństwo to słynęło ze skąpstwa. W czasie przechadzki z nią i z dziećmi, weszliśmy na prześliczną łąkę. Małeństwa rozpoczęły gonitwę, ale matka zabroniła im tej niewinnej rozrywki. — „Dla czego pani zabrania dzieciom biegać, przecie to bardzo zdrowo“.

— „Tak, ale zniszczą buciki!“

Muszę tu zaznaczyć, że skąpstwo spotyka się u Polaków rzadko. Ale, ponieważ Polacy we wszystkim są skłonni do przesady, przeto, gdy który z nich jest skąpy, to już nie zna granic.

Pewien zamożny obywatel ziemski w obawie, aby

przejezdni nie prosili go o gościnność, zasiał zboże dokoła samego domu, pozostawiając dla własnego użytku wąziutką i dobrze ukrytą ścieżkę. Ten sam obywatel, obawiając się, aby go w odludnym domu nie napadli złodzieje i chcąc ich przekonać, że ma liczną służbę, naszył kilkanaście rękawów rozmaitych kolorów i form i kazał swemu jednemu służącemu wkładać coraz, to nową parę rękawów za każdym razem, gdy go zawoła, lub cokolwiek z okna wyrzuci, a to w tym celu, aby myślano, iż ma na usługach lokajów, strzelców, kozaków i t. d. Nie będąc jednak przekonany, że ta maskarada będzie skuteczną na złodziejów środkiem, długi czas nosił się z zamiarem nabycia psa, ale rozważywszy, że karmienie zwierzęcia pociągnie za sobą wydatki, wołał obejść się bez psa i sam pełnił jego służbę, chodząc w nocy dokoła domu i czekając.

Złożony chorobą wezwał lekarza, również jak sam, skąpego. Po wyzdrowieniu kazał napełnić wodą źródlaną tuzin butelek od wina szampańskiego, które zakorkowawszy i zasmoliwszy, posłał swemu lekarzowi, będąc pewny, że ten je złoży w piwnicy, nigdy zawartości nie spróbuje i nie dowie się, że został oszukany. Jakoż istotnie w lat kilkanaście potem, po śmierci owego lekarza, znaleziono wszystkie co do jednej butelki nietknięte. Spadkobiercy zachwyceni znalezionym skarbem, pośpieszyli wypić za zbawienie duszy nieboszczyka. Można sobie wyobrazić, jakim było ich rozczarowanie.

O propos wody. Używając pewnego wieczora letniego przechadzki w czarującej dolinie Popław nad brzegiem Wilenki, ujrzałem tłum ludzi, idący za noszami, na których leżał trup, którego ubranie, znalezione na brzegu rzeki, wskazywało, że topielec był oficerem gwardji cesarskiej. Zatrzymałem nosze i zastosowałem najzwyczajsze sposoby ratowania topielców. Niebawem moje usiłowania odniosły skutek pożądaný, jednak wywiązało się zapalenie płuc. Po puszczeniu krwi mój pacjent, p. Jan Wiessen, wkrótce wyzdrowiał i wyjechał do Moskwy, nie ra-



czywszy nawet pożegnać się ze mną. Niedługo potem poczta zawiadomiła mnie, że otrzymano na moje imię posyłkę na tysiąc rubli. Był to kosztowny pierścień brylantowy, a przy nim list z wyrazami serdecznej wdzięczności.

Ciężkiej chorobie generała adjutanta Kamińskiego zawdzięczam zaszczyt poznania tego wojaka, w którym cesarz Aleksander mniemał, że znajdzie talenta wojskowe Napoleona. Ale p. generał, jako głównodowodzący armią rosyjską, zawiódł pokładane w nim nadzieje, szczególnie podczas oblężenia Ruszczuku. Był to jednak człowiek rozumny.

Gdy w okolicach Słonima wybuchła epidemia dysenterji, o groźnych objawach, p. Korsakow sądził, że ma prawo rozkazać Uniwersytetowi posłać jednego ze swych członków dla walki z chorobą. Pomimo, że rok szkolny już się rozpoczął i wszyscy profesorowie byli zajęci, jednak Uniwersytet uwzględnił żądanie generał-gubernatora i wydelegował w Słonimskie swego asystenta d-ra Błaszczukiewicza. Ta jednak powolność nie zadowoliła ekscelencji, który wkrótce potem zażądał, aby do pomocy lekarzowi posłano kilku studentów medycyny. Ponieważ konwikt skarbowy jeszcze nie był otwarty, przeto trzeba było zwrócić się do studentów, utrzymujących się własnym kosztem i przekonać ich, że, jeżeli nie pojedą dobrowolnie, to zostaną zmuszeni do tego przez generał-gubernatora. O całej tej sprawie napisałem do ojca, dodając te słowa: „Któż zechce studjować medycynę w Wilnie, jeżeli nie będzie miał pewności, że studja nie zostaną przerwane i jeżeli będzie miał przed sobą perspektywę wysłania przez generał-gubernatora tam, dokąd mu się zamarzy? Ale i my, profesorowie, nie w lepszym znajdujemy się położeniu, gdyż pomimo zaręczenia cesarza, że będziemy zależni tylko od ministra oświaty i kuratora, jesteśmy zmuszeni nawet w czasach pokojowych służyć rozkazów, dyktowanych przez gubernatora wojennego“.

Otwartość, z jaką pozwalałem sobie pisać, mogłaby podać powód do sądenia, że w Rosji była szanowana tajemnica korespondencji. Ja osobiście istotnie byłem w położeniu uprzywilejowanem, ponieważ dyrektor poczt, zdecydowany wróg p. Korsakowa, zwykł sam opiekiwać się memi listami, w których skarżyłem się na wielkorządę. Ale w ogólności otwieranie listów było tak powszechne, że leczyłem kilku urzędników pocztowych od kolek, wywołanych bezustannem dotykiem ołowiu, używanego do robienia odcisków pieczęci.

Operacji cięcia cesarskiego dokonywano nie tylko na listach osób podejrzanych o nieprawomyślność pod względem politycznym. To samo robiono z listami miłośnemi, w których lubiła rozczytywać się piękna baronowa Rosen, żona sekretarza zarządu poczty.

Pocztyljoni, t. j. roznosiciele listów, umieli odczytywać tylko adresy rosyjskie, to też listy adresowane po francusku, lub po niemiecku, wręczali każdemu, kto tego sobie życzył, prosząc, by sam szukał listów do siebie adresowanych. Tym sposobem, pomimo, iż pobierano opłatę za odnoszenie listów, każdy mógł się zapoznać z korespondencją swoich bliźnich.

Gdy w końcu roku p. Korsakow wybierał się do Petersburga, szlachta litewska wydała mu obiad pożegnalny, na który z członków Uniwersytetu zaproszono tylko rektora i mnie.

P. Jan Śniadecki na początku swego urzędowania wcale nie wykazał tej energii, jakiej się po nim spodziewano. Nie udało mu się również zmniejszyć mego wpływu na księcia kuratora. Czyelnicy zapewne przypominają sobie, że na moją prośbę został utworzony komitet w celu opracowania szczegółowego regulaminu dla Uniwersytetu i że w tym Komitecie największy udział brałszy ja i p. Jędrzej Śniadecki<sup>1)</sup>.

Póki urząd rektora piastował p. Stroynowski, zawsze

1) Ob. rozdział X.



byliśmy w zgodzie, gdy chodziło o ograniczenie władzy rektora, ale gdy po nim nastąpił p. Jan Śniadecki, brat jego zaczął twierdzić, iż rektor powinien mieć ręce rozwiązane, aby mógł z korzyścią działać dla dobra Uniwersytetu. Sam nowy rektor do tego stopnia uznawał tę zasadę, że, jak tylko stanął na czele Uniwersytetu, niebawem rozwiązał komitet. Zniosłem skargę do kuratora, który rozkazał, aby komitet wznowiono.

Postępowanie księdza Tarenghi było tak skandaliczne, że poruszyło ono nie tylko Uniwersytet, ale i całe miasto. Ten profesor, będąc zupełnie pijanym, pobił się z mojami praczkami na wspólnym naszym dziedzińcu i usiłował podpalić ich mieszkanie. Napisałem o tej awanturze do kuratora, prosząc, aby, jeżeli nie będzie uważał za słuszne usunąć takiego pana z Uniwersytetu, to przynajmniej, aby raczył uwolnić mnie od tak nieprzyjemnego i niebezpiecznego sąsiada. Kurator przystał na moją pierwszą propozycję i p. Tarenghi powrócił do Rzymu, co uczynił tem chętniej, iż zwrócono mu koszta podróży i wypłacono roczną pensję.

Po odjeździe ks. Tarenghi, zawakowała katedra literatury łacińskiej. Rektor chciał obsadzić ją jedną ze swych kreatur, ja znowu radziłem dodać 150 dukatów p. Grodkowi, profesorowi języka greckiego, z tem, aby wykładał i literaturę łacińską. Tłómaczyłem, że Uniwersytetowi pozostanie połowa pensji do tej katedry przywiązanej i oswobodzi się mieszkanie profesora, a także nie trzeba będzie z czasem płacić emerytury. Nadto taka kombinacja polepszyłaby los gorliwego profesora, którego skromna pensja zaledwie wystarczała na życie. Wychowaniec szkoły getyngeskiej z łatwością podołałby dwóm wykładom dziennie. Mój projekt podobał się kuratorowi i tem bardziej p. Grodkowi, który został profesorem greckiego i łaciny.

P. Borsukowi, po otrzymaniu przez niego stopnia doktora medycyny, polecono, jako adjunktowi, wykłady prawa i policyi lekarskiej. Wiadomo było, że te wykłady

nie potrwają długo, ponieważ był on w ostatnim stopniu suchot. Jakoż umarł wkrótce w Badenie pod Wiedniem. Na wakującą katedrę rektor zaproponował p. Becu, profesora fizjologii. Ponieważ był on uosobieniem lenistwa, więc zaklinałem rektora, by nie powierzał mu jeszcze jednej katedry, na którą lepiej już było mianować prof.



**Paweł Tarenghi**

profesor literatury rzymskiej.  
(Ze zbiorów Wileńsk. Tow. lekarsk.).

Lobenweina, profesora anatomji. Ten ostatni przynajmniej posiadał wiadomości potrzebne dla dokonywania sądowo-lekarskich sekcji trupów. Moja rada została przyjęta i pensję tego profesora z 1500 rs. zwiększono do 2000 rs.

Za to p. Jan Śniadecki, po podróży do Petersburga, miał to zadowolenie, że otrzymał od cesarza były klasztor Augustjanów, dla urządzenia w nim seminarjum du-



chownego<sup>1)</sup>. Gmach był obszerny, co dało możność ulokowania w nim profesorów teologii, przez co oswobodziło się kilka domów uniwersyteckich. W tym czasie rektor sprowadził z Krakowa kaznodzieję ks. Chodaniego. Opowiadał, jako o rzeczy nadzwyczajnej, iż wygłaszał on kazania z pamięci, a nie odczytując ich z kajetu.

Seminarjum duchowne, urządzone na wzór mego konwiktu, było utrzymywane na koszt skarbu. Dostarczyło mi ono 30 uczniów, z których dwóch już od roku własnym kosztem studjowało medycynę. Zaledwie ulokowałem tych młodzieńców w klasztorach, gdy jeden z nich<sup>2)</sup>, mieszkający w klasztorze Franciszkanów, w noc ciemną przyjął za schody zrujnowane i otwarte okno sięgające posadzki na 2-giem piętrze, wypadł, złamał sobie obojczyk i potłukł głowę i piersi. Franciszkanie tłumaczyli się tem, że zabezpieczyli okno sztachetami, ale te zabrali żołnierze w czasie, gdy w klasztorze był urządzony szpital wojskowy. Młody człowiek jednak wkrótce wyzdrowiał i był jednym z najlepszych moich uczniów. Tegoż dnia, gdy miało miejsce to nieszczęście, stało się również inne, ale daleko większe.

P. Szulc, profesor architektury, rozpoczął na rogu ulicy Niemieckiej budowę trzypiętrowego domu<sup>3)</sup>. Ten, przed samym ukończeniem budowy, rozpadł się na dwie strony, przy czem został zabity jeden przechodzień, a dwaj inni ciężko poranieni. P. Korsaków nakazał dochodzenie śledcze, aby wyjaśnić, ile w tym nieszczęśliwym wypadku było winy budowniczego. Uznano go za niewinnego i całą odpowiedzialność zwalono na biednych murarzy.

<sup>1)</sup> Na rogu ul. Sawicz i Bakszty przy kościele Augustjanów. Potem była tu Akademia duchowna. Obecnie mieści się w tym gmachu prawosławna szkoła duchowna. Kościół przerobiono na cerkiew. (W. Z.).

<sup>2)</sup> Chrzczonowicz (przyp. prof. M. Homolickiego).

<sup>3)</sup> Dzisiejszy dom hotelu Europejskiego na rogu ul. Dominikańskiej i Niemieckiej. (W. Z.).

Atoli publiczność nie dała się oszukać tym wyrokiem, który, gdyby nie był stronnym, powinien był pozabawić p. Szulca prawa praktykowania w swym zawodzie i przez to zapobiegłby innym nieszczęśliwym wypadkom, o których powiem później.

W tym czasie otrzymałem z Petersburga niepomyślne wiadomości o stanie zdrowia mego ojca. Oczyszczenie się z lodu Newy, które od r. 1718 zwykle następowało nie później, jak 26 kwietnia (8 maja), w tym roku opóźniło się o dwa dni, chociaż d. 29 kwietnia nad Petersburgiem szalała burza. Termometr aż do d. 20 kwietnia nocami pokazywał 8—9° mrozu. Postrzegano sporo przypadków apopleksji, od której między innymi umarł p. Murawjew, kurator Uniwersytetu Moskiewskiego. Jeszcze d. 8 maja na Newie płynęła kra, a w parę dni potem spadł obfity śnieg. To też port wasileostrowski mógł być otwarty dopiero 15 maja, a było wtedy tak zimno, że ludzie chodzili w futrach. D. 16 (28) lipca po niebywałych upałach był na drodze do Peterhofu przymrozek, który zniszczył kapustę, bób i kartofle; d. 2 (14) października spadł pierwszy śnieg, a d. 8-go tegoż miesiąca, już wisiały z dachów sople lodowe, długie na stopę. D. 27 marca (8 kwietnia) już niebezpiecznie było przeprować się na drugą stronę Newy w powozach, a że mój ojciec nie znosił jazdy w małych saneczkach, więc musiał przerwać lekcje w Akademji medyko-chirurgicznej. Z rozporządzenia d-ra Wylięgo stracił on 34 uczniów, powołanych do służby w armji. Żadnego skutku nie odniosły przedstawienia mego ojca, że ci studenci byli dopiero na czwartym kursie i jeszcze nie ukończyli nauk. Niedługo potem Akademia otrzymała rozkaz naznaczenia posiedzenia w celu przyznania stopnia Doktora Medycyny p. Wolańskiemu, który napisał książkę p. t. „Diss. physico - medica de reformatione theoriae medicae et physicae antepicio philosophiae naturalis ineunte“. To dziełko, pisał mi ojciec, ma na celu rozpowszechnienie w Rosji t.zw. filozofji naturalnej. Niema ta-



kich oszczerstw, jakichby nie rzucano na myślących inaczej. Ponieważ Rada Medyczna przyznała dysertację, należało ją przyjąć. Ale któżby zechciał występować z krytyką pracy, której języka mistycznego nikt nie był w stanie zrozumieć?”

Gdy umarł w 80-tym roku życia baron Asch, dziekan Rady Medycznej, jego miejsce, w myśl umowy, powinien był zająć mój ojciec, ale przewidując, jak wiele kłopotów przysporzyłby mu nowy obowiązek i jak mało pożytecznego możnaby było zrobić, ojciec zawiadomił ministra spraw wewnętrznych, iż zrzeka się swego prawa do tej posady. Wtedy został wybrany d-r Walerian. . . . .

W tym czasie w rodzinie cesarskiej wydarzyły się dwie choroby, które jednak skończyły się pomyślnie. Cesarzowa Elżbieta dostała mocnego i uporczywego kaszlu, zaś u jej dziecka rozpoczęło się ciężkie ząbkowanie. Jej Cesarska Mość, sama ledwo powracająca do zdrowia, we dnie i w nocy czuwała nad chorem maleństwem i wykazała anielskość swego charakteru. Chcąc oszczędzić memu ojcu wstępowania po kilka razy dziennie na schody i przebiegania korytarzy, cesarzowa bardzo często zatrzymywała go na obiad i wieczerzę. Zdając mu w nocy sprawozdanie ze stanu zdrowia córeczki, zwykle prosiła go, aby nie wstawał z łóżka i nie fatygował się do swej pacjentki, bo wszystko szło dobrze. Jak tylko malutka wróciła do zdrowia, kazano jej wręczyć memu ojcu tabakierkę, ozdobioną brylantami. — „Pięknem jest, pisał do mnie ojciec, to przyzwyczajanie członków rodziny cesarskiej już od kolebki do uczuć szlachetnych“.

Aby dać dowód, jak bardzo wynalazek Jennera zaszkodził lekarzom pod względem materialnym (trzeba jednak oddać im sprawiedliwość, iż pomimo wszystko starali się oni go rozpowszechnić), zaznaczę tylko, że lekarz, który niegdyś kierował leczeniem ospy u dziecka z rodziny cesarskiej, otrzymał za to 10 tysięcy rubli, gdy

tymczasem memu ojcu za zaszczepienie pod jego kierunkiem krowianki W. Książniczce Elżbiecie, ofiarowano pierścień wartości 600 rs.

Za to hr. Szeremietjew zapłacił mu dwa tysiące rubli za wyleczenie córeczki od róży w głowie i oprócz tego darował mu piękny powozik, który omal nie stał się przyczyną śmierci mego ojca. Podczas przejazdu z miasta na wyspę aptekarską, złamała się oś w powozie i powóz się przewrócił. Woźnica, jak martwy, wypadł na bruk, a ojciec otrzymał uderzenie w głowę. Z wielką trudnością wydobyto go z pod powozu, co zawdzięczał kilku znajomym Niemcom, bo tłum, który się zebrał na miejscu wypadku, wcale z pomocą nie śpieszył. Oni również podjęli woźnicę i zanieśli go przed drzwi sklepu jakiegoś kupca Rosjanina, który, sądząc, że ma przed sobą trupa, nie pozwolił go wnieść do sklepu. Zapytany o przyczynę, odpowiedział: — „Ponieważ policja nie dałaby mi spokoju badaniami i musiałbym się jej opłacać“.

Niedługo potem na ojca spadły ciosy moralne, trudniejsze do zniesienia, niż otrzymany cios fizyczny; mianowicie otrzymał on wiadomość, iż w Gracu zmarła jego żona. Z tego powodu pisał do mnie:

„Dwadzieścia lat mojej cierpliwości względem waszej matki są dostatecznym dowodem mego do niej przywiązania. Przywiązanie to, osłabione przez jej napady szalonego gniewu, wróciło, gdy się dowiedziałem o grożącym jej niebezpieczeństwie. Tylko wspomnienie wszystkiego, co zrobiłem, by osłodzić jej los, koi moją boleść. Co prawda, życie jej było nieszczęśliwe i wyzwolenie przez śmierć było pożądane. Drogi Józefie, znasz dobrze moje serce i zrozumiesz, jak bardzo nad tą stratą boleję“.

Strasznym ciosem dla ojca była śmierć mojej siostry Elżbiety, która umarła d. 19 marca n. st., to jest tego samego dnia, co mój brat.

„Dzień moich urodzin, pisał mi ojciec, jest dniem śmierci. Pocóż przyszedłem na świat?“ Elżbieta, wsku-



tek przeziębienia zachorowała na gorączkę nerwową, do której przyłączyła się woda w piersiach, jak to się często zdarza u osób ułomnych. D-r Weickand i Ellisen z całym oddaniem się pomagali memu ojcu w prowadzeniu kuracji chorej. Cesarzowa okazała wiele współczucia w jego nieszczęściu. Postanowiono usunąć ojca z domu, aż do skończenia obrzędu pogrzebowego. Według zwyczaju rosyjskiego, trumna była przykryta różowym aksamitem ze złotymi galonami i z wypisanym złotem czterowierszem niemieckim.

Te liczne zmartwienia w połączeniu z drobniejszymi przykrościami<sup>1)</sup>, tak podkopały siły ojca, iż uległ szkolidowemu wpływowi zimy. Już d. 22 października zapadł na ciężką gorączkę, od której był starannie leczony przez p.p. Weickanda i Ellisena. Zaledwie wrócił do zdrowia, gdy spotkało go nowe zmartwienie. Wiadomo, że mój ojciec patrzył na swych uczniów, jak na własne dzieci. Szczególne względy okazywał tym, którzy znajdowali się w Petersburgu zdala od ojczyzny. Do tych ostatnich należał Tschut-tum-Lama, lekarz i kapłan religii Dalaj-Lamy, rodem ze stepów mongolskich, należących do cesarza chińskiego. Młody człowiek przywiązał się do d-ra Rehmana, lekarza poselstwa rosyjskiego, które miało udać się do Chin. Gdy się dowiedział, że to poselstwo miało zawrócić z drogi, prosił, by mu pozwolono do niego się przyłączyć. Na zapytanie, co go skłania do odbycia podróży do Petersburga, wyznał, iż pragnie poznać europejskie metody leczenia ospy i chorób wenerycznych, które czynią w jego ojczyźnie straszne spustoszenia i dodał, że poznawszy te sposoby leczenia, będzie mógł z pożytkiem służyć swemu krajowi i zająć w nim wysokie

<sup>1)</sup> Pomiedzy pacjentami ojca była sławna śpiewaczka i artystka teatru francuskiego panna Phillis. Gdy cesarz dowiedział się o jej chorobie posłał do niej Wyliego, który sam bez porozumienia się z moim ojcem zapisał chorej unęję nastoju makowca (elixir. paregoricum). Podobnie postąpił on i u hr. Komorowskiego, którego stale leczył dr. Crichton.

stanowisko. Ambasador, hr. Golicyn, uwzględnił jego prośbę i Tschut-tum-Lama czule pożegnał krewnych i przyjaciół. Oddany pod opiekę d-ra Rehmana, przybył szczęśliwie do Petersburga.

Trudno sobie wyobrazić wrażenie, jakie ta wielka i wspaniała stolica zrobiła na synu stepów, który dotąd widywał tylko chaty i namioty. D-r Rehman przedstawił memu ojcu swego pupila, który miał na sobie ubiór narodowy: futro, sięgające kolan, a na tem długi jedwabny chałat chiński, wyszywany w złote kwiaty. Na nogach miał rodzaj trzewików pilśniowych, o długich i ostrych nosach i grubych podszwach drewnianych. Głowa jego była ogolona, za wyjątkiem kosmyka włosów. Jej okrycie stanowił lakowy kapelusz chiński, ozdobiony gałkami szklanymi i dzwoneczkami, oraz pawiem piórem, jako oznaką wolnego i wysokiego rodu.

Wszedłszy do sali, złożył on według wschodniego obyczaju głęboki ukłon. Ojciec mój przyrzekł poczynić odpowiednie starania, aby go przyjęto do Akademii medyko-chirurgicznej. Cesarz na przedstawienie hr. Koczubeya chętnie mu tę łaskę zrobił. Tschut-tum-Lama miał lat 30, wzrost mierny i rysy mongolskie, t. j. czoło płaskie, wydatne kości policzków i małe, skośne oczy. Nieobeznany ze zwyczajami europejskimi, zachowywał się jak prawdziwe dziecko natury. Zaproszony na obiad przez mego ojca, nie używał łyżki i widelca, ale palcami kładł do ust kawałki mięsa i t. d. Siedzenie na krześle było dlań męczące, to też często wstawał od stołu, przechadzał się po pokojach, przyglądał obrazom, sztychom, meblom, poczem znowu siadał, gdy podawano potrawę, która mu się podobała. Lubił bardzo kanapy, na których układał się do snu, a jeżeli na niej siedziała która z pań, Tschut-tum-Lama bez ceremonji kładł nogi na jej kolana. Poza tem był dobry, ufający ludziom, wdzięczny i grzeczny. Zdaje się, że wypełniał ściśle praktyki swej religji i nosił na szyi na sznurku jedwabnym amulet-kaplicę z wyobrażeniem jakiegoś świę-



tego. Tschut-tum-Lama, który po przyjeździe do Petersburga mieszkał u hr. Gołowkina, wreszcie został przyjęty do Akademii medyko-chirurgicznej. Będąc zmuszony zmienić strój narodowy na uniform akademii, gorzko narzekał nazywając go więzieniem z ubrania; szczególnie krępowały go obcisłe buty. Prędzej jednak, niż się spodziewano, pogodził się z obyczajami europejskimi i pracował, jak tylko mógł, t. j. uważał i notował. Tschut-tum-Lama był dumny z tego (jak gdyby posiadał skarb jaki), że się wyuczył kilkunastu słów rosyjskich, których liczbę wciąż starał się powiększyć, powiadając: „Ten język pomoże mi potem wyuczyć się ogólnie przyjętego przez uczonych dialektu, który znając, będę mógł czytać najlepsze dzieła lekarskie“. Swoje notaty pisał głoskami mandżurskimi w kilka kolumn, na wązkich skrawkach papieru. Podziwiano jego zdolność kopjowania książek z zachowaniem najdrobniejszych właściwości druku, ornamentów i t. d. Znalazłszy u mego ojca ozdobne wydanie *Szalonego Rolanda*, Tschut-tum-Lama skopjował jedną kartę z niezrównaną doskonałością, odtworzył kwiaty, arabeski i t. d. Gdy poraz pierwszy wszedł do sali, w której dysekowano trupów, przeraził się okropnie, chociaż rozumiał i uznawał potrzebę sekcji.

Prosił tylko, by go na razie uwolniono od preparowania trupów, zanim się z ich widokiem oswoi i przyrzekał wynagrodzić czas stracony.

Już przeszło rok Tschut-tum-Lama znajdował się w Petersburgu, aż uczęszczając do szpitala zaraził się tyfusem. Choroba z dniem każdym się wzmagała, ale chory był przytomny. Błagał, by zaprzestano dawania mu lekarstw, a natomiast, aby mu pozwolono leczyć siebie według własnej metody. Otrzymałszy pozwolenie, kazał przynieść swoje pudełko i wyjął z niego mały pakiecik, w którym znajdowały się dwa zęby. Kazał je ugotować w pewnej ilości wody i tak przyrządzony napój wypił ze czcią i głęboką wiarą w jego skuteczność. Te zęby kazali sobie wyrwać ojciec i matka Tschut-tum-Lamy w chwili

pożegnania i dali je synowi, zalecając, aby ich użył jako lekarstwo w razie ciężkiej choroby. Niestety, środek ten pomimo tak wzruszającego pochodzenia, nie okazał się skutecznym, jak tego zresztą należało się spodziewać i biedny młodzieniec znalazł mogiłę nad brzegami Newy. Gdyby żył, któż wie, jak bardzo mógłby się przyczynić do cywilizacji swych ziomków. Tschut-tum-Lama przywiózł ze swej ojczyzny dwa dzieła lekarskie, które wysoce cenił. Były one pisane, czy też drukowane na bardzo grubym papierze chińskim in folio, jedno po mandżursku, drugie po tybetańsku. Karty były luźne, ułożone jedna na drugiej, umocowane u góry i u dołu drewnianymi sztabkami i związane jedwabnym sznurkiem. Tschut-tum-Lama miał zamiar przetłómaczyć te dzieła na język rosyjski. Należy przypomnieć, iż po jego śmierci oddano książki do biblioteki cesarskiej.

Mój ojciec, sam dopiero wracający do zdrowia, kazał się zanieść do swego mongolskiego ucznia, w nadziei, że może będzie mu użyteczny. To zbyt wczesne wyjście w listopadzie i wiadomość o śmierci ucznia, były przyczyną recydywy, po której zaczęły ojcu brzęknąć nogi. Uważając swój stan za bardzo poważny, postanowił przerwać wykłady w Akademii, a być może i zupełnie opuścić Petersburg. O swoim postanowieniu napisał list (d. 15 listop.) do ministra spraw wewnętrznych<sup>1)</sup>. Hr. Koczubey zgodził się na wszystko, o czem zawiadomił ojca bardzo uprzejmym listem. Postanowienie opuszczenia Petersburga miało być zachowane w tajemnicy, aż do wiosny, ale dowiedziano się o tem znacznie wcześniej. Już 20 listopada piastunka W. Księżniczki Elżbiety, pani Taubert<sup>2)</sup>, zwierzyła się memu ojcu, że cesarzowa mówiła

<sup>1)</sup> Dosłowna kopja listu znajduje się w pamiętnikach.  
(W. Z.).

<sup>2)</sup> Dziwnem jest, że ta pani mogła śpiewać maleńkiej taką piosnkę bez sensu:

„Wenn ich fünfzehn Männer hätte,  
Fünf wollt ich verkaufen,



jej, iż z pogłosek, krążących po mieście, oraz z listów z Rygi wie, że Frank ma zamiar porzucić Petersburg, co ją bardzo smuci. Mój ojciec prosił panią Taubert, w razie, gdyby cesarzowa wróciła do tego przedmiotu, aby nie ukrywała, iż mówiła z nim o tem. — „Wiem o tem, że tę wiadomość podał „Spectator“ ryski i że o niej mówią w Petersburgu. Nie mogę zaprzeczać, że klimat petersburski szkodliwie wpływa na moje zdrowie, i chociaż rodzina moja żąda mego stąd wyjazdu, ale dotąd jeszcze nie powziąłem ostatecznego postanowienia i chcę spróbować swych sił do przyszłej wiosny. Jeżeli jednak ta próba potwierdzi moje obawy, wtedy będę zmuszony pomyśleć o środkach, aby przedłużyć me życie, które jest potrzebne dla moich dzieci“.

Na zapytanie pani Taubert, czy tylko to jedno skłania mego ojca do porzucenia Petersburga, odpowiedział, że przytoczone przez niego przyczyny są wystarczające i prosi o nieszukanie innych, ale, gdyby cesarzowa sama wznowiła o tem rozmowę, w takim razie pani Taubert może dodać, że Frank istotnie uskarżał się przed nią na przykrości, jakie ma do zniesienia od niektórych lekarzy anglików. Całą tę rozmowę pani Taubert powtórzyła cesarzowej . . . . .

Korespondencja z ojcem, który mi opisywał rozmaite anegdoty petersburskie, sprawiała mi wielką przyjemność. Niestety, zmieniała się ona na troskę z powodu nowej ciężkiej jego choroby. Z listów pani Janitch<sup>1)</sup> mo-

Fünf wollt ich dem Henker geben  
 Fünf wollt ich verkaufen.  
 Träf sich dann Unglück, und ich hätte noch einen  
 Dem bräich ich dann Hals und Bein  
 Und so hätte ich keinen“.

Gdy cesarz wszedłszy niespostrzeżenie do pokoju posłyszał tę śliczną piosnkę, powiedział: „A! a! pani Taubert, co też pani śpiewa mojej córce? Pięknych rzeczy pani ją uczy!“

<sup>1)</sup> Przyjaciółka Jana Piotra Franka. (W. Z.).

głem wyrozumieć tylko to, że choroba była ostra i że zakończenie jej pomyślne, lub złe, musiało nastąpić prędzej, nim zdążyłbym do Petersburga przyjechać, tem bardziej w obecnej porze, kiedy drogi były w szczególnie złym stanie. Na szczęście p. Ławiński, dyrektor poczty, rozkazał, aby adresowane do mnie listy odnoszono mi w tejże chwili po ich otrzymaniu. List o pomyślnem przesileniu choroby ojca, wręczono mi prawie jednocześnie z przysłanym mi w prezencie przez prezydenta Lachnickiego wspaniałym popielatym szlafrokiem. Pośpieszyłem go posłać memu ojcu i sprawiłem mu tym podarunkiem wielką przyjemność. Napisałem też do p.p. Weickardta i Ellisena, dziękując im za staranie o moim ojcu i wyleczenie go.

Ponieważ po zawarciu pokoju w Tylży, klinika-szpitalna została zamknięta, miasto latem znacznie się wyludniło, a w krajach północnych o tej porze roku ludzie wogóle nie wiele chorują, przeto, korzystając z wakacji, zająłem się przygotowaniem do druku drugiego tomu moich *Acta instituti clinici Cesareae Universitatis Vilnensis*<sup>1)</sup>.

Przez cały czas zajęcia klinik na szpital wojskowy, studenci medycyny wcale nie widywali chorych kobiet. Pragnąc i pod tym względem dać im potrzebne wiadomości, rozpocząłem rok szkolny (1807—1808) od kursu chorób kobiecych, na który zapisała się znaczna liczba słuchaczy, chociaż po wojnie część studentów dotąd była rozproszona.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

<sup>1)</sup> Lipsk. 1808.



## SPIS RZECZY

w tomie I-ym.

	str.
WSTĘP . . . . .	3
ROZDZIAŁ I. Zaproszenie do Wilna. — Koresponden- cja z rektorem Stroynowskim . . . . .	17
ROZDZIAŁ II. Nasza odmowa.—Ciężka choroba ojca.— Umowa z Uniwersytetem wileńskim . . . . .	19
ROZDZIAŁ III. I. P. Frank nie przyjmuje zwolnienia go od umowy z Uniwersytetem wileńskim. — Przygotowania do podróży . . . . .	29
ROZDZIAŁ IV. Podróż do Wilna. — Wilno. — Pierwsze wrażenia . . . . .	35
ROZDZIAŁ V. Wilno w chwili naszego przybycia.—Uni- wersytet. — Profesorowie . . . . .	45
ROZDZIAŁ VI. Nasz pierwszy występ w Wilnie. — Założenie kliniki.—Dr. Liboszye.—Praktyka żydowska. . . . .	70
ROZDZIAŁ VII. Rok 1805. — Uniwersytet. — List do księcia Czartoryskiego.—Szpital Sióstr Milo- siernych. — Pierwszy koncert. — Zatarg z za- konnymi. — Nieporozumienie z generał-gu- bernatozem.—Radziwilmonty i Radziwiłłowie. . . . .	86
ROZDZIAŁ VIII. Rok 1805. — Powołanie Jana Piotra Franka do Petersburga. — Audjencja u Alek- sandra I. — Cesarzowe. — Kanonik Wiaz- wicz. — Mianowanie na profesora kliniki. — Olimpja hr. Mostowska.—Rimskij-Korsakow.— Założenie Towarzystwa lekarskiego . . . . .	110
ROZDZIAŁ IX. Rok 1806. — Wilno. — Koncert. — Towa- rzystwo bezpłatnej pomocy lekarskiej.—Książd	



	str.
Tarenghi. — Zatarg z rektorem. — Ustąpienie H. Stroynowskiego. — Jan Śniadecki . . . .	133
ROZDZIAŁ X. Podróż do Petersburga. — Wrażenia. — Audjencja. — Cesarzowa - matka. — Cesarzowa - panująca. — Cesarz Aleksander I. — Zakłady dobroczynne i naukowe Petersburga. — Towarzystwo. — Dorpat. — Uniwersytet. . . .	152
ROZDZIAŁ XI. Rok 1806. — Gubernator Rückman. — Tyfus w klasztorze Marjawitek. — Uroczyste otwarcie Towarzystwa lekarskiego. — Wyrodna matka . . . . .	180
ROZDZIAŁ XII. Rok 1807. — Koncert amatorski. — Założenie Towarzystwa Dobroczynności i przeciwbrazczego. — Choroba biskupa Kossakowskiego. — Wybranie Jana Śniadeckiego na rektora Uniwersytetu. — Brutalstwo Korsakowa. — Choroba Jędrzeja Śniadeckiego. — Szpitale wojenne . . . . .	199
ROZDZIAŁ XIII. Rok 1807. — Wilno. — Bandy zbójeckie. — P. Karp' i chirurg Pajola. — Obląkana hr. Platerowa. — Skąpey. — Topielec. — Dysenterja w Słonimskim i postępek p. Korsakowa. — Poczty litewskie. — Otwieranie listów. — Jan Śniadecki. — Skandaliczne zachowanie się prof. Tarenghi. — Urządzenie duchownego seminarjum. — Prof. Szule. — Zawalenie się domu. — Wieści z Petersburga. — Śmierć matki i siostry. — Lekarz Tybetańczyk. — Nianka wielkiej księżniczki . . . . .	215

## RYCINY.

	str.
Józef Frank . . . . .	1
Medal Franków . . . . .	16
Jan Piotr Frank . . . . .	20
Hieronim Stroynowski . . . . .	42
Plac ratuszowy w Wilnie. . . . .	47
General Bemmigen . . . . .	51
Biskup I. N. Kossakowski . . . . .	53
Dom Vittingoffowej (klub) . . . . .	57
Stanisław Jundzill . . . . .	63
Marcin Puczobutt - Odlanicki . . . . .	65
Jan Rustem . . . . .	67
Platon Zubow . . . . .	97
Krystyna Frankowa . . . . .	95
Dom, w którym mieszkali Frankowie . . . . .	122
General Rimskij - Korsakow . . . . .	129
August Becu . . . . .	145
Jan Śniadecki . . . . .	148
Książę Adam Czartoryski . . . . .	157
Jędrzej Śniadecki . . . . .	209
Pawel Tarenghi . . . . .	225





# „DZIEJE POROZBIOROWE LITWY I RUSI“

W OPRACOWANIU

HENRYKA MOŚCICKIEGO

Wychodzą zeszytami in 8° po 2 arkusze druku, z licznymi portretami i ilustracjami.

Cena zeszytu kop. 35, z przesyłką kop. 40.

Zamówienia wraz z opłatą na 24 zeszyty, 12 zeszytów, 6 zeszytów przyjmują:

Administracja w Wilnie, prospekt Ś-to Jerski № 28 oraz wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą.

Szczegółowy prospekt na żądanie bezpłatnie.

---

---

## Warunki prenumeraty „Biblioteki Pamięników“:

	Rocznie	Półrocznie	Kwartalnie
W Wilnie i z przesyłką pocztową Rub.	8.—	4.—	2.—
Za granicą „	10.—	5.—	2.50

Za odnośnienie do domu 5 kop. miesięcznie.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, prospekt Ś-to Jerski № 28.

---

---

Redaktor i Wydawca Józef Hlasko. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie.